

ANNA  
KLEJZEROWICZ

*Emil Zardo*



Miłość, sztuka,  
pieniądze i śmierć

DOM  
NASZEJ PANI

  
Replika

ANNA KLEJZEROWICZ

DOM  
NASZEJ PANI

  
Replika

Copyright © Anna Klejzerowicz

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

Paulina Wierzbicka

Projekt okładki

Mikołaj Piotrowicz

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2015

eISBN 978-83-7674-352-3

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo

tel./faks 061 868 25 37

[replika@replika.eu](mailto:replika@replika.eu)

[www.replika.eu](http://www.replika.eu)

## **Sprawdź, za co czytelnicy pokochali**

### **książki Anny Klejzerowicz**

#### ***Sąd ostateczny***

Pełen wachlarz emocji, możliwość zapoznania się z historią sztuki, opis urokliwego Gdańska – to wszystko i jeszcze więcej w doskonałej powieści „Sąd ostateczny” Anny Klejzerowicz.

**Natalia Nowak-Lewandowska**

(ksiazkapolapkach)

\*

Serdecznie polecam wszystkim amatorom i miłośnikom literatury z dreszczykiem. Już dziś poczuj na własnej skórze oddech naśladowcy kultowego malarza niderlandzkiego i zobacz, co wyniknie z tej konfrontacji.

**Krystyna Mieszka**

(cyrysia.blogspot.com)

\*

Tę powieść czyta się jednym tchem, nie sposób oderwać się od akcji, opanować zdenerwowania. Nikt tak jak ta autorka, nie potrafi tak sugestywnie stworzyć klimatu, oczarować czytelnika, pomimo mocnych scen. Wspaniała książka. Przeczytajcie koniecznie.

**Grażyna Strumiłowska**

(kawiarenkakzk)

\*

Żywa akcja, która nie pozostawia czasu na nudę, interesujące tło historyczne, dopracowani bohaterowie, którym daleko do ideałów, wciągająca zagadka kryminalna i ciekawy wątek obyczajowy, nawet niebanalny morderca z misją... – na kartach powieści Anny Klejzerowicz znalazłam to, co lubię.

**Asia Szarańska**

(Babskie czytanie)

\*

Kryminał z historią w tle i czy na pewno w tle? Przekonajcie się sami i przeczytajcie książkę.

**Iwona Mejza**

(Kryminały z mojej półki)

\*

Jest zagadka, jest niebanalne śledztwo, są tajemnicze, pachnące kurzem i kadzidłem miejsca. I świetnie skreśleni pozytywni i poboczni bohaterowie, i z sercem opisane miejsca akcji, a także pewien rudy kocur... Czarująca i pełna uroku.

**Paulina M. Stoparek**

(noircafe.pl)

\*

Czego możecie się spodziewać? Znakomitych wątków, które zmieniać się będą, jak w kalejdoskopie. Łzy, uśmiechy, ale też i granie na nosie. Kim okaże się morderca?

## **Agnieszka Krizel**

(Recenzje Agi)

\*

Książkę czyta się świetnie. Ma bardzo szybką akcję, która czasami powoduje dreszcze. Wszystko od początku do końca jest idealnie przemyślane. Czytelnik nie nudzi się. (...) Polecam ją wszystkim, choć niektóre momenty nie powinny być czytane dzieciom.

**Sebastian Czaplński**

(Zaczytany w książkach)

\*

Anna Klejzerowicz (...) poszukuje związku między teraźniejszością i przeszłością, pokazuje historyczne korzenie naszej codzienności, podsuwa pod nos dzieła sztuki, w których możemy szukać nie tyle gotowej odpowiedzi, co metody dochodzenia do prawdy. Jej kryminały mają wymiar uniwersalnej przypowieści. O ile zechcemy poszukać tego wymiaru.

**Piotr Olszówka**

(pisarz, publicysta, rysownik)

## ***Cień gejszy***

To trzymający w napięciu kryminał. Intrygująca fabuła, wartka akcja, ciekawi bohaterowie. Czegóż chcieć więcej?

**Anna Kutrzuba**

(dziennikarka, Dziennik Literacki)

\*

Wszystko jest autentyczne, realne i zrozumiałe. W książce odnajdziemy i zdradę, i stracone zaufanie, tragiczną miłość, morderstwa i współczesne afery polityczne (...)

**Agnieszka Lingas-Łoniewska**

(autorka m.in. trylogii *Zakręty losu*, *Łatwopalni*, *Szóstego* i wielu innych powieści literatury kobiecej)

\*

Autorka tworzy niesamowicie sugestywne, działające na wyobraźnię, obrazy od których trudno się oderwać. Są kunsztowne i finezyjne, pełne nieuchwytnego czaru, jak japońskie drzeworyty, będące cichymi bohaterami książki.

**Alicja Minicka**

(pisarka, publicystka)

\*

Książkę czyta się jednym tchem. Bohaterowie dają się lubić; moją szczególną sympatię wzbudził Zebra, który niczym dobry tata pilnuje, aby Emil nie wpakował się zbyt duże tarapaty.

**Olimpia Widowska-Wielandt**

(japonia-online.pl)

\*

To doskonała zagadka dla tęgich umysłów, ale również opowieść o wielkiej miłości, która pozostawia ślady odczuwalne nawet sto lat



później.

**Magdalena Kijewska**

(Przegląd czytelniczy)

\*

Fabuła książki tak mnie wciągnęła, że po jej przeczytaniu postanowiłam zasięgnąć więcej informacji o sztuce japońskiej, a w szczególności w temacie drzeworytów. Polecam książkę całym sercem.

**Ewa Formella**

(ksiazkiidy.blox.pl)

\*

U Anny Klejzerowicz, jako czytelnik, cenię sobie to, że tworzy udane kryminały środka – wolne z jednej strony od mrocznego nadąsania i przesadnie skomplikowanej, ornamentальной wręcz fabuły, z drugiej zaś od prostackiego humoru i trywialnych pomysłów. *Cień gejszy* jest nadto sprawnie napisany, wyważony i angażujący zarazem; prezentuje się literacko bez zarzutów. Mam nadzieję, że Emil Żądło jeszcze wielokrotnie powróci.

**Daniel Koziarski**

(pisarz)

\*

Na każdym kroku bohaterowie czują obecność tajemniczej Japonki, która wiek po swojej śmierci robi to, co robiła za życia: cicho dotrzymuje towarzystwa, zapewnia nastrój swoją osobą (przedstawioną na serii drzeworytów) i w jakiś sposób prowadzi ludzi do zachowania się zgodnie z zasadami. Tyle, że jedną z japońskich zasad jest harmonia

między sposobem życia i zadowoleniem z niego... a inną zasadą: konieczność pomszczenia zbrodni. Japońska wyobraźnia nie zna pojęcia „przedawnienia”, nastrój zapewniony przez zamordowaną gejszę jest dyskretnie niesamowity i niepokojąco tajemniczy, presja z jej strony wyraźnie wyczuwalna. Nie wiemy, czy to kwestia mistrzowskiego portretu tej dziewczyny, czy też czegoś więcej.

**Piotr Olszówka**

(pisarz, publicysta, rysownik)

*Krzysztofowi – dla którego „hiszpańska Atlantyda”  
stała się, jak i dla mnie, wieloletnią pasją.*

*Rudzikowi, który był pierwowzorem kota Bolero  
oraz ucieleśnieniem miłości – żyj wiecznie.*

Wszystkie wydarzenia i postaci  
występujące w tej książce są fikcyjne.

*Król bowiem posiadał okręty, które ze sługami Hurama pływały do Tarszisz. Co trzy lata przybywały okręty z Tarszisz, przywożąc złoto i srebro, kość słoniową oraz małpy i pawie. Dzięki temu król Salomon bogactwem i mądrością przewyższał wszystkich królów ziemi.*

(2 Ks. Kronik 9:21-22)

### Biblia Tysiąclecia

*Są oni najuczciwsi z Iberów, posługują się sztuką pisania i posiadają stare księgi, także poezje i zbiór praw, którym przypisują wiek sześciu tysięcy lat.*

Strabon 3, 1, 6

*Samijczycy [...] przejechali przez Słupy Heraklesa i przybyli do Tartessos, jakby przez jakieś boskie zrządzenie. Ten punkt handlowy był w owym czasie jeszcze nie zwiedzany, tak że Samijczycy, wróciwszy do domu, osiągnęli ze wszystkich Hellenów, jak to na pewno wiemy, największy zysk z przywiezionych towarów.*

Herodot IV, 152

*Podobno w krainie Iberów jest rzeka Tartessos, wpadająca do morza dwoma ujściami, oraz tejże samej nazwy miasto położone jest pośrodku między ujściami rzeki [...]*

Pauzaniusz VI, 19

*Egipscy kapłani powiedzieli Solonowi: Morze miało wyspę przed wejściem, które wy nazywacie Słupami Heraklesa. Na tej wyspie, na Atlantydzie, powstało wielkie i podziwu godne mocarstwo. Ale przyszły*

*straszne trzęsienia ziemi, potopy, i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna, a wyspa Atlantyda zanurzyła się pod powierzchnią morza i zniknęła.*

*Maciej Kuczyński, Atlantyda, wyspa ognia*

## Prolog

*U wybrzeży Hiszpanii. Huelva, port, sierpień 1925*

Do świtu było już niedaleko, lecz wciąż jeszcze panowała noc, rozświetlona jedynie mdłą poświatą księżyca. Łagodna oceaniczna bryza marszczyła spokojną taflę wody. Statek cumujący u nabrzeża na pierwszy rzut oka wyglądał na uspiony, ktoś tu jednak czuwał, gdyż w momencie, gdy do jego burty podpłynęła duża parowa barka, na pokładzie nastąpiło poruszenie. Znak, że była oczekiwana. Gdyby ktoś obserwował, co nastąpiło chwilę później, zarejestrowałby, że czterech roślących marynarzy z wielką ostrożnością, pod nadzorem dwóch oficerów, załadowuje na pokład duży i najwyraźniej dość ciężki pakunek – coś jakby skrzynię, owiniętą dla bezpieczeństwa zwojami brezentu. „Achtung, achtung!” – dało się słyszeć jedynie wydawane półgłosem ostrzeżenia i rozkazy. Cóż mogła zawierać owa skrzynia? Tego nie wiedział nikt, z wyjątkiem zapewne samego kapitana. A i to niekoniecznie. Być może kryła zapasy luksusowego andaluzyjskiego wina lub oliwy, a może inne cenne towary. Załoga wiedziała jedynie, że to prywatny ładunek armatora. Gdy został on już bezpiecznie wciągnięty na linach i spokojnie legł na wyszorowanych do czysta pokładowych deskach, barka odpłynęła w ciemność i dookoła na powrót zapadł spokój. Nikt nie patrzył, port jeszcze spał, a cała akcja odbyła się szybko, sprawnie i bez zwracania uwagi. Jakiś czas jeszcze trwało niewielkie

zamieszanie, póki skrzynia nie spoczęła szczęśliwie w luku ładowniczym w krypcie. Do pierwszego brzasku pozostała mniej więcej godzina. SS „Bonifacio” – duży drobnicowiec pod gdańską banderą, nazwany tak na cześć słynnego gdańskiego bibliofila z szesnastego stulecia, którego ocalony z morskiej katastrofy księgozbiór stał się załącznikiem Biblioteki Rady Miasta (armator był wszak człowiekiem kształconym) – miał więc jeszcze trochę czasu, by przygotować się do wypłynięcia. Poprzedniego wieczoru załadował w porcie rudę miedzi i zgodnie z rozkładem na godzinę piątą rano dnia następnego zamówiono holownik. Wkrótce więc ruch ożywi pokłady, a z potężnego komina oznaczonego symbolem armatora buchnie potężna chmura pary. Wielki statek pójdzie w morze, by dowieźć cenny ładunek do macierzystego portu, po drodze wyładowując rudę miedzi w Antwerpii...

### *Gdańsk, współcześnie*

Parking był słabo oświetlony, paliła się tylko jedna latarnia na jego skraju. Mężczyzna siedzący w samochodzie zaparkowanym po przeciwnej stronie, pod drzewami, wolał najwyraźniej pozostać w cieniu. Palił nerwowo papierosa i tylko po tym można było stwierdzić, że w aucie ktoś jest. Przez uchyloną szybę do środka pojazdu napływało chłodne nocne powietrze, ulatując z powrotem wraz z chmurą dymu, a może i parą ludzkiego oddechu. Na skrawku czystego granatowego nieba, widocznego między gałęziami, świeciły gwiazdy. Mężczyzna niezbyt często je widywał. W mieście nikną w blasku sztucznych świateł. Zgasił papierosa i niemal od razu zapalił kolejnego. Czekał. Po chwili ze środka pojazdu dało się słyszeć cicho nastawioną, rytmiczną melodyjkę telefonu komórkowego.

– Si... si... – powtarzał mężczyzna ściszonego głosem, dopóki nie ujrzał świateł innego samochodu, wjeżdżającego w tym momencie na parking. – Si. Momento... One moment, please. I will call you back.

Rozłączył rozmowę i zgasił papierosa w popielniczce, po czym



otworzył drzwi auta, otulając się mocniej płaszczem. Noc była zimna jak na tę porę roku.

– Jednak przyjecha... – nie dokończył. Nie zdążył, ponieważ zanim zdołał się na dobre wygramolić z kabiny, otrzymał silny cios w skroń i ogarnęła go zbawienna czerń. Już bez gwiazd.

Nie widział także ostrza, zbliżającego się pewnym ruchem do jego gardła. Być może nawet go nie poczuł...

## Rozdział 1

*Gdańsk, współcześnie. Dwa miesiące później, początek lata*

Melodyjka odezwała się w chwili, gdy po raz trzeci dopisywał ostatnie zdanie w swoim artykule dla „Rozgwiadzy” i nadal nie był zadowolony z efektu. *Bolero* Ravela. Czyli Marta, bo tylko do niej przypisany był ten sygnał. Spodziewał się raczej odgłosu klucza w drzwiach niż telefonu. Miała wrócić po południu. Zerknął na zegar: dochodziła czwarta. Oczywiście pierwszy zareagował *Bolero*. Wielki, puchaty rudy kocur jak zawsze bez pudła rozpoznał znajome nuty, bo od razu wskoczył na biurko, bezceremonialnie przelazł przez klawiaturę, dopisując jakiś dziwny szyfr do tekstu Emila, po czym otarł się czule o telefon.

– Tak, tak. To matka – mruknął Emil, naciskając przycisk. – Halo, Marta? Gdzie jesteś? Coś się stało? Czy nie powinnaś już...

Marta wciąż była poza miastem.

– Spóźnię się, będę dopiero wieczorem – oznajmiła. – Utknęłam tu, cholera. Długo nam zeszło, a teraz mój szanowny kolega gdzieś przepadł. Muszę czekać, bo nie mam innego transportu. Przyjechaliśmy jego wozem.

– Jak to przepadł? Może przyjechać po ciebie?

– Coś ty, to z godzina jazdy! I to jak nie ma korków. Żartowałam. Mietek poszedł coś załatwić, chyba w gminie, mówił, że jest umówiony, no i... trochę to trwa. Zaczekam, zaraz powinien się zjawić. Tymczasem

obfotografuję pałac, dopóki jest jasno. Zjedz coś, na kuchence masz zupę z wczoraj. Bolero jadł?

Emil zerknął na kocura i uśmiechnął się krzywo.

– Czy jadł? Żarł, proszę ja ciebie...

– Okej, to radźcie sobie, wróć najszybciej, jak się da.

Rozłączyli się. Emil podrapał kota za uchem i poszedł nastawić czajnik. W cholerę z zupą, wieczorem razem zjedzą kolację – teraz kawa. Mocna, gorąca i gorzka. Rozpuszczalna. Marta nie widzi, hulaj dusza, nie będzie szydzić, że gównu pije. Zawsze lubił rozpuszczalną.

– Chodź, kocie. Dostaniesz śmietanki. Tej, którą powinienem nalać sobie do kawy, żeby była zdrowsza.

Wsypał do kubka dwie czubate łyżeczki kawy, a spodek ze śmietanką do kawy dla Bolera ustawił na parapecie. Zapalił papierosa. Wolał sam przed sobą się nie przyznawać, że już tęsknił za Martą. A nie widzieli się raptem od rana, Normalnie i tak o tej porze dopiero wracała z muzeum. Jednak świadomość, że jest gdzieś daleko, w jakimś nieznanym miejscu, działała deprymująco.

*Kretyn z ciebie, Żądło – ochrzanił się w duchu. Pojechała tylko na inwentaryzację starego pałacu, wcale nie tak daleko, bo do jakiejś wiochy pod Gdańskiem. Zaraz skończą i niedługo wróci. Godzina jazdy. To niedaleko. Wieczorem już nie powinno być korków.*

Zalał kawę gorącą wodą i upił duży łyk, parząc sobie usta. Zaklął. Ostatnio coraz częściej bywał podenerwowany. Marta lansowała teorię, że z wiekiem mu odbija. Ale on wiedział swoje: po prostu brakowało mu adrenaliny. Praca w redakcji społeczno-kulturalnej gazetki była zbyt spokojna jak dla niego. Czysta rutyna. Stagnacja. Owszem, stabilna i w ogóle – przyjemna, jednak... potrzebował od czasu do czasu dawki czegoś mocniejszego. Miał wrażenie, że pomału dziadzieje. Dobrze chociaż, że przynajmniej częściowo rekompensuje to cicha współpraca z policją, w której od paru lat pełnił funkcję kogoś w rodzaju nieoficjalnego konsultanta i doradcy. Oczywiście była to osobista zasługa komisarza Marka Zebry oraz łączącej ich wieloletniej przyjaźni, a przede wszystkim zaufania, jakim komisarz go darzył. Robił to w końcu na własną odpowiedzialność, wiedząc, że Emil nigdy by go nie zawiódł. W praktyce wyglądało to tak, że Żądło prowadził na boku

własne dziennikarskie śledztwo, jednocześnie służąc pomocą policji i dzieląc się zdobytymi informacjami. Zebra cenił jego detektywistyczny talent i „dziennikarskiego nosa”, który niejednokrotnie pomógł w śledztwie. Nie bez znaczenia był również fakt, że i sam Żądło także był niegdyś gliną – a nigdy do końca nie przestaje się nim być, jak zwykł mawiać Zebra. Może nawet miał rację, choć Emil zrezygnował z pracy w policji z rozmysłem i świadomie, zresztą nigdy tej decyzji nie żałował. Nie mieścił się w ramach, nigdy nie potrafił poddać się policyjnym rygorom. Wolał zostać dziennikarzem śledczym. Tyle że... ostatnio jakoś mało miał do roboty w Trójmieście. Ucywilizowało się, uspokoiło. Oczywiście cieszył się, że w jego mieście dobrze się dzieje. Ale czegoś mu brakowało. Coraz częściej z nostalgią wspominał stare czasy, dawne spektakularne sprawy, w których uczestniczył. Wtedy spotkał na swojej drodze Martę... Lata szybko zleciały. Zreflektował się. Marta wtedy o mały włos nie zginęła. Wszyscy zresztą mogli zginąć. Zawstydził się, że – co tu kryć – czerpie satysfakcję z nieszczęścia. Cóż, taki zawód. To nie tylko usprawiedliwienie, bo jednocześnie przecież udało się zapobiec nieszczęściu. I to niejednym razem. A teraz tu taki spokój. Prawie nic się nie dzieje. No, owszem, pospolite przestępstwa, jak zawsze i wszędzie. Do takich spraw nikt go nie potrzebuje. Przyjaciół wzywał go tylko wtedy, gdy jego „spiskowy umysł” mógł popisać się wyobraźnią, o jakiej normalni gliniarze mogli zapomnieć. Czasem jako dziennikarz wyjeżdżał w teren, kiedy dostał ciekawe zlecenie, wolał jednak pracę na miejscu. Nie dlatego, że nie lubił wyjeżdżać. Po prostu żadnego miejsca na ziemi nie czuł tak dobrze jak swojego miasta, w którym znał na pamięć każdy kamień. Miał je w żyłach – śmiał się, naciskany. Lokalny patriota – podśmiewali się inni. Możliwe. Nie zaprzeczał.

Tyle, że do pięćdziesiątki już blisko, a on dalej stoi w miejscu. I tak do emerytury...? A życie osobiste? Zaciągnął się drugim papierosem.

Życie osobiste to Marta. I syn. Bartek... od lat w Szwecji, z matką i jej nowym gachem. Okej – mężem. Wzięli przecież ślub. Młody to już nastolatek, wąs mu się zaczyna sypać. Kontakt jest, nie może narzekać: spotykają się średnio raz do roku. Poza tym dzwonią do siebie i mailują. Na szczęście mówi jeszcze po polsku. Emil zachnął się. Dość tego rozpamiętywania. Bartek jest normalnym, szczęśliwym chłopakiem

w normalnym, szczęśliwym kraju. Być może w tym roku przyjedzie do nich na jakieś dwa tygodnie wakacji. O ile nie wypadnie mu po drodze coś bardziej atrakcyjnego. A Marta? Jest z nim szczęśliwa? Tak twierdzi. Więc dlaczego uparcie odmawia zarejestrowania ich związku? Czy to możliwe, że tylko dla idei? Uważa – tak deklaruje – że nie lubi czuć się uwiązana, że prawdziwa miłość nie potrzebuje pieczętek. W zasadzie ma rację. Tyle że on nie ma zamiaru jej wiązać. Tylko głupio się czuje, gdy koledzy pytają, dlaczego...

Dlaczego? Co jest z nim nie tak?

Pieprzyć to! Zgasił papierosa i wrócił do komputera. Ostatnie zdanie wstukał bez namysłu i postawił kropkę.

Marta wróciła przed wieczorem, zmęczona, trochę mokra i pachnąca deszczem – na dworze przez cały czas siało – lecz zadowolona. Często bywała podekscytowana, taki już miała temperament. Sama jej obecność wniosła do domu dobrą energię i radosny nastrój, który nawet Bolera wyrwał z kanapowego letargu.

– W sumie to był fajny dzień – podsumowała, rozczesując włosy, które, rozpuszczone, sięgały jej ramion. – Inwentaryzacja poszła sprawnie. Znalazłam tam trochę ciekawych rzeczy, przede wszystkim detali architektonicznych, sztukaterii, gzymsów, kilka całkiem niezłe zachowanych pieców kaflowych, jeszcze dziewiętnastowiecznych... To wszystko wpłynie na cenę. Budynek w sumie jest mocno zdewastowany, ale jako bryła zachowany całkiem niezłe, zważywszy na to, co przeszedł za PRL-u. W każdym razie nadaje się do remontu.

Z powrotem spięła włosy w kucyk, przebrała się w dres i udała w stronę kuchni. Poszedł za nią.

– A chcą go sprzedawać?

– Co, pałac? No tak, przecież dlatego tam jechaliśmy! Zgłosił się zagraniczny inwestor, podobno hiszpański, chce odnowić gmach na hotel czy coś w tym rodzaju. A gmina biedna, nie daliby rady, pałac obróciłby się w końcu w ruinę, więc to chyba dobry pomysł.

– Jak się nazywa ta wiocha?

– Lubice. – Marta naląła sobie kawy i zaczęła odgrzewać

wczorajszą zupę. – Nie taka znowu wiocha! Raczej miasteczko. To znaczy, pałac stoi jakby poza nią, pod lasem. Ale należy do gminy, bo nie ma spadkobierców.

Emila w zasadzie niewiele to obchodziło, wiedział jednak, że Marta pasjonuje się swoją pracą i nawet nie dopuszcza myśli, że ktoś może nie być zainteresowany.

– A nie znaleźliście czegoś naprawdę ekscytującego? – zażartował.  
– Jakiegoś skarbu? Lochów? A przynajmniej ducha?

Roześmiała się.

– Duchów tam zapewne jest pełno. Ale żadnego nie miałam przyjemności spotkać. A co do lochów... jakbyś zgadł. Podobno były tam kiedyś podziemia. Przynajmniej tak mówi lokalna legenda. Mietek ich szukał, to znaczy wejścia do nich...

– I co?

– I nie znalazł. Więc pewnie to bujda. Chcesz zupy?

– Poproszę.

– Oczywiście nic nie zjadłeś, kiedy mnie nie było!

Gdy usiedli do stołu, Marta – zamiast jeść – kontynuowała:

– Spotkaliśmy za to ciekawych ludzi. Jedną babcię ubraną jak wielka dama, w kapeluszu, która wyzwała nas od najgorszych i groziła parasolką. Chyba nas wzięła za kogoś innego! – parsknęła.

– Może za hiszpańskiego inwestora?

– Możliwe. A jakie słownictwo znała... rysztoł to mało powiedziane. Był też jeden pan z urzędu, który patrzył nam na ręce, jakbyśmy mieli coś stamtąd wykraść. I druga babcia, która chyba pilnuje tego pałacu, ta z kolei uparcie nas ignorowała. I jeszcze taki śmieszny dziadek, przeciwieństwo tamtej pierwszej babci. Kręcił się po parku. Wyglądał jak kloszard, za to przemawiał uczonym językiem, przeplatany łaciną.

– Też podwórkową?

– Właśnie nie, prawdziwą.

– A ten twój kolega gdzie w końcu znikł?

– Mietek? W sumie to nie pytałam. Nieważne, on odpowiadał za tę inwentaryzację, więc pewnie musiał podpisać jakieś papierki w urzędzie gminy. Odwiózł mnie pod sam dom, więc nie narzekaj! A u ciebie co?

Co porabiałeś przez cały dzień?

Emil wzruszył ramionami.

– Pisałem. Reportaż z wernisażu.

– I...?

– No i pisałem. Nic więcej.

– No i dobrze! A czego byś chciał? – zaniepokoiła się.

Ponownie wzruszył ramionami.

– Wiesz... czasem mi czegoś brakuje. Do jasnej cholery, jestem dziennikarzem śledczym, nie jakimś gryzipiórkiem! A tu dupa. Nic się nie dzieje.

Marta sięgnęła po swojego e-papierosa. Kolejny powód drobnych sprzeczek pomiędzy nimi. Wbiła sobie do głowy, że oboje przechodzą na to elektroniczne gówno. Tymczasem Emil nie mógł długo wytrzymać bez prawdziwego dymka...

– Zwariowałeś – stwierdziła. – Choć podobno drugi raz nie można. Jesteś wariatem. Tęsknisz za seryjnymi mordercami? Już zapomniałeś, przez co przeszliśmy?

Machnął ręką.

– Dobra. Nie zapomniałem. Tylko czasem mam wrażenie, że się starzeję. Ale masz rację, zapomnijmy o tym – dodał, by załagodzić sytuację. Zdawał sobie sprawę, że temat wciąż jest dla niej drażliwy.

– A idź do diabła! I tak wiem, co ci się marzy. Obyś nie wypowiedział tego w złą godzinę. Wolę cię mieć starego, ale żywego – zakpiła.

To proste stwierdzenie zadowoliło Emila. A sama Marta zapewne nie przypuszczała jeszcze wtedy, że trafiła w samo sedno.

Myjąc zęby przed pójściem spać, zerknął w lustro. Zobaczył w nim gębę obcego faceta, nieogolonego, ogorzałego, żylastego, z wciąż kręcącymi się przydługimi włosami, w których widać było nitki siwizny. Podobnie jak w zaroście na policzkach. Zaczął je liczyć, szybko jednak zrezygnował. Było ich zbyt wiele. Długie włosy Marty wciąż były kasztanowe, a w świetle połyskiwały miedzianymi refleksami. Ona, co prawda, wspomagała się farbą. On nie mógł tego zrobić. Ona nadal

wyglądała dziewczęco i świeżo, a on czuł się jak stary, pomarszczony piernik. Jutro się ogoli, dziś nie miał już na to ochoty. Jutro rano. Własny wygląd zawsze budził w nim nieprzyjemne zdziwienie. Za każdym razem widział siebie inaczej. Jakby nigdy nie pogodził się z własną twarzą, nie przywykł do niej. A przecież podobno mógłby się szczycić charakterystyczną, południową męską urodą – przynajmniej tak twierdziły kobiety. Sam widział w sobie tylko zgorzkniałego osobnika o ponurym wejrzeniu i trudnym do ogarnięcia zaroście.

Parszywe życie.



## Rozdział 2

Emil w piżamie zajął się parzeniem kawy w ekspresie, bo Marta spieszyła się do pracy – odrobinę zaspali. Ekspres był przelewowy i stary, więc trzeba było czekać dłuższą chwilę. Tymczasem zrobili szybkie śniadanie: dla niej płatki śniadaniowe z jogurtem, dla niego gotowane jajka i kanapka z serem, kocie chrupki dla Bolera, który mrużąc, paradował po kuchennym stole, by o nim przypadkiem nie zapomniano. Marta nie marnowała czasu, w pośpiechu nakładała symboliczny makijaż i wrzucała sterty materiałów do torby, mrużąc coś pod nosem. Nawet jadła i piła na stojąco, niemal w biegu.

– Wychodzisz dziś gdzieś czy pracujesz w domu? – zapytała z kubkiem kawy w ręku. – Auć, sparzyłam się! – syknęła.

– Zostaję. Muszę zacząć wreszcie pisać ten tekst o złym traktowaniu klientów przez ochroniarzy wielkich sieci. Materiał mam.

– A to też dla „Rozgwiadzy”?

Emil dolał sobie kawy, a kubek Marty odstawił do zlewu. Wciąż nie dorobili się jeszcze zmywarki, ale tak naprawdę nie była im do niczego potrzebna. Niewiele gotowali. Poza tym lubił zmywać: odprężał się przy tym.

– Nie, dla „Echa” – odparł. – Mówiłem ci przecież już dawno.

– A, no tak. Zapomniałam. Dobry temat. Dowal im!

– Dowalę.

Mrugnęła do niego, zapinając torbę.

– Dobra... zaraz... dokumenty, papiery, telefon... Chyba wszystko

jest... – mruzczała pod nosem. – A, czekaj, zapomniałabym! Jak jeszcze spałeś, dzwonił z „Rozgwiadzy”. Pytali, kiedy prześlesz im reportaż. Powiedziałam, że z pewnością zrobisz to jeszcze dzisiaj. Zgadza się?

– Taa, zaraz im podeślę. Dzwonił Szymon czy Ewka?

– Maria Zebra. Śmiała się, że teoretycznie zajmuje się tam u was księgowością, ale dziś zrobili z niej sekretarkę. Ewa z Szymonem wyjechali w teren. A właśnie, co słyhać u Marka?

Emil wbił zęby w kanapkę, więc odpowiedział z pełnymi ustami:

– Skąd mam wiedzieć? Nawet gliny o mnie zapomniały. Częściej spotykam się teraz z Marią niż z nim.

Marta tego nie skomentowała.

– A jak tam Ewa z Szymonem? – zapytała zamiast tego. – Wzięli ślub, prawda?

Odsunął talerz, wzruszył ramionami i spochmurniał. Zapalił papierosa.

– Musisz tu kopcić? – Marta nie zauważyła, że stracił humor. – Uchyl przynajmniej okno. Więc jak im leci?

– Sama ich zapytaj – wycedził.

Zdejmując z wieszaka żakiet, spojrzała na niego badawczo. Wreszcie wyczuła coś w jego głosie.

– Ups. Drażliwy temat? – mruknęła. – Że też nie ugryzłam się w język...

– Właśnie.

– Słuchaj, o co ci znowu chodzi? Znowu wracamy do tego tematu?

– Ty wracasz, do cholery! – Zgasił na wpeł wypalonego papierosa.

– Leć już, bo się spóźnisz. Mam cię odwieźć?

Machnęła ręką, obrzucając kpiącym wzrokiem jego piżamę.

– Poradzę sobie. Pogadamy o tym innym razem, dobrze?

– Nie ma o czym gadać. I tak nie chcesz się ze mną wiązać – odparł z urazą.

– Przecież jesteśmy w związku!

Zarechotał szyderczo.

– Emil! Czy naprawdę ten głupi papierek jest dla ciebie aż tak ważny?! – Marta podparła się pod boki.

– Nie, drobiazg – syknął. – Tyle, że teraz nawet nie będziesz mogła

zasięgnąć o mnie informacji w szpitalu, jakby co.

– Wybierasz się do szpitala?

– Daj już spokój.

– A może boisz się, że nie będę mogła cię pochować, kiedy jakiś kolejny psychopata w końcu cię zastrzeli?!

Wzburzona, aż poczerwieniała na twarzy. Już bez słowa zakręciła się na pięcie, machinalnie podrapała za uchem zakłopotanego ludzkim wybuchem kota i wyszła do przedpokoju. Emil podreptał za nią.

– Marta, przepraszam – spróbowałem załagodzić sytuację. Nie lubił rozstawać się z nią w niezgodzie. – Głupio mi się wyrwało. Sorry.

– Bardzo głupio. Naprawdę nie sądziłam, że jesteś aż takim konserwatystą.

– Nie jestem żadnym konserwatystą! Po prostu... A, nieważne.

– Muszę lecieć. – Nadal była jeszcze trochę urażona. – Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Dla niej to nie jest problem, ale skoro...

Podał jej torebkę.

– Wrócimy do tego. Leć już. – Przytulił ją lekko. Nie bronila się, ale i nie odwzajemniła uścisku.

– Twórczej pracy! – rzuciła tylko, wychodząc.

Przez chwilę obserwował ją zza firanki, jak szybkim krokiem przecina wąską, zacienioną starymi drzewami uliczkę, po czym znika za zakrętem: wyprostowana, energiczna, w sportowym ubraniu i z kasztanowymi włosami upiętymi w luźny kok. Jego Marta. Już nie wyobrażał sobie życia bez niej, dlatego bolało. Często zastanawiał się, dlaczego tak się dzieje, czemu ona tak uparcie tkwi przy swoim zdaniu. Czy z tego powodu, że się różnią? Drażni ją sobą? Może denerwuje ją to, że pali papierosy, pije gównianą kawę, pracuje jako wolny strzelec, zamiast usadzić tyłek w fotelu ważnego redaktora jakiejś poważnej gazety? Ale przecież wtedy by z nim nie była! Nie musi; w każdej chwili mogłaby spakować jego rzeczy do walizki i wystawić ją za drzwi. To jej mieszkanie. Więc dlaczego? Czy jest z nim szczerą? Tyle razy próbował z nią o tym rozmawiać, nigdy jednak do niczego konkretnego nie doszli.

Może źle się do tego zabiera...?

Bolero wskoczył na parapet i otarł się o jego dłoń. Podrapał go za uchem. Kot rozłożył się w promieniu słońca. Będzie czekał. Na nią. Obaj będą czekać, tak jak co dzień. Poszedł do łazienki, by wziąć szybki prysznic i jeszcze raz umyć zęby. I nawet się ogolił. Włożył dzinsy i sweter: mimo że dzień zapowiadał się ciepły, w domu było dość chłodno. Jak to w starych budynkach. Zrobił sobie jeszcze jedną gorzką kawę – tym razem rozpuszczalną. Zapalił papierosa. Zgodnie z umową mógł palić tylko w kuchni. Przy komputerze wyłączył elektronicznego papierosa. Respektował to, nawet gdy był w domu sam. Wrócił do pokoju, włączył lampkę nad biurkiem. Jak zawsze, pomimo jasnego dnia za oknem, panował tu półmrok. Niskie okna i wysokie sufity sprawiały, że słońce z trudem tu docierało, ledwie rozpraszając mrok. A jednak wewnątrz promieniowało pogodą ducha. Półki pełne książek, stare ryciny i fotografie, proste staroświeckie meble, maty i firany – wszystko to sprawiało, że mieszkanie wydawało się przytulne. Nigdzie do tej pory nie czuł się lepiej. Nawet bałagan mu nie przeszkadzał, choć wszędzie dookoła wałały się sterty papierów i gazet. Oboje nie zaliczali się do pedantów.

Odpalił laptopa, wysłał reportaż z wernisażu do redakcji „Rozgwiadzy”, po czym przejrzał zgromadzone do artykułu zdjęcia oraz zapisy rozmów z ludźmi. To będzie dobry tekst. Zanim jednak ułożył pierwsze zdanie, jego myśli znów odplynęły. Może rzeczywiście jest nieudacznikiem? Tak twierdziła – i twierdzi do dziś – jego była żona, nomen omen: Emila. Nomen omen? Wcale nie. To samo imię, a jednak przeciwieństwo. Ona radzi sobie z życiem świetnie. A bez niego – jeszcze lepiej... Marta nie chce zostać jego żoną. Przecież, do cholery, coś musi się za tym kryć! Czy naprawdę powinien wreszcie zmienić swoje życie? Pójść do normalnej pracy, na etat? Dostałby go pewnie z pocałowaniem ręki w niejednej gazecie, i to pomimo trudnych czasów. Jest sławny. Tylko czy to dobra sława? I czy wystarczy, by czuć się dowartościowanym? Tymczasem fruwa z kwiatka na kwiatek, bo dzięki temu czuje się wolny. Nie ma nawet porządnego ubezpieczenia, a co do zarobków... cóż, bywa różnie. Odkąd zaczął się na stałą współpracę z „Rozgwiadzą”, ma przynajmniej jakieś poczucie stabilizacji. Redakcja

jest skromna, ale dla niego zawsze są zlecenia, no i – kiedy trzeba – jakaś zaliczka. Do tego dorabia, pisząc także dla innych, większych gazet i portali, także ogólnokrajowych. Radzi sobie. Jednak może to za duże ryzyko dla kobiety, poważny związek z facetem w średnim wieku i bez stałej pracy? Czy może chodzić właśnie o to...?

Nie. Odrzucił tę myśl. Marta taka nie jest. W ogóle daleko jej do praktycyzmu! Sama pracuje dla „misji”, z pasją, nie myśli o zarobku, bo – co tu kryć – jej pensja nie jest skromna. Buja w obłokach, z głową w chmurach. Żywi się byle czym i niewiele potrzebuje do szczęścia, prócz książek i obrazów. Automatycznie rzucił okiem na boczną ścianę, gdzie wisiały stare japońskie drzeworyty z tajemniczą gejszą, a także na komódkę, na której stał oprawiony w srebrną ramkę wizerunek Archaniola Michała – fragment słynnego „gdańskiego” tryptyku Hansa Memlinga. Rysy jego anielskiej twarzy zawsze do złudzenia przypominały mu Martę. Wspomnienia. To były jej skarby. Sprawy praktyczne wydawały się jej w ogóle nie dotyczyć. Nie, musi się za tym kryć coś innego. Pewnie jego trudny charakter.

Wrócił do kuchni, by znowu zapalić, zgasił jednak w połowie i spróbował wrócić do pracy. Nie szło mu dziś. Poczuł, że ogarnia go senność, pieczenie oczu – nie wyspał się chyba, za późno poszedł spać. Może jeszcze choć na chwilę się położy, tylko tu, na kanapie, dosłownie na pół godziny... Zrezygnował jednak z tego pomysłu, świadom, że przespałby wtedy cały dzień. Wypił trochę chłodnej już kawy, by zmusić mózg do aktywności. Udało mu się sklecić wstęp, gdy zadzwonił telefon...

To był Zebra.

– Tak dawno się nie odzywałeś, że... – zaczął zgryźliwie Emil, jednak kolega natychmiast mu przerwał:

– Dobra, bez wstępów. Potrzebny mi jesteś. Zresztą i tak byś sobie tego nie darował, a rzecz w pewnym sensie ciebie dotyczy. A raczej... Dobra, to potem. Masz wolne? Możesz przyjechać?

– Ale co jest grane? Na komisariat? Teraz, zaraz?

– Na komisariat, jak najszybciej. To coś poważnego, naprawdę

poważnego. Jaj sobie nie robię. Nie mam za wiele czasu, a chciałbym wprowadzić cię w temat.

Emil wyprostował się, jakby wstąpiło w niego nowe życie. Poczł przyplływ adrenaliny. Reportaż zaczeka. Nie pali się.

– A nie mógłbyś choć w zarysie... – spróbował jeszcze wyciągnąć od kolegi nieco więcej informacji.

– Szkoda czasu, mówię! – przerwał mu komisarz. – Wsadzaj dupę w swojego grata i gazu!

Zapukał tylko do sąsiadki, żeby powierzyć jej opiekę nad kotem – zawsze tak robili, gdy oboje opuszczali dom na dłużej niż godzinę – i natychmiast wsiadł do samochodu. Na szczęście stary peugeot zapalił bez grymasów. Emil odetchnął z ulgą, bo niemal dwudziestoletni gruchot często potrafił mu sprawiać przykre niespodzianki. Już po chwili stał, klnąc, w korkach na trasie do śródmieścia. By skrócić sobie czas, włączył po cichu jazz. Muzyka nieco uspokoiła emocje. Zastanawiał się, o co może chodzić. Ostatnim razem udało im się rozpracować wspólnie szajkę lokalnych handlarzy dziełami sztuki na czarnym rynku. To była ważna, choć stosunkowo prosta sprawa. Ale teraz głos Marka brzmiał jakby mroczniej...

– Chcesz kawy? – zapytał prosto z mostu Zebra, zamykając drzwi.  
– Siadaj... A, już siedzisz...

– Kawy nie, już mi niedobrze od kawy. Piwa bym się raczej napił.  
Komisarz uśmiechnął się z politowaniem.

– Na komisariacie? Puknij się w czerep. Mogę ci dać colę. Mam, ale chyba jest ciepła i bez gazu.

– Chcesz, żebym się porzygał? To już nic nie chcę. Zapalić też nie można?

– To już nie te czasy, Żądło. Zapalisz sobie w samochodzie.

– No to gadaj wreszcie.

Marek podrapał się w swoją wciąż ogniście rudą czuprynę, jedynie na skroniach z lekka przetykaną srebrnymi nitkami. Jego piegowata

twarz zmieniła wyraz: nagle stała się skupiona, nawet z lekka zatroskana.

– Nie muszę ci chyba przypominać o zasadach...? – zaczął.

– Pary z gęby – obiecał Emil.

– Dobra. No więc krótko: dziś wczesnie rano w zaułku za Szadółkami przypadkowy przechodzień natknął się na nieboszczyka leżącego przy drodze, w pobliżu nietkniętego samochodu. Kiedy zadzwonił na sto dwanaście, był w szoku. Nadal pewnie jest, choć zajął się nim policyjny psycholog. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zrozumieliśmy dlaczego. To nie było zwykłe zabójstwo, a ofiara to nie zadźgany przez kumpla pijacek. Facet miał poderżnięte gardło, i... uważaj... znak pozostawiony na czole. Coś jakby pieczętkę. Kumaszczyk?

– Co to za znak?

– No właśnie. Coś dziwnego. Jakiś dziwaczny hieroglif, jakby taki uproszczony rysunek, a pod nim napis po polsku: „Nasza Pani”.

– Jakiś fanatyk religijny?

– Może i fanatyk, choć ten hieroglif nie kojarzy się raczej z religią, no... chrześcijańską. Nasi rzeczoznawcy nad tym pracują, ale już na wstępie powiedzieli, że nie jest to znak żadnego znanego pisma obrazkowego, nic z tych rzeczy. O ile to w ogóle jest jakieś pismo, a nie tylko symbol, rysunek. Być może nic nie znaczy, może ktoś go sobie wymyślił. Ale...

– Możesz mi go narysować?

– Potem ci go skopiuję i podeślę na maila. Nie mam talentu do rysowania. Może Marta...

– Właśnie o to mi chodzi.

– Okej.

– Samochód należał do nieboszczyka? Już to ustaliliście?

– Owszem. Toyota, prawie nówka. Czysty, żadnych śladów przemocy.

– I co, to już wszystko? – Emil wpatrywał się w kolegę intensywnie. Zebra dziwnie się zachowywał. Nie jak Zebra. Był jakby trochę spięty. – Dlaczego twierdziłeś, że ta sprawa mnie dotyczy?

Komisarz wstał z krzesła i zaczął spacerować wokół zawalonego teczkami i papierzyskami biurka.

– No więc właśnie – kontynuował. – Nie do końca ciebie, raczej...

Marty – przerwał i zerknął spod oka na Emila, który wpatrywał się w niego coraz bardziej zaniepokojony. – Spoko. Nie dosłownie. Ale wiesz, kim jest trup?

Żądło stracił cierpliwość.

– Skąd, do cholery, mam wiedzieć?! Może mi wreszcie powiesz?

Marek z powrotem usiadł naprzeciw niego.

– To niejaki Mieczysław Zdanowski, lat pięćdziesiąt pięć, człowiek orkiestra: historyk, historyk sztuki, archeolog, wykładowca i pracownik muzealny...

– Zaraz, zaraz! – Emilowi coś zaświtało. – Z muzeum Marty? Z Narodowego?

– Nie. Archeologicznego. Ale z tego, co zdążyliśmy ustalić...

– Marta była z nim wczoraj w delegacji. To znaczy, na takim wyjeździe w teren.

– Nie musisz mi tłumaczyć, co znaczy delegacja. No więc tak. Wychodzi na to, że twoja... żona...

– Bez jaj. Nie denerwuj mnie.

– No dobra, twoja... partnerka... jest ostatnią osobą, która widziała tego faceta żywego. Tak nam niestety wychodzi.

Tym razem to Emil zerwał się z miejsca i zaczął krążyć po niewielkiej zagraconej klitce, zwanej szumnie gabinetem komisarza.

– Z tego, co wiem, gość odwiózł Martę wczoraj wieczorem pod sam dom i odjechał stamtąd żywy. Chcesz powiedzieć, że Marta jest podejrzana? – Zatrzymał się wkurzony nad głową kolegi.

– Uspokój się, kuźwa. Nic takiego nie powiedziałem. Ale jest ważnym świadkiem, będziemy musieli ją przesłuchać, i to jak najszybciej. Jeśli pozwolisz, podjadę do was jutro, nie będę jej ciągnął tutaj. Ja bym się na twoim miejscu czym innym martwił – zawiesił głos.

– No? Masz dla mnie jeszcze jakieś niespodzianki?

– Owszem. Bo to nie jest pierwszy przypadek. Obawiałbym się, że Marcie może coś grozić. Bo jest jakby... związana z oboma przypadkami – dokończył zakłopotany komisarz.

Żądło usiadł ciężko na krześle:

– Wal – powiedział tylko.

Zebra wypił duszkiem resztkę kawy, która stała – zapewne od rana



– w szklance z koszyczkiem na jego biurku.

– Jakies dwa miesiace temu... moze pamietasz, bo sprawa byla dosc naglosniona, a Marta tez ci cos zapewne wspominala... musiala wspominala, bo znali sie dosc dobrze... zaginal wtedy inny naukowiec. Historyk z doktoratem i zarazem profesor kulturoznawstwa, popularny w srodowisku. Nazywal sie Marek Bernacki, lat czterdzieci siedem. Wspolpracowal tez okazjonalnie z Narodowym, choc zajmowal sie glownie kultura materialna starozytnosci i sredniowiecza, nie pamietam dokladnie, bo sie w tym nie rozeznaje, ale jakoz tak. W kazdym razie goosciu przepadl. Wyparowal jak kamfora. Na lesnym parkingu pod Gdanskim zostal tylko jego wozek. Samochod, znaczy. Porzucony. Przepytowalismy wtedy pracownikow muzealnych, twoja Marte tez. Podejrzewalismy, ze facet mogl celowo zniknac. Podobno utrzymywal podejrzan kontakt z cudzoziemcami, trzymajac je w wielkiej tajemnicy. Byc moze mial jakies zwiazki z nielegalnym handlem dziełami sztuki, moze ze srodowiskiem falszerzy. W koncu tamta szajka, ktora wylapalismy w zeszlym roku, to byly tylko pionki. Ale mamy tylko hipotezy. Zadnych dowodow, zero sladow, nic. On tez mogl pasc ofiara zabojstwa. Tyle ze sam dobrze wiesz: nie ma trupa, nie ma zbrodni. Choc w obecnej sytuacji...

Emil z trudem opanowal odruch siegnięcia po papierosa.

– Pamietam te sprawe. Ale to moze byc przypadek. Jaki jest zwiazek z tym zamordowanym archeologiem, poza tym, ze obaj byli naukowcami zwiazanymi ze sztuka czy historia, i ze Marta znala ich obu?

Komisarz przez chwile milczal.

– Otóz... – odezwal sie wreszcie – na karoserii jego samochodu, tego porzuconego w lesie, znalezlismy znak. Wtedy nie przywiazywalismy do tego szczegolnej wagi, ludzie maja w koncu rózne dziwactwa. Ale teraz... To byl ten sam znak co na naszym dzisiejszym nieboszczyku. Hieroglif i napis: „Nasza Pani”.

– I wy to olaliscie?!

– Daj spokój. Nie olalismy. Ale teraz ludziom odbijaja rózne szajby. Byly juz napisy „Chryste, umyj mnie” przed myjnią samochodową, wiec ktos mogl sobie napisac na masce nawet ode do

samej Matki Boskiej.

– Kurwa! – Wulgaryzm był jedyną reakcją, do której Emil czuł się w tej chwili zdolny. – Kurwa jego mać – powtórzył bezradnie.

Zebra chrząknął.

– No właśnie – zgodził się z Emilem. – Jeszcze jedna informacja na koniec. Do tej pory dłużyły w tej sprawie, a raczej sprawach, jednostki z Gdyni, Gdańska, a nawet z Pruszcza. Teraz zdecydowano się je połączyć i chyba słusznie, bo za dużo tu zbieżności, to samo środowisko, cudów nie ma, a w przypadki nie wierzę. Na wniosek prokuratora zostałem oddelegowany do komendy wojewódzkiej, od tej pory będę kierował śledztwem, bo to my prowadziliśmy postępowanie w sprawie czarnego rynku sztuką, które pamiętasz. Docenili mnie, jak widać, choć nie wiem, czy powinienem się cieszyć, czy raczej płakać. Na szczęście mam niezłe układy z prokuratorem Ząbkim, który nadzorował sprawę przemytników, i tę też poprowadzi. Znasz go, w porządku facet. Więc, cóż... chwilowo opuszczam mój komisariat. Jeszcze dziś muszę tu zrobić porządek – westchnął, obrzucając markotnym spojrzeniem panujący dookoła bałagan. Żądło nie zdziwił się: nie po raz pierwszy przenoszono Zebra na czas kierowania jakimś bardziej skomplikowanym dochodzeniem. Od lat cieszył się opinią jednego z najzdolniejszych śledczych w regionie, choć sam kurczowo trzymał się swojego ukochanego komisariatu, położonego blisko domu i w samym sercu „starówki”. To był jego drugi dom, tu czuł się u siebie. A najlepiej w tym swoim wiecznym bałaganie. Emil rzucił okiem na zegar i podniósł się pospiesznie.

– Z tym na mnie nie licz. Muszę jechać po Martę. To twój bajzel.

– Zabiłeś moją nadzieję. A poza tym mogę na ciebie liczyć? To znaczy na was? Ten cholerny hieroglif...

– Nie pytaj głupio. Pogadamy jutro, teraz na serio muszę już uciekać, chcę jeszcze złapać Martę w muzeum. I... gratulacje, stary draniu.

### Rozdział 3

Marta zerknęła na wiszący w pracowni stary zegar ścienny – dochodziła piąta. Czas się zbierać, uznała, miała za sobą ciężki dzień. Praca nad renowacją gotyckiego malowidła ołtarzowego wymagała precyzji i skupienia. Zajęła jej wiele godzin, a od zapachu chemikaliów – a może w równym stopniu od długotrwałej koncentracji – rozboleła ją głowa. Uchyliła okno. Zastanawiała się, czy warto zrobić sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty przed wyjściem. Zanim jednak podjęła decyzję, otrzymała esemesa od Emila: *Czekam przed muzeum, kiedy kończysz?*

Odpisała, że już schodzi. Ucieszyła się, że wygodnie dojedzie do domu, nie telepiąc się publicznymi środkami lokomocji. Nawet jeśli oznaczało to stanie w korkach: najwyżej się zdrzemnie w drodze. Grunt, że na siedząco. *Widocznie Emil wziął sobie do serca poranną sprzeczkę* – pomyślała.

Emil czekał na parkingu, dopalając przed samochodem papierosa. Uśmiechnęła się do niego już z daleka, by pokazać, że wszystko między nimi w porządku, ale szybko zauważyła, że nie jest w humorze. Wyglądał na spiętego i zdenerwowanego.

– Co się stało, że jesteś tutaj? – zapytała, sadowiąc się w aucie.

– Spotkałem się z Zebrą – odparł, ruszając. Nie spojrzał na nią. – Na komisariacie.

W Marcie obudziła się czujność.

– Na komisariacie? W co się znowu wplątałeś?

Nie chciała awantur, szybko zrozumiała, że to zbyt ostro

zabrzmiało, nerwy jednak wzięły górę. Z niezadowoleniem zarejestrowała, że zacisnęła usta, zanim odpowiedział:

– Ja w nic. To raczej ty się wplątałaś.

– Co takiego?! – teraz już krzyknęła.

Nie odpowiedział, manewrując między pojazdami. Nie odpuściła.

– Czy możesz mi zdradzić, o co chodzi?!

Stanęli na światłach.

– Nawet muszę – odezwał się wreszcie. – Bo jutro wieczorem Marek przyjedzie... cię przesłuchać.

– Słucham?!

Marta szarpnęła się gwałtownie, na ile pozwolił jej pas bezpieczeństwa. Torebka zleciała jej z kolan. Zakłęła pod nosem.

Ruszyli powoli naprzód.

– Co ty gadasz? Możesz wyrażać się jaśniej? Robicie sobie ze mnie jaja? – dopytywała coraz bardziej zła.

Emil zreflektował się, że przegina, odpowiedział więc polubownie:

– Czekaj, nie wiem, od czego zacząć. Chodzi o tego twojego kolegę, z którym byłeś w tych, no... tam, gdzie ten pałac.

– W Lubicach? O Mietka Zdanowskiego?

– Właśnie.

– I co z nim? O co tu chodzi? Mówże wreszcie, bo zwariuję!

– Dzisiaj go znaleźli... Został zamordowany.

– Co?!

– Marta, sorry, przykro mi. Tego właśnie chciałem uniknąć, myślałem, że uda mi się opowiedzieć ci to wszystko dopiero na spokojnie, w domu. Ale z tobą się nie da. Mój błąd, mogłem nie zaczynać. No więc facet nie żyje. Ktoś go załatwił, i to raczej nie przypadkowy przechodzień...

– Kiedy to się stało? Przecież wczoraj... – urwała.

– Najprawdopodobniej wczorajszej nocy. Znaleźli go rano, za Szadółkami. Na czole miał... pieczęć. Bardzo dziwną.

– Pieczęć? Jaką pieczęć? – powtórzyła oszołomiona.

– Podobno hieroglif. Ale nie traktowałbym tego zbyt dosłownie, wiesz, że dla Zebry każdy niezrozumiały znak, poczynając od cyrylicy, a na rysunkach z płaskowyzu Nazca kończąc, to hieroglif. Przypomnij

sobie, tak samo było z pismem japońskim. Zobaczymy. Marek ma mi go podesłać mailem.

Zamilkli. Każde przetrawiało na swój sposób usłyszane wiadomości. Dopiero we Wrzeszczu, gdy znów zatrzymali się na światłach, Żądło odezwał się ponownie:

– Muszą cię przesłuchać, bo jesteś ostatnią osobą, która widziała go żywego. To znaczy, na to wygląda. Tak wynika ze wstępnych ustaleń.

– Oprócz tego, kto go zabił, prawda? – poprawiła go.

– Dokładnie tak. Oprócz mordercy.

– Jestem podejrzana?

– Nie wariuj! – zachnął się. – Jaka podejrzana? Na tym etapie muszą rozmawiać z każdym, kto miał jakiś związek ze... z nieboszczykiem. Przecież wiesz.

Marta wyjęła z torebki swojego e-papierosa.

– Też mogę zapalić? – zapytał.

– Nie – odparła odruchowo. – To znaczy – poprawiła się – twoja sprawa, mnie nie przeszkadza, ale wiesz, że nie powinieneś palić, kiedy prowadzisz.

– Prowadzę? Głównie stoimy! Więc skoro pozwalasz, to skorzystam. – Sięgnął po papierosy. Zanim zapalił, uchylił okno i włączył wentylator, by Marta nie kręciła nosem. – Tak więc jesteś ważnym świadkiem – ciągnął dalej – i Zebra zapowiedział swoją wizytę u nas jutro pod wieczór. Nie chce ciągać cię na komendę, bo tam prowadzone jest śledztwo. Marek sam się więc do nas pofatyguje.

– Doceniam – parsknęła sarkastycznie. – I melduję, że naprawdę nie zamordowałam mojego kolegi. Jak zginął...? – dodała po chwili.

Wzruszył ramionami. Wolałby o tym nie mówić.

– Przypuszczalnie ktoś go walnął w łeb i poderżnął gardło.

– Biedak – wzdrygnęła się. – Ale o co może chodzić?

– No właśnie. To jeszcze nie wszystko. Znałaś też takiego gościa... czekaj... Bernacki?

– Marek Bernacki. Znałam, choć gorzej niż Mietka. On zaginął jakiś czas temu. Różne są spekulacje na ten temat.

– Na masce jego auta pozostawiono ten sam znak. Zebra mówi: hieroglif.

– Taki sam?! Ciekawe... Gubię się trochę. Chciałabym zobaczyć ten hieroglif. Może to symbol czego? Znam się trochę na symbolach...

– Wiem – wjechali wreszcie do Oliwy, nieco się tu przerzedziło. – Zaraz zobaczymy, pewnie mam go już w poczcie. W każdym razie sprawa wygląda dość poważnie. Spróbuj się zastanowić, w co oni obaj mogli być wmieszani? Bo może ten pierwszy także został zabity. Teraz policja musi i to zakładać. Zebra obawia się...

– Jestem zagrożona? Jakiś wariat morduje muzealników? Seryjny?

Zerknął na nią spod oka. Wreszcie skręcili w Opata Rybińskiego, biegnącą wzdłuż słynnego parku. Minęli wjazd do niewidocznej stąd katedry oliwskiej. Jeszcze trochę i będą w domu – odetchnął z ulgą.

– Nie kpij. To naprawdę nie jest zabawne.

– Ja nie kpię! – podniosła głos. – Ja się, cholera, boję! Rozumiesz? Ktoś zabija moich kolegów z pracy! Myślisz, że to takie hop-siup? Na serio się boję. Myślałam, że resztę życia spędzę w spokoju...

– Tym razem to nie moja wina – zastrzegł, skręcając w ich uliczkę.

– Wiem. Wiem. Zaraz się uspokoję. Muszę to tylko przemyśleć. I napić się herbaty.

Gdy wchodzili do mieszkania, z drzwi naprzeciwko wyjrzała sąsiadka.

– U naszego Bolerka wszystko w porządku, proszę państwa szanownych, śpi sobie. Pocziwy staruszek. – Uśmiechnęła się konspiracyjnie. – Zaglądałam do niego trzy razy!

– Jeszcze nie taki staruszek! – zaprotestowała Marta. – Ma swoje lata, ale świetnie się trzyma. Dziękuję, pani Reniu. Jest pani kochana.

Starsza kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Jak ja, pani Martuniu, zupełnie tak samo jak ja. To ja już znikam na mój serial. Dobranoc państwu!

Gdy weszli do środka, obiekt sąsiedzkiej troski powitał ich z wyprężonym puszystym ogonem. Marta zrzuciła buty, wzięła kota pod pachę i udało się wraz z nim prosto do kuchni, by nastawić wodę na herbatę i podgrzać jakiegoś gotowca z zamrażalnika. Emil natomiast poszedł prosto do komputera. Włączył pocztę i od razu stwierdził, że

wiadomość od Zebry już tam jest. Otworzył ją gorączkowo. Było tylko kilka słów, lapidarnych, jak to było w zwyczaju komisarza. Wylewny bywał jedynie w stosunku do swojej uwielbianej żony, Marii, którą z uporem – pomimo protestów z jej strony – nazywał Majeczką.

Komunikat był następujący:

*To ten cholerny hieroglif. Wysyłam całą pieczęć, masz w załączniku. Liczę na Wasz intelekt. Jutro pogadamy. M.*

Emil kliknął w załącznik. Jego oczom ukazał się rysunek, który go z miejsca zauroczył, i to nawet mimo ponurych okoliczności, w jakich został znaleziony:



Rozpoznał sylwetkę ludzką. Nie skojarzyła mu się, co prawda, z umieszczonym obok stylizowanym napisem – rozszyfrował go od razu jako: „Nasza Pani”, jak wcześniej wspominał Zebra – lecz raczej z postacią męską, być może wojownika. Choć schematyczna i mocno uproszczona, miała jakiś nieuchwytny wdzięk i wymowę.

– Marta! – zawołał. – Możesz podejść?

– Już idę! Tylko pomieszam! – odrzyknęła i już po chwili stanęła nad nim. – Przyszło...? O kurczę... – szepnęła, gdy tylko spojrzała na ekran. – Cholera, ależ to piękne jest...

– Prawda? Też mi się podoba? Szkoda tylko...

Zamilkł i machnął ręką.

– Szkoda, że w takim kontekście – domyślnie uzupełniła jego myśl.  
– Ale to moim zdaniem nie jest żaden hieroglif, to znaczy... wygląda mi to raczej na jakiś symbol, nie na element pisma. Choć oczywiście mogę

się mylić.

– Widziałaś już coś takiego kiedyś?

Zawahała się.

– Nie wiem. Wydaje mi się jakby znajomy. Mgliście... coś mi świta, ale... Nie odpowiem ci teraz, jestem tylko skromnym konserwatorem zabytków, moja wiedza na temat pism i znaków jest ograniczona. Tu potrzeba specjalisty. Ale spróbuję do czegoś dojść. Możesz mi to wydrukować? I powiększyć?

– Jasne.

Włączył drukarkę.

– Z pewnością nie wygląda to na robotę jakiegoś przypadkowego półgłówka. To jest przemyślane i ma nam coś konkretnego powiedzieć – dodał.

– Też jestem tego zdania. Niestety.

Marta westchnęła.

– Ta postać... – kontynuował Emil. – To twoim zdaniem kobieta? Jakaś władczyni, królowa? Bóstwo?

– Sądysz z napisu „Nasza Pani”? – domyśliła się. – Nie, to wcale nie musi tak być. Postać mi wygląda zdecydowanie bardziej na męską. Ale nie znamy kręgu kulturowego, trudno wyrokować. Rysunek sprawia wrażenie autentycznego. To znaczy, wygląda jak skopiowany z jakiegoś oryginału. Bardzo starego, starożytnego. Ale to też tylko moja intuicja. Jeśli nie jest to znak jakiejś wojowniczej bogini, to uzbrojona postać obok... bo to chyba jest broń, te rzeczy, które trzyma w rękach... może symbolizować... bo ja wiem, na przykład walkę w obronie jakiegoś kultu? Ale ja tylko spekuluję. Daj mi czas, poszperam.

– Zebra...

– Wiem, wiem! Zdążyłam przeczytać wiadomość. Jak zwykle w nas wierzy. – Uśmiechnęła się. W obliczu intelektualnego wyzwania zazwyczaj wracała do psychicznej równowagi. – Zrobię, co się da. Od razu po kolacji zacznę. Też mnie zafascynował ten symbol... Dziwne. Coś w nim jest takiego, że przyciąga.

Na późny obiad zjedli bukiet warzyw z patelni, popijając potrawę



piwem – ciemnym piwem, bo Marta ostatnio upierała się wyłącznie przy ciemnym. Oczywiście jedząc, rozmawiali o tajemniczej pieczęci. Oboje nie potrafili przestać o niej myśleć.

– A może to znak jakiejś tajnej organizacji? – podsunął Emil.

– Masz na myśli organizację przestępczą? Jakąś mafię?

Nadział na widelec kawałek brokuła, przyglądając mu się w zadumie.

– Sam nie wiem, co mam na myśli – oparł. – Ale raczej tak, skoro został użyty w przestępstwie.

Marta wzruszyła ramionami:

– Też niekoniecznie. Ktoś mógł posłużyć się dowolnym symbolem dla zmyłki. Ale może i dobrze kombinujesz: to może być coś w rodzaju logo... Jeśli należy do jakiegokolwiek znanej organizacji, nie będzie problemu z identyfikacją. A jeśli do jakiegoś gangu...

– To już robota dla policji – wszedł jej w słowo, zbierając puste talerze, by włożyć je do zlewu. – Zostaw, zmyję. Chciałaś się położyć.

– Zdrzemnęłabym się trochę – pokiwała głową. – Z godzinę. Potem mnie obudź.

– Pewnie. Idź.

Dopili piwo. Marta poszła do sypialni, Bolero oczywiście pobiegł za nią. Na krok jej nie odstępował, gdy tylko była w domu, pilnował każdego jej kroku, tak jakby cenił każdą minutę, którą mogą spędzić razem. Emil umył naczynia i otworzył sobie jeszcze jedno piwo. Tym razem jasne. Usiadł do komputera, zamierzając poszukać w Internecie informacji na temat obu naukowców: zaginionego oraz zamordowanego. Z pewnością coś publikowali, mieli osiągnięcia. Może nawet udzielali się na portalach społecznościowych? W sieci można znaleźć wszystko. Nie zdążył jednak wejść do wyszukiwarki, bo zadzwoniła jego komórka. Zostawił ją na blacie kuchni, musiał więc wstać i iść po nią. Na szczęście zdążył, zanim dzwoniący zrezygnował.

– Emil, cześć! – Usłyszał energiczny głos Ewy z redakcji „Rozgwiadzy”.

– A, cześć. Co tam słyhać? Coś do poprawki w tekście?

– Nie, nie, wysłałabym ci mailem, gdyby tak było, nie ma poprawek, tylko normalna korekta. Jesteś perfekcjonistą! – Zaśmiała się.

– Chciałam tylko zapytać, czy możemy liczyć na kolejny tekst? Wiesz, że z twoim nazwiskiem gazeta sprzedaje się jak ciepłe bułki...

Upił łyk piwa i usiadł z powrotem przed komputerem. Zawahał się. Z jednej strony nie chciał rozczarować życzliwej sobie redakcji, z drugiej... co innego miał teraz na głowie.

– Właśnie chciałem was prosić o wyrozumiałość – zaczął zmieszany – i o krótką przerwę. Mam trochę zaległych zleceń, a do tego...

– Nie mów, że znowu prowadzisz jakieś śledztwo!

– No... – zakłopotał się.

– Dooobra, wszystko wiemy! – Znowu zachichotała. – Od pani Marysi. Przepraszam, od Marysi, nie lubi, kiedy mówimy jej na pani!

Ponieważ Emil milczał, kontynuowała niezrażona:

– Co, zaskoczony? Marysia powiedziała nam tylko, że coś się dzieje, bo jej mąż kieruje nowym śledztwem, więcej nic nie chciał zdradzić, nawet żonie. Ale wspomniała, że pewnie też będziesz zajęty, widocznie coś jej się obilo o uszy. Ty też nie puścisz farby?

– Nie, Ewciu.

– Nawet nam?! – zawiesiła głos. – Okej, okej. Rozumiem!

– Przecież wiesz...

– Wiem, wiem. Tajemnica. Liczymy tylko, że później coś nam z tego skapnie...

– Może. Na razie musicie sobie radzić beze mnie i nie wścibiać nosów, gdzie nie trzeba. – Postarał się, by jego głos zabrzmiał surowo.

– Jasne. Emil... – Głos dziewczyny nagle spowaźniał. – Jeszcze jedno. Bądźcie ostrożni. Maria... sam wiesz, przez co przeszła. Po stracie córki strasznie trzęsie się o męża. Jest dla niej całym życiem. Strach myśleć, co by było, gdyby...

Żachnął się.

– Ewa, wszystko rozumiem, ale Zebra jest policjantem. Taką ma robotę. Czasem jest ryzykowna, ale to fachowiec wysokiej klasy, Maria z pewnością zdaje sobie z tego sprawę. Wspierajcie ją, nic więcej nie da się zrobić.

– Oczywiście. Ty też na siebie uważaj.

– Będę uważał. – Zanim wyłączył telefon, zdał sobie sprawę, że

Marta stoi w drzwiach.

– Nie śpisz? – zapytał głupio.

– Przyszłam tylko po książkę, poczytam sobie, zanim zasnę. Cały czas chodzi mi po głowie ten symbol... Może na coś wpadnę. Przypadkowo słyszałam, o czym rozmawiacie. To była Ewa, tak?

– Tak. Martwi się o Marię.

– A Maria martwi się o Marka. Tak samo jak ja o ciebie.

– Wiem.

– Non stop żyję w strachu, że pewnego dnia...

Wstał i mocno ją przytulił.

– Czy dlatego nie chcesz się ze mną wiązać? – Podkusiło go po raz kolejny.

Marta wyślizgnęła się z jego objęć.

– Nie, nie dlatego. To nie ma nic do rzeczy, Emil. Ja po prostu... nie lubię czuć się opieczętowana. Nie cierpię kontroli i biurokracji. To nie ma żadnego związku z tobą, i tak jesteś dla mnie najbliższym człowiekiem na świecie. Myślałam, że wiesz o tym. Cenię sobie wolność. Nie w sensie... że od ciebie, ale od zakusów urzędników na moje życie osobiste. Nie cierpię podporządkowywania się formalizmom władzy. Paragraf nie jest nam potrzebny do szczęścia. To tylko oni chcą, żebyśmy tak myśleli.

Podeszła do półki i wyszukała kilka książek. Przejrzała je pobieżnie, dwie odłożyła z powrotem, a dwie zabrała ze sobą.

– Ale jeśli to dla ciebie aż tak ważne, to...

– Tak? – Uśmiechnął się z dobrotliwą ironią.

– Pogadamy o tym jeszcze – obiecała, wchodząc do sąsiadującej z pokojem dziennym sypialni. Zamknęła za sobą drzwi.

Emil uśmiechał się nadal. Znał już te obietnice na pamięć. Wiedział, że Marta nie kłamie – pogadają. Kiedyś...

*Nazajutrz*

Z samego rana wydzwaniał Kleczko, odwieczny antagonista Emila,

naczelną tygodnika „Życie Wybrzeża”. Nie miał aktualnego numeru komórki Emila, dzwonił więc na stacjonarny, niezmienny od lat. Trafił na Martę, która jak zawsze w pośpiechu szykowała się do pracy, podczas gdy Emil siedział jeszcze w łazience.

– Czego chciał?

– Nie wiem, bo jak zwykle kręcił, ale odniosłam wrażenie, że chciałby wyciągnąć od ciebie jakieś informacje.

– I co mu powiedziałaś?

– Spławiłam dziada – odparła ze śmiechem.

– Bardzo dobrze. Ale pewnie zaraz zadzwoni jeszcze raz. Kleczko tak łatwo nie odpuszcza. Cwaniaczek jeden...

– Może nie, bo pogoniłam go dość ostro. Powiedziałam, że nie życzysz sobie współpracy z jego gazetą, o czym on doskonale wie, nie od dziś. Rozłączył się bez pożegnania, więc chyba już ponownie nie zaryzykuje.

– Jesteś wielka! Kocham cię za to!

Roześmiali się oboje.

– Nie zapomnij, że wieczorem mamy tu Zebrę – przypomniat, zanim wyszła. – Przyjechać po ciebie?

– Nie trzeba, dziś mnie odwozi Krystyna, kończymy razem. Będę na czas. No, leczę, bo mi kolejka ucieknie, pa!

Telefon Kleczki podsunął mu myśl, żeby sprawdzić wiadomości w mediach. Pewnie coś już mówią o morderstwie znanego naukowca, w końcu Kleczkę coś musiało zdopingować do działania. Starannie prześledził informacje dnia, najpierw w Internecie, a następnie w radiu i telewizji, zwłaszcza w programach lokalnych. Owszem, znalazł krótkie notki. Wszystkie raczej powściągliwe, wręcz lapidarne. Nikt na szczęście nie łączył jeszcze tego zabójstwa z zaginięciem pierwszego naukowca. Widać, że policja postarała się o to, być może nawet sam Zebra miał w tym swój udział.

Zasiadł więc do kontynuowania poszukiwań internetowych na temat obu uczonych. Odnośników było sporo, większość do różnych publikacji naukowych oraz wykładów. Żaden z naukowców nie miał jednak konta ani na Facebooku, ani na Twitterze, przynajmniej nie pod własnymi nazwiskami. Zdołał jednak dość szybko ustalić, że zarówno

jeden, jak i drugi interesowali się zagadnieniami z dziedziny starożytności, w szczególności antyku. Zajmowali się na przykład historią starożytnej żeglugi, ale także kulturą kreteńską i fenicką. Zdanowski uważany był także za eksperta od sztuki etruskiej, a Bernacki w zakresie kultury materialnej Cyklad. Emil doszedł do wniosku, że zainteresowania mieli bardzo szerokie, bo publikowali także liczne artykuły na temat budowli megalitycznych oraz kamiennych kręgów pochodzenia gockiego, także tych znajdujących się w pobliżu – w Odrach i Węsiarach. *Pasjonaci* – stwierdził – *a może po prostu... niespełnieni*. Zastanawiał się, co może łączyć te wszystkie tematy i doszedł do wniosku, że chyba właśnie ta żegluga: wszystko to były, jeśli dobrze się orientował, kultury morskie. Nie miał jednak pojęcia, czy ten fakt ma jakieś znaczenie. Marta potwierdziła, że się znali, zresztą nie mogło być inaczej w tak niedużym środowisku zawodowym, w jednym mieście na dodatek – wszyscy się tu musieli znać, choćby z widzenia lub słyszenia.

Wydrukował sobie wszystko, co znalazł i zadzwonił do Marty, by upewnić się, że dojechała szczęśliwie. Nie chciał siać paniki, jednak przypomniały mu się stare koszmary. Lepiej dmuchać na zimne, dopóki coś się nie wyjaśni. Nie wierzył w seryjnego zabójcę naukowców, ale na tym świecie wszystko jest możliwe. Marta była zajęta pracą, więc rozmawiali krótko. Poprosił ją tylko, żeby przypadkiem się z czymś nie wygadała, ale jednocześnie miała oczy i uszy otwarte, szczególnie na wszelkie informacje, plotki i pogłoski związane ze Zdanowskim. Wiadomość o jego śmierci już się rozeszła, więc na pewno będą o nim rozmawiać, pojawią się domysły i spekulacje. Marta obiecała mu to, po czym stwierdziła, że musi wracać do roboty, więc się rozłączyli. Zgodnie z umową poszedł do sklepiku na rogu po zakupy, by wieczorem zająć się szykowaniem kolacji dla trojga. Po powrocie zagłębił się w lekturze wydrukowanych tekstów, po cichu licząc, że trafi gdzieś na rysunki podobne do tego z pieczęci. Nic takiego jednak nie znalazł...

– Mówisz... hiszpański inwestor? – mruknął w zadumie Marek Zebra, zamykając notes i wyłączając dyktafon po zakończonym

oficjalnym przesłuchaniu. Marta zerknęła na niego zdziwiona.

– Podobno – przyznała. – Mietek o tym wspomniał. To znaczy... Zdanowski. A co? To istotne?

Komisarz ocknął się z namysłu.

– Nie, nie. Nie wiem. Tak się tylko zastanawiam. Gmina nie bardzo rwie się do ujawniania tajemnic handlowych, zasłaniają się kancelarią adwokacką, zresztą może sami nie wiedzą, a my póki co nie chcemy naciskać, bo może to faktycznie bez znaczenia. Ale ten wasz inwestor wydaje mi się dziwnie tajemniczy...

Wzruszyła ramionami.

– Często tak jest w biznesie – zauważyła.

– Wiem. Dziwne tylko... – zawahał się. – Dziwne, bo tajemniczy cudzoziemcy już nam parę razy w tej sprawie wypłynęli. No nic, jakbyś czegoś się o tym inwestorze dowiedziała nieoficjalnie, daj mi znać.

– Jasne.

– No i ten cholerny hieroglif...

– To nie jest hieroglif! – Roześmiała się. – Ale rozumiem, o co ci chodzi.

– Poszperasz? Nasi rzeczoznawcy to albo kompletne dupy wołowe, bo do niczego jeszcze nie doszli, albo ten znaczek jest jakąś ściemą.

Włączył się Emil:

– Albo jest tak mało znany, że trudno go tak szybko zidentyfikować?

– Też możliwe.

– On mi się coraz bardziej z czymś kojarzy – wtrąciła Marta. – Jestem prawie pewna, że gdzieś już go widziałam.

– Dlatego na ciebie liczę. – Uśmiechnął się do niej komisarz, głaszcząc Bolera, który tymczasem wskoczył mu na kolana.

– Już nie jestem podejrzana? Nie uważasz mnie za potencjalną morderczynię kolegów po fachu?

Zebra spoważniał.

– Uważam.

– Co?

– To wy nie wiecie, że wszyscy jesteśmy potencjalnymi mordercami. – Zaśmiał się. – Żartowałem!

– Kretyn. – Emil popukał się palcem w czoło. – Lepiej nie drażnij Marty.

Komisarz wstał, by rozprostować kości.

– Cóż, nie za wiele mi do tej pory pomogliście. Wszystko, co Marta mi powiedziała, w zasadzie już wiedzieliśmy. Śledztwo trwa dopiero od wczoraj, ale zdążyliśmy już przepytac już bliskich i współpracowników, dam ci listę, żebyś sam ich przemaglował, bo i tak wiem, że to zrobisz, a po co masz tracić czas na szukanie delikwentów. Może do dziennikarza będą rozmowniejsi, ludzie kochają media – parsknął. – Skupcie się na tym przekętym hieroglifie. Czy jak go tam chcecie nazywać. To jest moim zdaniem klucz do zagadki.

– I związek pomiędzy tymi dwoma – dodał Emil.

Marek skinął głową:

– Zapewne. A teraz przejdźmy może do części nieoficjalnej, jeśli łaska... Podobno macie jakąś kolację?

Marta gestem zaprosiła ich do kuchni, gdzie urządzili też kącik jadalny.

– Mamy. – Mrugnęła. – I to jaką!

– Jaką?

W głosie komisarza dało się usłyszeć nadzieję. Odkąd się ożenił, zaczął cenić dobrą kuchnię.

– Pizzę! Z mrożonek! – Roześmiała się. – Żartuję. Nie tylko pizzę. Jest też sałatka. Emil sam wykonał, za to ja osobiście doprawiłam, bo jestem mistrzynią kuchni. No i piwo, ale ty i tak nie możesz pić.

– Nie mogę – przyznał ze smutkiem. – Dla mnie woda.

– Nie ma wody. Sok.

– Może być.

Przeszli za Martą do kuchni. Po drodze Emil, ścisząc głos, zagadnął jeszcze komisarza:

– Myślisz, że Marcie coś grozi?

– Wiesz, zawsze lepiej sądzić, że tak. Ale bez paniki. Jeszcze tak naprawdę nic nie wiemy. Skupcie się na tym... no... I uważajcie na siebie, na wszelki wypadek. O wszystkim, co się dzieje, masz mi meldować!

Emil zasalutował i dostał szturchańca. Usiedli do stołu nakrytego

już oryginalnym, ręcznie haftowanym w kaszubskie kwiaty obrusem.  
Spadek po babce Emila. Marta wyjęła pizzę z piekarnika.

– Ech, stare, dobre czasy mi się przypominają... – Pociągnął  
nosem Marek Zebra. – Młodość...

– A widzisz? Wiedziałam, czym ci sprawić frajdę!



## Rozdział 4

Obudził się późno, bo wczorajszego wieczoru trochę zabalowali. Gdy zerknął na zegar, przeraził się – dochodziło południe. Na poduszce obok niego spał tylko kot. Nadal jednak nie chciało mu się wstawać. Zdziwił się, gdy z sąsiedniego pokoju dobiegł go charakterystyczny dźwięk stukania w klawiaturę. Dziwne. Był przekonany, że Marta dawno już wyszła do pracy...

Zwlekł się w końcu z łóżka, by sprawdzić, o co chodzi. Zarzucił na siebie granatowy flanelowy szlafrok – początkowo przedmiot sporów – zakupiony przez Martę na jego urodziny, do którego zresztą w końcu przywykł i nawet go polubił, choć za skarby nie chciał się do tego przyznać. Uchylił cicho drzwi i ostrożnie wyjrzał. Rzeczywiście, Marta siedziała przed komputerem, obłożona stosami książek.

– Hej – odezwał się zaspanym głosem, wciąż nie mógł się dobudzić. – Co ty tu robisz? Nie pojechałaś do muzeum?

– Co? – Drgnęła. – A, wzięłam wolne. Chcę posiedzieć nad tym... „hieroglifem”...

– I nic mi nie powiedziałaś – obruszył się.

– Dopiero dzisiaj na to wpadłam. I tak zasnęłam, więc zadzwoniłam do szefowej i powiedziałam, że nie czuję się najlepiej. Sama kazała mi zostać w domu, mogę wykorzystać zaległy urlop. Przyda mi się teraz. Nie mam w tej chwili żadnych pilnych renowacji, poradzą sobie przez kilka dni beze mnie. Idź się myj i zjedz śniadanie, nie przeszkadzaj! Muszę się skupić.

– Jasne, zresztą i tak zaraz po śniadaniu wychodzę. Pracuj sobie w spokoju. Może coś znajdziesz. – Powlókł się do łazienki.

Pod prysznicem obmyślał plan dnia: otrzymał wcześniej od Zebry listę przesłuchanych osób. Zacznie od tego i też sobie z nimi pogada. Na pierwszy ogień spróbuje ze znajomymi Zdanowskiego. Z tego, co mówiła Marta, rodziny nie miał. Przynajmniej bliskiej. Będzie prościej. Gdy szykował sobie kanapki na śniadanie, coś mu przyszło do głowy. Zajrzał do pokoju.

– Marta, wybacz, że ci znowu przeszkadzam, ale mam pytanie. Czego szukał ten twój Mietek w pałacu? Podziemi? Dobrze pamiętam?

Marta niechętnie oderwała wzrok od ekranu.

– Tak – odparła. – Wejścia do podziemi. A co?

– Pytam z ciekawości. Nie znalazł ich, to już wiem. Ale po co mu były podziemia?

Wzruszyła ramionami, powracając do komputera.

– Tylko sprawdzał – zbagatelizowała.

Emil podrapał się po nosie. Zwykle to robił odruchowo, gdy o czymś intensywnie myślał.

– Myślisz, że tam naprawdę mogły być jakieś podziemia? – drążył, niezrażony. – Lochy albo coś takiego?

– Zaczekaj... Szczerze mówiąc, wątpię – odpowiedziała po chwili, odrywając się od swoich notatek. – Każda miejscowość, w której stoi lub stał jakiś dawny pałac, zamek, klasztor czy coś innego, ma takie legendy: lochy, tajemnicze podziemne komnaty, krypty lub tunele. Tutaj tak samo. Rzeczywistość jest zazwyczaj bardziej prozaiczna. Piwnice były, reszta to już pewnie ludowe fantazje. Piwnice znaleźliśmy. Rozległe i pokręcone jak jakiś labirynt. W czasach, gdy pałac należał do PGR-u, składowano w nich kartofle i buraki. Teraz stoją puste, po remoncie idealnie nadadzą się na sauny, kręgielnie, bilardy i tak dalej. Może nawet na nastrojowy bar lub kawiarnię. Masz jeszcze jakieś pytania, bo... – Zerknęła znacząco na stos książek, oczekujący na biurku, pod biurkiem i dookoła biurka.

– Nie, dzięki, na razie to wszystko. – Wycofał się z powrotem do kuchni. – Chcesz kawy? – zapytał jeszcze z korytarza.

– Poproszę!

Zjadł śniadanie i zaniósł Marcie filiżankę. Uchylił okna: dzień był upalny, bezwietrzny, wręcz duszny. Pachniało latem. *Będzie burza* – pomyślał przelotnie, pakując do torby fotograficznej dodatkowo: dyktafon, zeszyt i długopisy. Lustrzankę cyfrową nosił ze sobą zawsze, nie rozstawał się z nią. Oznajmił Marcie, że wychodzi i wróci dopiero pod wieczór. Pomachała mu tylko w odpowiedzi, pochłonięta swoimi badaniami.

Już z samochodu zatelefonował do komisarza. Jak się okazało, złapał go akurat w terenie. Marek wyraźnie spieszył się i nie był szczególnie zachwycony perspektywą rozmowy z przyjacielem.

– Stary – zaczął więc ostrożnie. – Nie chcę ci przeszkadzać, ale muszę o coś zapytać, będę się streszczał. Czy zabezpieczyliście komputery i komórki tych dwóch gości?

– Głupie pytanie, wszystko zabezpieczyliśmy! – oburzył się Zebra. – Nasi technicy to sprawdzają. Oprócz komórki Bernackiego... tego pierwszego, którego wcięło. Jego telefon też wcięło. Przepadł razem z nim. Numer nie odpowiada. Bilingi Zdanowskiego dostaniemy niedługo. Mamy też jego laptopy, prywatny i służbowy, oraz komputer stacjonarny, którego używał na uniwerku. Komputer Bernackiego przeszukiwaliśmy wcześniej, ale teraz zrobimy to jeszcze raz.

– Powiesz mi, co znaleźliście...?

Policjant chrząknął znacząco.

– Tyle, ile będę mógł. A teraz spadaj, bo mam robotę!

– Rozumiem. – Emil uśmiechnął się do siebie. – Dzięki, już spadam.

Przejrzał listę nazwisk i wziął kurs na Pruszcz Gdański, gdzie na przedmieściach mieszkał – oczywiście za życia – Mietek Zdanowski.

Dom Zdanowskiego znalazł na obrzeżach: była to całkiem okazała parterowa willa, otoczona zaniedbanym nieco trawnikiem i od strony ulicy obramowana szeregiem tui. Oczywiście ciemna i opieczętowana, tak jak się tego spodziewał – Zdanowski mieszkał sam. Sąsiadował z nim płot w płot drugi, mniejszy dom; w ogrodzie pośród barwnych kwiatowych rabat krzątała się kobieta w słomkowym kapeluszu, a na

parapecie leniwie wygrzewały się w słońcu dwa bure koty. Nadal było duszno, w powietrzu czuło się jakiś ciężar. Inne zabudowania znajdowały się w pewnym oddaleniu, oddzielone ulicą i niezagospodarowanymi posesjami. Na zagajenie Emila kobieta wyprostowała się i uśmiechnęła zachęcająco. Była to starsza pani, na oko dobrze po siedemdziesiątce, ubrana w gustowny strój „roboczy”.

– Tak? W czym mogę panu pomóc? – zapytała, podchodząc do furtki. Zza domu wybiegł mały beżowy piesek, obszczał go na powitanie, szczerząc groźnie małe ząbki. – Cicho, Pikuś! – uspokoiła go gospodyni.

– Nazywam się Emil Żądło. – Podał jej przez ogrodzenie swoją wizytówkę, kobieta jednak tylko przelotnie na nią zerknęła. – Jeśli można, chciałbym porozmawiać z panią chwilę o panu Zdanowskim, nie zajmę dużo czasu...

– O świętej pamięci panu Zdanowskim – westchnęła, przyglądając mu się uważnie. – Ale u mnie już była policja, o wszystko wypytała.

– Nie jestem policjantem – wyjaśnił. – Jestem dziennikarzem, dziennikarzem śledczym, prowadzę własne dochodzenie, ponieważ... zmarły był bliskim znajomym mojej żony, pracowali razem – dodał, czując, że inaczej nie wzbudzi zaufania starszej pani. Przecież nie skłamał.

Kobieta zawahała się.

– A dużo ma pan pytań? Bo...

– Niedużo, dosłownie kilka – odparł pośpiesznie. – Możemy spokojnie porozmawiać tutaj, przy furtce.

– Przepraszam. Niech pan wejdzie, porozmawiamy w ogrodzie. Ja... rozumiem pan, trochę obawiam się obcych, szczególnie teraz, po tym, co się stało... taka straszna rzecz... zabójstwo sąsiada!

Uchyliła furtkę.

– Oczywiście, doskonale panią rozumiem. I ma pani rację, trzeba być ostrożnym. Chciałbym tylko wiedzieć, jakim sąsiadem był pan Zdanowski. W tak bliskim sąsiedztwie znali się pewnie państwo dobrze?

Kobieta wyraźnie się zakłopotowała.

– Wie pan... i tak, i nie. – Wskazała ręką drewnianą ławkę, stojącą nieopodal. – Może tam usiądźmy? Zapraszam. No więc, jakby to

powiedzieć... Pan Mieczysław nie był zbyt wylewnym człowiekiem. Ani towarzyskim. Raczej takim... zamkniętym w sobie. No i wiecznie zaganianym, wcześniej wyjeżdżał, późno wracał, cóż, pan to pewnie wie. Niby człowiek latami z kimś sąsiaduje, a jednak bliskości nie ma. Przedtem mieszkał tu razem z małżonką. Wtedy było inaczej, ona była przemiła i uczynna. No ale... wyprowadziła się, będzie ze dwa lata temu. Nie wyszło im. Nawet się nie dziwię, bo stale sama w domu siedziała, młoda przecież jeszcze kobieta...

– Tak bywa. – Emil pokiwał głową. – Czyli nie rozmawiała pani często z sąsiadem?

– Tylko tak zdawkowo, przez płot, wie pan: dzień dobry, do widzenia, o pogodzie, nic osobistego, on nigdy nie miał czasu na pogaduszki, zawsze się gdzieś spieszył. Do koszenia trawnika brał chłopaka, bo sam nie miałby kiedy. No i chętny nie był. Ja rzadko opuszczam dom, ale raz musiałam wyjechać do córki na sobotę i niedzielę, bo wnuk zachorował. To poprosiłam go, żeby zajrzał do mnie, dwa kroki raptem, zwierzaki nakarmił, psa wypuścił do ogrodu. Bo ja mam dwa koty, psa i króliczka. Niewiele roboty, rano i wieczorem by wystarczyło. Ale odmówił. Musiałam prosić dalszych sąsiadów, oni się chętnie zgodzili, sadzonek im za to dałam...

– No tak, czyli pomocny nie był. A miewał gości? Szczególnie ostatnio?

– Prawie nigdy nikt u niego nie bywał – odpowiedziała stanowczo.  
– Jak jeszcze z żoną razem mieszkali, to czasem ich ktoś odwiedzał. Potem to już prawie wcale. On tu wpadał jak do hotelu. Choć ostatnio... jak tak pan zapytał, to coś mi się przypomniało...

– Tak? – zachęcił ją Emil.

– Właśnie się nawet dziwiłam, bo w przeciągu ostatniego tygodnia dwa razy przyjeżdżał do niego jakiś pan. A może to byli dwaj różni panowie, nie jestem pewna, bo z za żywoplotu za dobrze nie widać, a tych samochodów to ja teraz nie rozróżniam. Pod wieczór to zresztą było, jak już film szedł w telewizji. Wyrzałam, bo sobie pomyślałam, że może do mnie kto podjechał, czasem syn zagląda wieczorową porą. A za drugim razem to kota akurat wpuszczałam do domu. Do późna siedzieli panowie, raz i drugi. Słyszałam, bo jak odjeżdżali, to mój Pikuś za

każdym razem czekał, on taki czujny jest – poklepała psiaka czule po zadku i dodała: – Chyba nie po naszymu gadali. Nawet mnie to, powiem panu, zdziwiło: nigdy nikt, a tu raptem dwa razy pod rząd goście. I to z zagranicy! Policjantom też o tym mówiłam. Ale mam prośbę: pan o mnie nie napisze, dobrze? Obieca pan? Tutaj mało ludzi mieszka, wolę, żeby nie było, że wścibska stara baba ze mnie...

Emil obiecał, po czym podniósł się z ławki, dziękując za rozmowę. Zrozumiał, że niczego więcej się już od kobiety nie dowie, ale i tak był zadowolony. Obraz ofiary zaczął rysować mu się w głowie. Zgadzał się zresztą z tym, jaki odmalowała mu Marta. Ona także nie potrafiła zaprzyjaźnić się ze Zdanowskim, choć nie czuła do niego antypatii. Po prostu jakby żył w swoim świecie. Do nikogo się specjalnie nie zbliżał, ludzie za nim nie przepadali. Dobry profesjonalista, pochłonięty pracą, reszta świata się dla niego nie liczyła.

– A czy mogę zapytać... jak zginął pan Mieczysław? Ktoś go napadł? – zapytała jeszcze gospodyni, odprowadzając do furtki. Pokiwał głową:

– Tak. Na to wygląda – wymigał się od dokładniejszej odpowiedzi. Wiedział, że dla dobra śledztwa policja nie ujawnia szczegółów tej zbrodni. Na co zresztą starszej kobiecie taka makabryczna wiedza...

Pożegnał się, przeprosił za zajęty czas i wrócił do samochodu. W Pruszczu miał jeszcze jedno miejsce do odwiedzenia, tymczasem coraz bardziej zbierało się na burzę, a przynajmniej na potężną ulewę. Dosłownie wisiała w powietrzu. Chciał zdążyć do Gdańska, zanim rozpęta się nawałnica.

Była żona Zdanowskiego okazała się atrakcyjną szatynką w okolicach pięćdziesiątki, energiczną i zadbaną. Wraz z nowym partnerem zajmowała niedużą kawalerkę w osiedlowym bloku z lat 70. lub 80. Poczęstowała go kawą i tylko z początku była bardziej ostrożna, ale raczej chętna do rozmowy.

– Proszę pana, skoro pan pyta, to panu powiem szczerze – oznajmiła stanowczo. – Był zwykłym dupkiem! Egoistą bez skrupułów. Zawsze taki był, teraz to rozumiem, choć jak człowiek młody, to głupi.

Ślepa musiałam być, kiedy się z nim wiązałam, a nie było to wcale aż tak dawno, bo zaledwie czternaście lat temu. Imponował mi: wykształcony, z tytułami, zapalony naukowiec. Jajogłowy cholerny! Byłam młodą wdową, pierwszy mąż zginął w wypadku motocyklowym. Jak pan widzi, życie mnie nie oszczędzało. On wcześniej był kawalerem, już rozumiem dlaczego. To było nieudane małżeństwo, a skończyło się kompletnym fiaskiem. Dopiero teraz wyszłam na prostą, lepiej późno niż wcale. – Pogłaskała po dłoni siedzącego przy niej brodacza w okularach, który w odpowiedzi uściśnął jej rękę. – To już powiem do końca, a niech tam. Dziecka mieć nie chciał, a ja o tym marzyłam, jeszcze mogłam, choć licznik bił. Pierwszy mąż był bezpłodny, leczył się, ale nie zdążyliśmy, więc miałam nadzieję, że teraz się uda... Ale nic z tego, on tak zdecydował! Oczywiście sam, moje zdanie się nie liczyło. Teraz – zaśmiała się gorzko – zaadoptujemy sobie z Piotrem psa albo kota. Bo nawet na in vitro za późno. Przebolełam, chyba go jeszcze wtedy kochałam, idiotka. Co z tego, kiedy i tak nie był ze mnie zadowolony. A na koniec mnie wyrolował, pozbawił wszystkiego, łącznie z honorem! – Zaciśnęła usta. Wypowiadała się bardzo emocjonalnie, i choć bez ogródek, czuło się, że szczerze.

– Jak to się stało, że wyprowadziła się pani ze wspólnego domu? – Zaryzykował. – To duża posesja, mieszka tam sam, a pani...

– O to właśnie chodzi! – zawołała. – Ten drań oskarżył mnie o zdradę, wystąpił o rozwód z orzeczeniem winy. Wszystko było przeciwko mnie, sąd by mu uwierzył. Do tego taka ważna persona. A ja co, kura domowa bez pracy, bo mi pracować nie pozwalał, miałam tylko dbać o tę jego chałupę... pucować ją do połysku i pielęgnować jego cholerne trawniczki. Gnojek! Dom był jego odrębnym majątkiem, jeszcze sprzed ślubu, po rodzicach go odziedziczył w stanie surowym, wziął kredyt i dokończył budowę. Oczywiście sam ten kredyt spłacał, ja tam tylko sprzątałam. – Zaśmiała się cynicznie. – Nie miałam żadnych praw do domu, więc mnie z niego wysiadał bez najmniejszych problemów. Zgodziłam się na ugodę, żeby tego dłużej nie ciągnąć. Dobrze, że miałam dokąd pójść. – Spojrzała z czułością na brodatego mężczyznę, który uśmiechnął się do niej równie czule.

– Czyli to oskarżenie...

– Było prawdą, tak! – przerwała mu. – Nie zamierzam się tego wypierać. Oszalałabym tam od tej zimnej atmosfery, dopiero Piotr pokazał mi, jak może być między dwojgiem ludzi... Tak, zdradziłam go, miał na to dowody, świadków, nawet zdjęcia, cwany był. Ale czy tego, co on mi robił, nie można nazwać zdradą? Bo ja, powiem panu, tak się właśnie czułam. Jak zdradzana głupia żona, traktowana jak mebel bez duszy! Tyle, że sąd miał to gdzieś...

Emil dyplomatycznie przyznał jej rację. Zresztą naprawdę uznał, że to, co mówi, ma sens. Rozumiał ją.

– Czy po rozwodzie utrzymywała pani kontakty z byłym mężem?

– Nie. To znaczy, on przez jakiś czas wydzwaniał do nas ze złośliwymi tekstami, ale ostatnio przestał. Przeszło mu. Podobno był bardzo zajęty, chyba jakiegoś nowego bakcyła złapał. Wiem to od jego kumpla z muzeum, w którym pracował, spotkałam go przypadkiem w supermarkecie. Tego kumpla. Jedno, co muszę przyznać Mietkowi na plus, że był naprawdę pasjonatem swojej pracy. Żył nią i tylko nią – dodała z goryczą. – Tylko mnie tyle lat życia zmarnował... Żal mi go, że zginął w taki sposób. Nie chcę mówić, że sprawiedliwości stało się zadość, bo to by było paskudne z mojej strony. Nikomu źle nie życzę. Ale płakać po nim nie będę. A teraz jeszcze pewnie nas podejrzewają, mnie i Piotra, który by nawet muchy nie skrzywdził...

– Z pewnością nie, pani Zuzanno. – Uśmiechnął się pocieszająco. – Choć muszą brać każdą ewentualność pod uwagę, na tym polega śledztwo.

– Wiem, wiem. – Machnęła ręką. – I zawsze podejrzewają współmałżonków, prawda? Zwłaszcza byłych. A tak serio... od czasu do czasu lubił sobie wypić. Może w końcu oberwał. Albo wdał się w jakieś ciemne interesy? Widocznie kogoś wkurzył. To akurat potrafił jak nikt!

– Często wdawał się w ciemne interesy? – podchwycił.

Wzruszyła ramionami, nagle czujna:

– Bo ja wiem? Nie znałam jego interesów, nie wtajemniczał mnie, niewiele dla niego znaczyłam. Ale nic by mnie nie zdziwiło. To nie był dobry człowiek. Dolać panu jeszcze kawy?

Emil grzecznie podziękował. Postanowił się zbierać, za oknem zrobiło się prawie ciemno, z oddali słychać było już pierwsze grzmoty.



Nie miał jednak zbytnej ochoty przeczekiwać burzy w tym mieszkaniu. Pomimo przyjaznej atmosfery wyczuwało się tutaj mnóstwo negatywnych emocji, które nie zostały rozładowane i ciążyły w dusznym powietrzu małej kawalerki. To już woli zapach ozonu. Zaryzykuje, może zdąży przed najgorszą ulewą, a w najgorszym razie zatrzyma się po drodze na jakiejś stacji benzynowej i przy okazji zje coś w barze...

Marta tak mocno zagłębiła się w lekturze, że nawet nie zauważyła nadciągającej ciemności. Jak zwykle paliła się lampa na biurku, więc czytała w jej świetle. Dopiero pierwszy potężny grzmot oraz odgłos ciężkich kropli uderzających z impetem o szybę przywołał ją do rzeczywistości. Zerwała się z miejsca, by zamknąć okno: powiało mocno, firanka wzdeła się, huknął kolejny piorun, jeszcze głośniejszy, czarne niebo przecięła potężna zygzakowata błyskawica. Na dworze zrobiło się ciemno jak w nocy. Przerażony Bolero czmychnął z parapetu prosto pod kanapę. Przez chwilę mocowała się z oknem – było stare i klamka się zacinała – zanim w końcu udało jej się je zatrzaskać. Odetchnęła z ulgą... i w tym momencie zgasło światło. Znalazła się w niemal kompletnej ciemności, otoczona tylko odgłosami burzy, których nic – nawet grube mury – nie zdołały zagłuszyć. Po omacku dotarła do głównego wyłącznika, jednak lampy się nie zapaliły. *No nieźle, padł prąd* – pomyślała, nadal po omacku szukając jakichś świec, które z pewnością gdzieś musiały być, diabli tylko wiedzieli gdzie. Nie bała się, ale źle się czuła sama w ciemnościach. Bardziej jednak żał jej było kocura, który z pewnością cały dygotał, ukryty pod kanapą. Wymacała wreszcie świecę w szufladzie komody. Teraz jeszcze tylko zapalniczka... albo zapałki. Gdzie ich szukać, do cholery?! Kolejny grzmot sprawił, że zadrżała; niemal jednocześnie niebo z oknem przecięła następna błyskawica. Na ułamek sekundy w pokoju zrobiło się upiornie jasno... i w tym trupiobiałym świetle ujrzała za szybą upiorną twarz. Przyklejone do szyby wykrzywione ludzkie oblicze. Wrzasnęła i odruchowo zacisnęła powieki, a świeczka wypadła jej z rąk i potoczyła się gdzieś po podłodze. Gdy spojrzała ponownie, wokół znów było ciemno. Po chwili, gdy jej wzrok przyzwyczał się do ciemności,

stwierdziła, że za oknem nikogo nie ma, tylko deszcz spływa po szybach. Uspokoiła bicie serca. *Oszalałam* – doszła do wniosku. *Jestem tchórzem, miałam zwidy. Pewnie gałąź bzu rosnącego pod samym oknem uderzyła w szybę, a reszty dokonały złudzenia świetlne.* Usiadła na podłodze, przemawiając uspokajająco do Bolera. Znowu zagrzmiało, lecz tym razem już jakby bardziej z oddali. Ulewa także pomału się uspokajała. Światło włączyło się równie nagle, jak wcześniej zgasło – wszystko trwało najwyżej pięć minut.

Zadzwoiła na komórkę Emila, automat zakomunikował jednak brak zasięgu. Ciekawe, gdzie go dopadło to piekło...

Gdy mniej więcej godzinę później podjechał przed dom, po burzy nie było już śladu, może z wyjątkiem mokrych ulic i świeżego zapachu, typowego po letnim deszczu. Tymczasem ściemniło się na dobre i ochłodziło. *Już po upale* – stwierdził. Jutro będzie raczej chłodny dzień. Poprzez gałęzie przekwitłego bzu w oświetlonym kwadracie okna zobaczył Martę, siedzącą spokojnie przed komputerem. Widocznie nawet Internet nie nawalił. Wszedł do środka.

– Część, skarbie, ale była burza! Jak sobie poradziliście? – zagadnął wesoło.

Dopiero gdy na niego spojrzała, dostrzegł niepewność w jej wzroku. Podobną wykrył w zielonych oczach wtulonego w nią Bolera. Nie pracowała, siedziała tylko przed wygaszonym ekranem.

– Hej, co jest? – zaniepokoił się.

– Nie, nic – zawahała się. – A ty jak wróciłeś w tym deszczu? Przeczekałeś gdzieś? Nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

– To normalne, w czasie burzy ginie zasięg. Też próbowałem do ciebie dzwonić. Przeczekałem najgorsze na stacji benzynowej, w barze, nawet flaczki zjadłem. Ale czemu tak... dziwnie patrzysz? Wysiadł Internet?

Pokręciła głową.

– Nie, Internet jest, prąd siadł na chwilę w czasie tej burzy.

– Bolero miał stracha?

Przejrzyście zielone oczy Marty – identyczne jak oczy rudego

kocura – wciąż wwiercały się w jego twarz, jednocześnie jakby wcale jej nie widząc. Myślała o czymś innym, na tyle ją znał.

– Bolero? No, jak zwykle – odparła po chwili.

– Marta! – Przysiadł na poręczy fotela. – Co się stało? Przecież nie bałaś się burzy? Bolero tak, wiem, jak to przeżywa, ale nie ty!

– Dowiedziałaś się czegoś ciekawego? – zmieniła temat.

– Trochę. Ten twój Miecio nie był chyba zbyt przyjemnym człowiekiem. Nagrabił sobie u ludzi.

– Nie był, mówiłam ci już. Chyba jako jedyna miałam z nim w miarę poprawny kontakt. Był dziwakiem. Taki odludek żyjący wyłącznie swoimi badaniami...

– Typowy uczony maniak. Juto będę jeszcze rozmawiał z jego kolegami z pracy, z uniwerku i z muzeum archeologicznego. Już się wstępnie umówiłem z jednym doktorantem z jego katedry, obiecał, że poświęci mi chwilkę. Jeszcze chętniej pogadałbym ze studentami, ale chyba już mają wakacje?

– Może złapiesz któregoś, z tego, co wiem, trwają jeszcze egzaminy poprawkowe. Ale tych współpracowników też dociśnij. Szczególnie z muzeum, skontaktuję cię jutro z takim jednym, to znajomy jeszcze ze studiów, nie odmówi mi. Spróbuj się dowiedzieć, nad czym ostatnio pracował. Może wiedzą. Albo może się komuś wygadał. Choć znając go... Nie miał tendencji do zwierzeń.

– Okej, jasne, dzięki. A tobie jak minął dzień? Doszłaś do czegoś?

– Nie za bardzo. Za to naczytałam się mnóstwo! – parsknęła śmiechem. – Dlatego właśnie potrzebuję punktu zahaczenia...

– Może coś wyjdzie w praniu. Herbaty?

– Jeśli możesz... Poproszę.

Poszedł do kuchni nastawić czajnik. Marta dołączyła do niego po paru minutach. Wciąż sprawiała wrażenie zamyślanej. Gdy już usiedli przy stole, odezwała się znienacka dziwnym tonem:

– Pytałaś, czy coś się stało. No więc... Nie jestem pewna, ale... to był moment: zobaczyłam chyba coś dziwnego w oknie. Podczas burzy – zamilkła, kręcąc kosmyk włosów, wpatrzona intensywnie w swój kubek.

Emil zapalił papierosa. Teraz mógł, taką mieli od pewnego czasu umowę. W kuchni przy kawie czy herbacie – wolno. Oczywiście

z umiarem. I pod warunkiem, że potem nie zapomni o wietrzeniu.

– Coś dziwnego w oknie? – powtórzył, zaciekawiony. – Ale co?

Zawahała się.

– Nie wiem... wydawało mi się, że twarz. Jakby ktoś zaglądał. Była oświetlona błyskawicą... ta gęba.

– Twarz? Ludzka?

– A czyja? Przecież nie ducha! Nie jestem jakąś nawiedzoną kretynką! Przestraszyłam się, do cholery!

Przyjrzał jej się uważnie. Nie żartowała.

– Zawsze mówię, zasłaniaj okno. – Nie darował sobie. – Tak to każdy może sobie do nas zaglądać, ile chce, to niski parter. No dobrze, twarz. Ale w deszczu? Ktoś by łąził podczas takiej ulewy pod naszymi oknami? Niby kto? I po co? Musiałby najpierw zejść z chodnika i przejść przez trawnik. No okej, może w tych okolicznościach przyrody zmylił drogę. Mogło tak być. I co dalej?

– Nic. Gdy spojrzałam drugi raz, już jej nie było. Znikła. Mówiłam już, to był ułamek sekundy.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ejże, nie przywidziało ci się? Strach ma wielkie oczy...

Odstawiła kubek i głęboko odetchnęła.

– Chyba masz rację. – Wbrew oczekiwaniom Emila nie rozzłościła się, odwrotnie: wydawało mu się nawet, że poczuła ulgę. – Też myślę, że mi się zdawało. Pewnie to była gałąź. Ale naprawdę przez chwilę miałam pietra!

Roześmieli się oboje.

– Wiesz co, daj mi fajkę, też sobie zapalę.

– Nie elektrona?

– Tym razem nie. Należy mi się po takich przeżyciach.

Dopiero na drugi dzień rano Emil znalazł na szybie odciski od zewnątrz na czerwono znak, nieco rozmyty, lecz czytelny.

Była to ta sama, znana im już doskonale pieczęć:



## Rozdział 5

Podczas gdy technicy policyjni zabezpieczali na zewnątrz mizerne ślady, komisarz Marek Zebra udał się do mieszkania, by jeszcze raz zamienić kilka słów z Martą. Nadal nie mogła uwierzyć w realność tego, co przeżyła i zobaczyła. Emil Żądło siedział wraz z nią w pokoju, rozmawiali cicho. Oboje sprawiali wrażenie bardziej oszołomionych niż wystraszonych lub przygnębionych. Gdy Marek wszedł do środka, Emil zaproponował kawę.

– Chętnie – zgodził się ochoczo komisarz. – Nie zdążyłem wypić swojej porannej, gdy zadzwoniłeś.

– Zrobisz i dla mnie? – zapytała Marta.

– Oczywiście. Znaleźliście coś? – Żądło zwrócił się do przyjaciela.

Ten z rezygnacją pokręcił głową.

– Gówno. Wszelkie ewentualne ślady stóp zmył deszcz. Łało przecież jak z cebra. Jedno wielkie błoto, mokra trawa i kałuże. Pieczęć sfotografowaliśmy, pobraliśmy próbki, ale to na bank dzieło tego samego świra. Najwyraźniej was namierzył. – Spojrzał na Martę. – A raczej, jak podejrzewam, ciebie.

Emil wyszedł po kawę, nie usłyszał więc ostatniego zdania.

– Chciał mnie zabić? – Marta pokręciła głową z niedowierzaniem.

– A cholera go wie, czego chciał. – Komisarz był poirytowany. – Ostrzegałem. Choć nie myślałem, że tak szybko się to sprawdzi. Prawdopodobnie nie chciał cię zabić, bo gdyby chciał, to by na tym nie poprzestał, byłaś sama w domu. Raczej miała to być pogróżka, sygnał.

Co ty wiesz, Marta?

Utkwiła w nim zdumione spojrzenie. Tymczasem wrócił Żądło z tacą, na której stały filiżanki z kawą, cukier i kruche ciasteczka.

– Co ja wiem? – powtórzyła.

– Ona nic nie wie! – Stanął w jej obronie Emil.

– Wygląda jednak na to, że coś wie, nawet jeśli o tym nie wie – odpowiedział dość pokrętnie Zebra. – Chyba że celem samym w sobie są po prostu muzealnicy. Ale takie cuda się zazwyczaj nie dzieją. Ktoś nie przypadkiem tutaj trafił i zostawił ten konkretny znak. Marta, zastanów się jeszcze raz nad całą tą historią, szczególnie nad swoimi kontaktami z Bernackim i Zdanowskim. Nie musisz teraz: potem, na spokojnie. Może któryś z nich powiedział ci coś, z czego znaczenia nie zdawałaś sobie do tej pory sprawy. Jeśli coś ci przyjdzie do głowy, od razu do mnie dzwoń.

– Pewnie...

– I tak sobie myślę... może lepiej by było, gdybyście jednak...

– Mowy nie ma. Nie będziemy beczynnie siedzieć i czekać, aż nas dopadnie jakiś świr – przerwała mu stanowczo.

– No tak, zaczyna się – westchnął. – Wy na serio jesteście parą wariatów. Dobraliście się jak w korcu maku.

– Myślisz, że grozi jej realne niebezpieczeństwo? – wtrącił Emil.

– Powtórzę: nie sądzę, żeby ktoś próbował zrobić jej krzywdę. To było raczej ostrzeżenie. Przynajmniej na razie... – komisarz zwiesił głos. – Ale musicie oboje zachować czujność. Nie zabronię ci, Żądło, dziennikarskiego śledztwa, to twoja praca, jednak przede wszystkim uważaj na Martę. Tak samo jak przy sprawie Memlinga i drzeworytów japońskich. Ty, Marta, najlepiej weź urlop i siedź w domu. Nie powinnaś przebywać teraz sama, szczególnie wieczorami.

– To da się zrobić.

– Dobrze. A teraz opisz mi jeszcze raz tę gębę, którą widziałas za oknem. Była męska czy kobieca? Stara? Młoda? Miała włosy? Rzuciło ci się w oczy coś szczególnego? Cokolwiek? Skup się, spróbuj sobie przypomnieć. Co widziałas?

Zmarszczyła czoło, po chwili pokręciła jednak głową przecząco:

– Nie wiem, Marku! Nie umiem powiedzieć. To była chwila.

Potem myślałam nawet, że mi się przywidziało...

– Pomyśl... Spróbuj – nie ustępował rudy policjant.

– Widziałam... ludzką twarz. – Marta przymknęła oczy, usiłując zrekonstruować w pamięci tamten moment. – Przy samej szybie, jak przyklejoną. Bardzo bladą, prawie białą, ale to mogło być od błyskawicy. Taką jakby... wykrzywioną, jak maska, jednak nie dam głowy, że mi się nie wydawało. Nie wiem, czy była męska, czy kobieca! Chociaż... raczej męska, ale to tylko moje przeczucie, nic konkretnego. Równie dobrze mogła należeć do brzydkiej baby. Była upiorna! Takie było moje wrażenie: upiorna zjawa. Mówię ci, że to były ułamki sekund. Niczego więcej nie zdążyłam zauważyć, bo morda zaraz znikła, a ja sama sobie wymyślałam od histeryczek...

Zebra westchnął.

– To faktycznie niewiele. Dalej jesteśmy w czarnej dupie.

Jeden z techników zastukał w okno, by dać znać, że skończyli robotę. Komisarz pospiesznie dopił kawę i pożegnał się.

– Umowa stoi? – upewnił się na koniec. – Marta, przemyślisz to jeszcze raz, kontakty z tamtymi dwoma, każde słowo, każdy gest, każda plotka. Wszystko się liczy. Może coś się w tym pałacu wydarzyło? No i ten cholerny hieroglif. Cholera jasna, jakbyśmy wiedzieli, z czym to jeść, to byłby przynajmniej jakiś punkt zaczepienia... Nasi dalej na nic nie wpadli. Nic nie mamy. Impas, kuźwa. Komendant zaczyna kręcić nosem. Do dupy z takimi rzeczoznawcami!

– Uspokój się. – Emil poklepał go żartobliwie po plecach. – Myślisz, że to takie proste? Marta robi co może, a też jeszcze nic nie znalazła.

Odprowadził policjanta do drzwi.

– A ty się czegoś dowiedziałeś? – zahaczył go Zebra już w progu.

– Tyle co wy. Jakbym dowiedział się czegoś więcej, to bym ci przecież od razu powiedział. Ale dopiero zacząłem. Dzisiaj mam kolejne spotkania.

– Tylko nie zostawiaj Marty na długo samej. Nie mogę dać wam przecież ochrony na tym etapie.

– Spoko. Zatrudnię sąsiadkę, jest skuteczniejsza od każdego ochroniarza. A tak serio... stawiasz raczej na światek przestępczy czy na



jakiegoś psychologa?

– Na nic nie stawiam – odparł komisarz niechętnie. – Każda opcja jest póki co równie prawdopodobna: zarówno szajka przestępcza związana z handlem antykami, dla przykładu, jak i...

– Seryjny? Znowu?

– Przestań spekulować, stary. – Wzruszył ramionami Zebra. – Czas na wnioski przyjdzie później.

– Taka moja rola. Spekulowanie.

– Też prawda. Lecę, bracie. Chłopaki czekają.

Na Mariacką przyjechał odrobinę za wcześnie, a z kolegą Marty umówiony był przed wejściem do Muzeum Archeologicznego, wykorzystał więc okazję, by przejść się bez pośpiechu ulubioną uliczką, podziwiając – tak jak zwykle – unikatowe nadproża i rzeźbione zwieńczenia szczytów kamienic, artystyczne wyroby z bursztynu oraz obrazy i grafiki wykonane przez studentów Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Miejsce, które nigdy się nie nudzi i zawsze wywołuje ten sam zachwyt. Czas się tam zatrzymał. Kultowe miejsce gdańszczyzan, a Emila z pewnością, odkąd pamiętał. Nie istniała już co prawda jego ulubiona kawiarnia „U literatów”, w której całymi latami umawiali się z Zebłą na doskonałą kawę i torcik serowy – teraz królowała tu nowoczesna, luksusowa winiarnia – wciąż jednak czynna była inna tradycyjna kafejka, „Pod Holendrem”, gdzie wieki temu trójmiejska młodzież z upodobaniem spędzała wagary. Uśmiechnął się nostalgicznie do swoich wspomnień. Przez moment miał ochotę tam wejść i zamówić mrożoną kawę, jednak rzuciwszy okiem na wyświetlacz komórki, stwierdził, że już nie zdąży – zbliżała się umówiona godzina spotkania. Może uda mu się namówić faceta, by pogadali w kawiarni, mimo że ten zastrzegł się z góry, że będzie się spieszył.

Tymczasem jeszcze raz przeszedł się górę uliczki i z powrotem. Pogoda była słoneczna, lecz bardziej rześka, nie tak duszna jak wczoraj. Wcześniej zdążył już odwiedzić uniwersytet, konkretnie jego wydział historyczny przy Wita Stwosza w Oliwie, z którym współpracowali zarówno Zdanowski, jak i Bernacki. Rozmowa z pracownikiem

naukowym nie wniosła niczego nowego. Potwierdziła tylko fakt, że Zdanowski zdecydowanie nie był duszą towarzystwa. Nikt go za dobrze nie znał, zwłaszcza prywatnie, choć przepracował na uczelni sporo lat. Robił swoje: przyjeżdżał na wykłady i egzaminy, wypełniał papiery, z nikim nie gadał i od razu zwijał dupę w troki. Mężczyzna nie powiedział tego wprost, dało się jednak wyczuć, że „pan doktor” nie był tu szczególnie lubiany: sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie mruka, ponuraka, impertynenta, choleryka, a nawet „śliskiego człowieka”. Ale cóż, był doskonałym specjalistą, choć „pedagogiem już nie tak dobrym”. Ani słowa o pasjach czy aktualnych zainteresowaniach zawodowych – najwyraźniej uniwersytet nie był miejscem, w którym się realizował. Żadnych zmian w zachowaniu Zdanowskiego współpracownik w ostatnim czasie nie zaobserwował. To samo mógł powiedzieć o Bernackim, mimo że tamten był „o niebo przyjemniejszym człowiekiem”. *To okropne, stracić w tak krótkim czasie dwóch ważnych pracowników naukowych* – zakończył swój wywód doktorant, którego wyglądu już nie pamiętał. – *Wielka strata. Sratatata*, dodał w myślach Żądło. Zmierzając do wyjścia, niemal zderzył się w korytarzu z młodą dziewczyną w białej bluzce i obcisłych czarnych dżinsach, uczesaną w asymetryczny koński ogon koloru jasny blond, z różowymi pasemkami. W nosie miła kolczyk, który wyglądał jak smark. Pędziła bardzo szybko, w kolizji z Emilem upuściła indeks i o mały włos nie złamała wysokiego obcasa.

– Cholera! – wysyczała, mierząc go nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Sorry – uśmiechnął się rozbijając, podając jej cenną zgubę – ale pani mi chyba spadła jak z nieba. Jest pani studentką, prawda? Egzamin?

Różowawa blondynka sprawdziła stabilność swojej lakierowanej na wysoki połysk „szpilki” i wypluła z siebie:

– A bo co?

Sięgnął do kieszeni po wizytówkę.

– Jestem...

– Guzik mnie obchodzi, kim jesteś, facet. O co biega?

Przemknęło mu przez myśl, że za jego czasów podobnym językiem przemawiał jedynie męt społeczny, studenci mieli nieco lepiej

opanowany język polski.

– Mam jedno pytanko – zaryzykował. – Czy znała pani doktora Zdanowskiego? Mieczysława Zdanowskiego?

Laska zarechotała.

– Tego, co go zaciukali? A na co ci to? Jesteś pismakiem?

– Ano, pismakiem – westchnął.

Tym razem obrzuciła go wzrokiem zdradzającym nieco więcej zainteresowania. Choć jednocześnie z kpiącym grymasem na ustach, który od biedy dawał się zakwalifikować jako uśmiech.

– Jedno powiem – zdecydowała się w końcu na szczerą i nawet bardziej rozbudowaną wypowiedź. – Niech się smaży w piekle! A teraz z drogi, gościu, bo mi się spieszy. Kumple czekają, szkło paruje.

– Czyli egzamin do przodu? – Mrugnął. – Można pogratulować?

– Goń się pan.

– A czym naraził się pani Zdanowski?

– Mnie? Wszyscy powiedzą panu to samo! Wszyscy studenci. A zwłaszcza studentki. Życie nam skurwiel zapieprzył. Doktorek pieprzony. Nikt nie żałuje zgreda. Dobra, to wszystko? Bo...

– Jeszcze tylko jedno pytanie i już się odczepiam. Pamiętasz profesora Bernackiego? Co o nim mogłabyś powiedzieć?

– Jego koleś. Więcej nic. No i to, że podobno gdzieś przepadł. Też dobrze. Moim zdaniem się zmył, ale gównu mi do tego.

– Dlaczego miałby się zmyć?

– Może mu się żonka znudziła? – parsknęła dziewczyna. – A może mu odjechało? Skąd mam wiedzieć. Nie miałam z nim zajęć. Albo jego też ktoś załatwił. Może któryś obłany student? – Zachichotała radośnie. – Ciekawe, co? Mnie by to wcale nie zdziwiło, nic a nic. No to ja się zmywam. Hej!

– Ale, czekaj...

– Bye, bye!

Minęła go energicznym krokiem, wykrzywając nogi na swoich niebotycznych obcasach, i już po chwili trzasnęły szklane drzwi. Widział jeszcze, jak w dziwacznych podskokach sunie w poprzek dziedzińca i znika za skrzydłem instytutu...

Zamyślony udał się na parking, gdzie zostawił swego wysłużonego

czerwonego peugeota. Panienska powiedziała mu więcej, niż zamierzała. I niż się spodziewał.

Mężczyzna w spodniach khaki i bawełnianej koszulce, który przed momentem wyszedł z muzeum i przystanął na przedprożu, rozglądając się niepewnie dookoła, był jeszcze młody i wyglądał normalnie. Normalny sympatyczny facet, nie kolejny nadęty bufon. Emil podszedł do niego i zagadnął:

– Pan Robert? To właśnie ja jestem...

– Emil Żądło! Wiem! – Uścisnęli sobie dłonie. – Od razu bym pana poznał. Cieszę się, że mogę osobiście z panem porozmawiać. Czytam od lat wszystko, co wyjdzie spod pana pióra, serio!

– Cieszę się! I dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi chwilę. Może da się pan zaprosić na kawę?

Młody mężczyzna wyraźnie się zmieszał.

Wie pan, nie bardzo. Głupio się złożyło, ale za godzinę mam umówione spotkanie i muszę zdążyć na pociąg. Uprzedzałem Martę. Może gdyby pan mógł towarzyszyć mi w drodze na dworzec...

– Jasne. Też mi ten kierunek pasuje – odparł szybko Emil.

Gdy już ruszyli, naukowiec jako pierwszy zagaił:

– Pan chce się dowiedzieć jak najwięcej o Mietku Zdanowskim, tak?

– Jeśli można prosić...

– Wydarzyła się straszna tragedia, kto by się spodziewał czegoś podobnego! Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci, ale z drugiej strony... Mietek był dziwnym człowiekiem. Chodził swoimi ścieżkami, jak kot. Nie chcę plotkować, ale krążyły słuchy... no, różne. Niezbyt pochlebne, nie będę się w to wdawać. Dla mnie był w porządku. Podziwiałem jego zapał, oddanie nauce. Zapaleniec, tak bym go nazwał. Rzucił się raz w to, raz w tamto, nic dla niego nie istniało poza pracą, która była jednocześnie jego wielką pasją. Prawdziwą pasją. Taką jak dla dawnych archeologów, ze złotego wieku...

– A te pogłoski? Rozumiem, że nie chce pan ich poruszać, ale mogą okazać się ważne – wtrącił Emil.

– To zwykle plotki – skwitował rozmówca. – Niczego poważnego nie wniosą, bo pochodzą z niesprawdzonych źródeł. Nasze środowisko też bywa skłócone i małostkowe, pewnie jak każde. Według mnie to tylko czysta ludzka zawiść. Że niby Zdanowski nieuczciwymi sposobami walczył o granty, że maczał palce w niezbyt czystych interesach... Osobiście nie traktowałbym tego serio. Oczywiście o granty zabiega się wszelkimi możliwymi metodami. To bezwzględny świat. Mietek był człowiekiem zaradnym, kogoś mogło to kłuć w oczy. Ale w brudy nigdy nie uwierzę. Taki idealista nie działałby na szkodę nauki. Za bardzo kochał to, co robił!

– Rozumiem. Wierzę panu, bo Marta mówi podobnie...

Szli szybko, obaj dostali zadyszki.

– Ech, kondycja nie ta! – Zaśmiał się naukowiec. – Za dużo się siedzi przed komputerem, a za mało sportu uprawia.

– To prawda, niestety. Jeszcze tylko jedno, nie chciałbym, żeby przeze mnie spóźnił się pan na pociąg... Czy Zdanowski ostatnio się zmienił? Zauważył pan coś nowego, innego, w jego zachowaniu, w pracy?

Zatrzymali się przed wejściem na Dworzec Główny. Żądło z niesmakiem skonstatował brak reprodukcji *Sądu Ostatecznego* Memlinga w oknie gmachu. A jednak komuś bardzo przeszkadzał. Tak bardzo, że dopiął swego. *Teraz pewnie zamieszczą w to miejsce reklamy. Reklamy są git* – pomyślał ze wzgardą. Szybko jednak skupił się na tym, co mówi jego towarzysz:

– Trafił pan w dziesiątkę, panie Emilu. Rzeczywiście, zaszły pewne zmiany. Zdecydowanie oddalił się od nas. Nie był zatrudniony na pełen etat, więc nie musiał bywać codziennie, ale w ciągu ostatnich tygodni pojawiał się naprawdę bardzo rzadko, a jeśli już, to wpadał jak burza i tylko na chwilę. Zazwyczaj od razu szedł do biblioteki, a potem znikał na kilka dni. Więcej ostatnio przesiadywał w archiwum niż w muzeum...

– W archiwum? Ale w jakim archiwum? W archiwum miejskim?

Mężczyzna skinął głową, zaraz potem zerkając w górę, na zegar. Czas najwyraźniej już go gonił.

– Tak wspomniał. Prowadził jakieś badania, był podekscytowany,

ale nie zdradził nic konkretnego. Mówił tylko, że nie ma czasu, że kiedyś mi powie, ale... nie zdążył. – Rozłożył ręce muzealnik.

Po chwili pożegnali się. Emil zostawił samochód tuż obok, na parkingu, więc postanowił nigdzie już nie chodzić, tylko od razu wracać. Informacji zebrał dość, a kawy napije się już w domu.

Marta, oparta o stertę poduszek, leżała na kanapie w pokoju dziennym, z laptopem na brzuchu. Na stoliku obok – a także na podłodze i na krześle przystawionym do kanapy – wznosiły się góry książek i albumów. Gdy wszedł do mieszkania, opuszczała je właśnie pani Renia, sąsiadka. Pochwaliła się, że kiedy „nasza Martunia” pracowała, ona zdążyła wypucować im kuchnię na błysk, a także przygotować placuszki na kolację. Rzeczywiście, w kuchni aż lśniło, a z patelni pachniały waniliowo i cynamonowo naleśniki z serem. Nastawił ekspres do kawy i wrócił do pokoju.

– I jak ci idzie? – zapytał, gdy Marta oderwała się na chwilę od ekranu.

– Nijak – westchnęła. – Obejrzałam chyba z tysiąc różnych znaków, symboli, napisów rysunków, ale takiego jak ten nasz nie znalazłam. A tobie jak poszło? Masz coś ciekawego, co pozwoli nam ruszyć z miejsca?

Usiadł ciężko przy biurku.

– Tak i nie. Mietka nikt nie lubił, z wyjątkiem może twojego kolegi, który jest chyba tak dobrym i prostodusznym człowiekiem, że po prostu nie wierzy w istnienie zła.

– Zgadza się, Robert to pocziwina... Ale co ci w końcu powiedział o Zdanowskim?

– Czekał. Najbardziej doktorka nie lubili chyba studenci. Co prawda gadałem tylko z jedną, ale najwyraźniej wypowiadała się za wszystkich. Utopiłaby go w łyżce wody, gdyby ktoś go już wcześniej nie załatwił.

Marta spojrzała na niego znad okularów.

– Fakt, ze studentami zawsze miał na pieńku. – Uśmiechnęła się. – Był straszną piłą. Kazał im po wiele razy podchodzić do egzaminów

i nie uznawał wyższych ocen niż dostateczny. Ale nie sądzisz chyba, że to studenci w szale zemsty za obłany egzamin poderżnęli mu gardło?

– Nie kpij. Przypomnij sobie czasy, kiedy sama byłaś studentką!

– Dobra, dobra. Bez jaj. Mów, co ci powiedział Robert. Bo to chyba on z nim najbliżej współpracował.

– Ciekawą rzecz mi powiedział – odparł z zadowoleniem. – Wreszcie jakiś konkret. Że ostatnimi czasy Zdanowski był czymś mocno podekscytowany, i że więcej czasu spędzał w archiwum miejskim niż w pracy. Robił jakieś badania, z którymi krył się przed kolegami. Aha, a ta laska, ta studentka, wygadała, że Bernacki to był „jego koleś”. To moim zdaniem o czymś świadczy, nie sądzisz? Innych wykładowców tak nie nazwała, tylko Bernackiego. A w końcu jeśli dwóch „kolesi” nagle ginie, jeden dosłownie, drugi... jeszcze dosłowniej, to... Słuchasz mnie?

– W archiwum, mówisz... – powtórzyła zamyślona.

## Rozdział 6

Emil był zły. Cały boży dzień spędził na mieście. Udało mu się załatwić sprawy w dwóch redakcjach, bezskutecznie usiłował skontaktować się z rodziną Bernackiego, był także w instytucie archeologii i etnologii, gdzie również poniósł porażkę: zaczął się bowiem sezon urlopowy, nie bardzo miał więc z kim gadać. A po cichu na to liczył, ponieważ Zdanowski wykładał także na archeologii. Do tego, gdy wrócił do domu, nie zastał w nim Marty, choć obiecywała, że nie będzie nigdzie wychodzić, tylko dalej szukać „hieroglifu”. Nie było także Bolera. Na biurku przy komputerze, pod myszą, znalazł tylko kartkę:

*Kochany –  
musiałam pilnie gdzieś wyskoczyć, nie martw się, dam sobie radę,  
żaden świr mnie w biały dzień nie dopadnie. Uważam na siebie. Nie  
dzwoń, bo będę miała wyłączoną komórkę. Wszystko opowiem. Wracam  
po południu. Bolero u pani Reni.*

*Buziaki*

*M.*

Oczywiście i tak od razu zadzwonił, jednak zaraz po wybraniu numeru bezosobowy głos z automatu wyrecytował formułkę: „Abonent tymczasowo niedostępny, proszę zadzwonić później”. Musiała rzeczywiście wyłączyć telefon. Tylko z jakiego powodu? Co ona znowu wykombinowała?! I to za plecami? A on ma się teraz denerwować...



Coraz bardziej wściekły poszedł po kota. Sąsiadka także nie miała pojęcia, dokąd wyszła Marta. Wrócił do mieszkania, zaparzył herbatę i włączył laptopa, by zapisać w pliku swoje obserwacje. Nie zdążył jednak nawet zacząć, ponieważ od komputera oderwał go dzwonek telefonu. Stacjonarnego.

– Słucham – burknął.

– Żądło? – Usłyszał znajomy, ociekający fałszem, rubaszny głos. Niech go szlag! To ten skurwysyn, Kleczko. Naczelnny „Życia Wybrzeża”. Facet, którego poglądy na etykę dziennikarską od lat napełniały go obrzydzeniem i z którym – miał nadzieję – na dobre zerwał wszelkie kontakty.

– Czego chcesz? – Nie zdobył się na nic uprzejmiejszego.

– Nie udawaj, stary – zarechotał Kleczko. – Czego ja mogę od ciebie chcieć? Tego, co zwykle. Informacji. Coś się dzieje w Gdańsku i ty o tym wiesz. Jestem pewien, że w tym gównie siedzisz. I tak przecież komuś je sprzedasz. Dlaczego nie mnie? Dobrze płacę. Dogadajmy się.

– Niczego ci nie sprzedam. Idź do diabła.

– Ale z ciebie głupi fiut, Żądło. Zawsze byłeś kretynek.

– Łamiesz mi serce, Kleczko – zakpił.

– Przemyśl moją propozycję. Dobrze ci radzę. Nadal jeździsz tym swoim rżemchem? Nowa bryka by ci się przydała, co?

– Spadaj.

Rzucił staroświecką słuchawkę na widełki, złorzecząc pod nosem. Poszedł do kuchni, by zapalić papierosa. Zaraz potem usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Trzasnęły drzwi.

– Emil! Jesteś? – głos Marty zabrzmiał ostrożnie.

– Tu jestem – mruknął, nie dbając o to, czy go słyszy. Być może jednak usłyszała, bo po chwili rozpromieniona zajrzała przez uchylone drzwi.

– O, jesteś! To super, bo mam...

– Gdzie, do cholery, byłaś? – warknął. – Nie przyszło ci nawet do głowy, że mogę się denerwować, co?

Nastawiła wodę na herbatę i oparła się o blat, ignorując jego wymówki. Uśmiechała się przekornie.

– Przestań się wkurzać, bo coś znalazłam. Oko ci zaraz zbieleje! – zakomunikowała tryumfalnie, sięgając do jego paczki, by wyjąć papierosa. Zanim zdążył sięgnąć po zapalki, przypaliła go sobie zapalarką do gazu. Milczał wyczekująco, obserwując, jak nalewa herbaty do kubka. Dopiero wtedy znowu się odezwała.

– Byłam w archiwum.

Ponieważ nie odpowiedział, kontynuowała.

– Wczoraj dowiedziałeś się od Roberta, że Zdanowski spędzał dużo czasu w archiwum miejskim. To mi dało do myślenia. Postanowiłam pójść jego tropem. Rozumiesz? Dokładnie prześledzić jego kroki. Wiesz, że mam tam przyjaciółkę. Zadzwoiłam do niej i ona mi to potwierdziła. To znaczy, że Mietek był u nich ostatnio częstym gościem, mało tego, obiecała, że sprawdzi dla mnie, czego tam szukał. Kiedy oddzwoniła, musiałam tam pojechać osobiście, i to od razu, bo...

Urwała, świdrując go zaczepnym spojrzeniem.

– No mówże wreszcie! – nie wytrzymał.

– Bo szukał ciekawych rzeczy. Wszystko zaczęło mi się wreszcie układać! Czuję, że teraz wreszcie ruszymy z miejsca!

– Co znalazł? Co ty znalazłaś? – Emil zapalił następnego papierosa, głównie po to, by zamaskować narastającą ciekawość. Już wiedział, że będzie to coś naprawdę ważnego. Marta nigdy nie spekulowała; miała konkretny, chłodny umysł, który pozwalał jej w dowolnych okolicznościach realnie oceniać sytuację.

– Już mówię, nie poganiaj mnie. – Wzięła kota na kolana. – No więc on szukał śladów pewnej... organizacji. I znalazł ją, a ja za nim. Było to coś w rodzaju supertajnej loży, a może nawet więcej... kościoła? Sekty...? Nie wiem, jak to określić. Oni sami nazywali siebie świątynią o nazwie... uwaga... „Unsere Dame”. Łapiesz?! Unsere Dame! Rozumiesz, co to znaczy?!

Aż poderwał się miejsca. Choć nie znał niemieckiego, tyle jednak nawet on potrafił sobie przetłumaczyć.

– Nasza Pani?

– Dokładnie! Świątynia Naszej Pani! Ta loża... tak ją sobie nazwijmy... odłączyła się od innej tajnej loży, a działa się to wszystko w Gdańsku przed wojną, dokładniej w latach dwudziestych...

– Ale to nie zbieg okoliczności? – powątpiewał.

– Nie. A wiesz, dlaczego nie? Bo graficzny zapis nazwy loży „Unsere Dame”, rozumiesz, takie ich logo, wyglądał identycznie jak polski zapis „Nasza Pani” na tej pieczęci. Pisany łącznie i stylizowany na pismo starożytne.

Popatrzyli na siebie zwięźsko.

– To musi być to... – skonstatował podniecony Emil. – Ale jaja! Marta, jesteś genialna! Zebra chyba ufunduje ci pomnik!

– Już się nie wściekasz? – mrugnęła.

– Wściekać? O co? – W emocjach naprawdę zapomniał już, o co się wcześniej złościł. Machnął niecierpliwie ręką. – Daj spokój! Nie rozprasza się, tylko mów dalej! Wiesz coś więcej?

– Na razie tylko tyle, że lożę założyła grupka nawiedzonych pasjonatów starożytności, ezoteryków, gnostyków, okultystów i... atlantomanów. Ale dowiem się więcej. Znam jednego specjalistę od wolnomularstwa i innych tajnych organizacji dawnego Gdańska. Jutro rano do niego zadzwonię. Poza tym unikatowy zbiór dokumentów masonskich jest także w gdańskiej bibliotece PAN.

– Czyli co? Morduje jakiś wariat? Płatny zabójca z Atlantydy? – Emil skrzywił się. – Albo duch? Nie chcesz chyba powiedzieć, że ci masoni nadal tu są?

– Jeśli chodzi o masonów, to nigdy nie wiadomo. Ale nie wiesz jeszcze najważniejszego... – Marta zawiesiła głos. – Ci konkretni atlantomani szukali Atlantydy w bardzo konkretnym miejscu. Oczywiście uważali się za atlantologów, nie atlantomanów. Pasjonowali się też archeologią...

– Czyli szukali w jakim miejscu? – docisnął. – W Gdańsku?!

– W Hiszpanii. Dokładniej: w Andaluzji. Prowadził tam wtedy wykopaliska słynny niemiecki archeolog, Schulten. I właśnie dlatego czuję, że jestem na dobrym tropie. Bo... ale teraz ci tego nie wyjaśnię. Później, gdy się upewnię. Dlatego zaraz się wyłączam i wracam do moich poszukiwań. Najważniejsze, że już wiem, gdzie i czego szukać. I bardzo cię proszę, nie przeszkadzaj. Potrzebuję absolutnie świętego spokoju. A gdy już znajdę nasz „hieroglif”, to pogadamy sobie... o Atlantydzie – oświadczyła całkiem poważnie.

Gdy poszedł spać około drugiej w nocy, Marta wciąż siedziała przed komputerem, stukając szaleńczo w klawiaturę i jednocześnie wertując książki oraz albumy ze sztuką starożytną. Na jego pytania odpowiadała wyłącznie nieartykułowanymi pomrukami albo w ogóle. W końcu po prostu się położył. Czekał na nią jeszcze przez jakiś czas, rozmyślając o tym wszystkim, czego się do tej pory dowiedział, i usiłując jakoś powiązać ze sobą różne wątki. W końcu – nie doczekawszy się – zapadł w sen, a zawsze spał jak kamień. Obudził się, gdy słońce stało już wysoko. Marty przy nim nie było, tylko Bolero pochrapywał w nogach łóżka. Dopiero gdy wyszedł z sypialni i znalazł Martę zwiniętą w fotelu przed wciąż włączonym laptopem – jedynie ekran był wygaszony – całkowicie ubraną i z okularami do czytania zsuniętymi na czubek nosa, zrozumiał, że pracowała przez całą noc...

Obudził ją delikatnie. Nie chciała nic jeść ani pić, tylko dalej spać. Namówił ją więc, by przeniosła się do sypialni, gdzie wciąż jeszcze grzał miejsce Bolero. Opuścił żaluzje, żeby słońce nie raziło jej w oczy, po czym po prostu zostawił w spokoju. Gdy już zamykał drzwi, zakomunikowała mu sennym głosem, że już wszystko wie, że znalazła „hieroglif”, ale nie ma teraz siły opowiadać, musi najpierw odpocząć. Zjadł więc w samotności śniadanie i – choć dręczyła go ciekawość – postanowił kontynuować tymczasem własne dochodzenie. Może i jemu się dzisiaj poszczęści. Zastukał jeszcze tylko do sąsiadki, prosząc, by miała oko na ich mieszkanie, a następnie ruszył w miasto.

Zaryzykował i bez uprzedzenia pojechał prosto do Orłowa, gdzie mieszkała słomiana wdowa po Bernackim. I tak nie miał nic lepszego do roboty – chciał dać Marcie pospać, a zresztą w domu by nie wysiedział. Posesja znajdowała się w Górnym Orłowie, na granicy z Małym Kackiem, przy malowniczej bocznej uliczce. Był to spory, zadbany dom w równie zadbanym ogrodzie, na który składał się równo przystrzyżony

rozległy trawnik, otoczony ze wszystkich stron ozdobnymi krzewami oraz eleganckim ogrodzeniem z kutego żelaza. Widać, panom profesorom nieźle się powiodło – zauważył nie tyle złośliwie, co z zaciekawieniem. Miał szczęście, bo akurat gdy chciał zadzwonić, zza węgła wyszła kobieta, prowadząca przed sobą dwa rude setery. Nie czekały, merdały puszystymi ogonami.

– Pan chce mi coś sprzedać? – zapytała surowo.

Z bliska widać było, że jest dobrze po czterdziestce, ładna, choć o twarzy trudnej do zapamiętania. Tleniona blondynka, wysportowana sylwetka, spokojna pewność siebie. Ubrana w płócienne spodnie i kremowy T-shirt. Nie widać było po niej ani cienia smutku. Emil wyjął wizytówkę i podał kobiecie przez ogrodzenie.

– Chciałbym porozmawiać z panią Małgorzatą Bernacką – wyjaśnił, zastanawiając się w myślach, jakich argumentów użyć w przypadku, gdyby chciała od razu go spławić.

Kobieta jednak przeczytała wizytówkę i spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Pan Emil Żądło? Ten sam Emil Żądło?

– Chyba ten sam – zmieszał się. – Jestem...

– Wiem, znam! – Uśmiechnęła się wreszcie. – Co za zaszczyt, słynny pan Żądło. Domyślałam się, że zawitał pan tutaj z powodu mojego męża. Policja także odwiedziła mnie ponownie, przedwczoraj. Nawet myślałam, że... że może go znaleźli. Teraz rozumiem, że musi to mieć związek ze śmiercią jego kolegi. Czytałam o tym w gazecie. Proszę. Nie mam nic do ukrycia. Zapraszam na kawę.

Otworzyła furtkę, prowadząc go w głąb ogrodu. Natychmiast opadły go rozradowane psy, podskakując, łaszcząc się i liżąc go po rękach. Nie przywołała ich do porządku, widocznie było to normalne zachowanie. Nie miał zresztą nic przeciwko temu – lubił zwierzęta. Wolał przyjazne pieski od takich, które chciałyby go zjeść na śniadanie.

– Wczoraj próbowałem dodzwonić się do pani, ale mi się nie udało. A numeru pani komórki nie miałem, tylko stacjonarny. Dlatego tak bez uprzedzenia... – usprawiedliwiał się po drodze.

– Wczoraj byłem poza miastem – odparła krótko. – A można wiedzieć, jak zdobył pan mój telefon? Niedawno go zastrzegłam.

Na szczęście sprawdził wcześniej, że ten sam numer figurował w starych książkach telefonicznych, choć tak naprawdę otrzymał go od Zebry. Do tego się jednak nie przyznał. Zasugerował za to kobiecie, że może powinna raczej go zmienić.

– E, nie chce mi się, za dużo zachodu! – Machnęła dłonią. – Już i tak przestali dzwonić. Proszę tędy.

Wskazała schodki na ganek, marmurowe, po czym zapytała, czy woli wypić kawę na zewnątrz, czy w środku. Odpowiedział, że z przyjemnością na zewnątrz. Posadziła go więc przy stole na ganku. Był duży, bo i ganek obszerny.

– Za chwilę podam kawę. Pija pan czarną czy z mleczkiem?

– Czarną i bez cukru poproszę.

Zniknęła za drzwiami. Psy usiadły koło niego, z pyskami na jego kolanach, wyraźnie domagając się dalszych pieszczot. Rozejrzał się dookoła. Naprawdę było tu ładnie: zielono, cicho i spokojnie. Odgłosy miasta dobiegały z daleka, mocno przytłumione. Brakowało tylko kwiatów. Jedynie na parapetach dojrzał parę doniczek z rachitycznymi bratkami i turkami. Widocznie pani Bernacka nie przepada za grzebaniem w ziemi.

Wróciła po kilku minutach, niosąc dzbanek z kawą oraz filiżanki na tacce. Podała mu czarną kawę, przed sobą postawiła białą.

– Coś do kawy? – zapytała uprzejmie. – Herbatniki? Czekoladki?

– Dziękuję, nie trzeba. Nie przepadam za słodyczami, proszę sobie nie robić kłopotu. Nie mam zresztą za wiele pytań. Nie chciałbym pani męczyć, jest mi naprawdę przykro z powodu tej sytuacji... Zaginięcie bliskiej osoby jest czymś trudnym do zniesienia, doskonale to rozumiem. Gdyby jednak zechciała pani opowiedzieć mi coś o mężu... – urwał, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Spokój kobiety go peszył. Patrzyła przed siebie na ogród, popijając kawę małymi łykami. Potem odwróciła się do niego razem z krzesłem. Uśmiechnęła się – nie był pewien, ale zdawało mu się, że w tym uśmiechu dostrzegł nie tyle gorycz, co ironię.

– Nie. Nie jesteśmy żżyci – odparła twardo. – A raczej nie byliśmy, bo nawet jeśli on żyje i zamierza wrócić, to i tak się rozstaniemy. Zdecydowaliśmy o tym, jeszcze zanim to się stało. To znaczy, zanim zaginął.

Poczuł zakłopotanie. Nie tego się spodziewał.

– To była pani decyzja czy jego? – odważył się w końcu zapytać.

Wzruszyła ramionami.

– Wspólna. Nasze małżeństwo już od lat było fikcją. Nie mamy dzieci ani wspólnych zainteresowań. On nie lubi psów ani kwiatów, ja nie lubię tych jego starych skorup i grzebania w ziemi. Wolę przyszłość niż przeszłość.

– Przeszłość i przyszłość można ze sobą pogodzić – zauważył nieśmiało.

– Nie wtedy, gdy żyje się z fanatykiem – skwitowała. – Dla niego nie istniało nic poza pracą, a raczej... poza karierą. Na przykład... mąż ma córkę z pierwszego małżeństwa, już dorosłą, ale nawet z nią nie utrzymuje żadnych kontaktów. To też o czymś świadczy, prawda? Uprzejmy, kulturalny, hojny i nawet mnie chyba nie zdradzał... choć podobno studentki się za nim uganiały, przystojny był, mimo że dobijał pięćdziesiątki. Chyba podobnie jak pan, prawda? Przepraszam, jeśli uraziłam. To nie moja sprawa. Zresztą jak i ja – parsknęła śmiechem. – Jesteśmy w jednym wieku. Trochę późno na życiowe zmiany, ale i tak spróbuję. No więc, był całkiem w porządku. Tylko zimny jak ryba. Nieobecny. Dlatego teraz, kiedy go nie ma, nawet nie odczuwam różnicy – dokończyła, odstawiając pustą filiżankę.

– To smutne...

– Nie, dlaczego? Tak bywa. Dobrze się z panem rozmawia. Potrafi pan słuchać.

– Umiejętność słuchania to część mojego zwodu. Chyba zawsze miałem do tego predyspozycje. Ludzie mnie po prostu interesują. – Uśmiechnął się.

– Mogę dolać panu jeszcze kawy?

– Poproszę.

Napełniła ponownie filiżanki, do swojej dolała trochę śmietanki.

– A czym zajmował się ostatnio pani mąż?

– Zanim zaginął? – zamyśliła się. – Nie wiem czym, bo mało ze sobą rozmawialiśmy. Ale powiem panu, że był jakiś... inny. Policjanci także mnie o to pytali. Powiedziałabym, że był rozgorączkowany. Stale gdzieś dzwonił, albo ktoś dzwonił do niego. Ten zamordowany też

dzwonił, kolegowali się. Ale dzwonili też inni, których nie znałam. Najczęściej na komórkę. Ta komórka przepadła zresztą razem z nim. Czasem rozmawiali po angielsku. Nawet myślałam, że to dlatego, że bym nie rozumiała, o co chodzi. Nie mam głowy do języków. Ale potem przypadkiem odebrałam dwa razy telefon do niego. Na domowy. Ten ktoś mówił w obcym języku, a ponieważ nie potrafiłam odpowiedzieć, to się rozłączył.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna.

– Powiedziała pani: w obcym języku. Po angielsku czy w jakimś innym?

Kobieta zawahała się lekko.

– Raz na pewno po angielsku. A za drugim razem... najpierw w jakimś innym języku. Nie jestem pewna, jaki to był. Naprawdę nie mam słuchu – usprawiedliwiła się. – Potem próbował jeszcze po angielsku, ale potrafiłam powiedzieć tylko tyle, że męża nie ma w domu. Więc szybko zrezygnował.

– Mógł to być hiszpański?

Zastanowiła się.

– Chyba mógł. Ale nie jestem pewna.

Rzuciła psom piłkę daleko na trawnik. Pognały za nią.

– Słodkie są, prawda? – zauważyła. – To setery, łagodne, ale jakoś z nimi czuję się raźniej. Coś panu jeszcze zdradzę. Marek zostawił mi po sobie niezłe kłopoty. Wolałbym, żeby się odnalazł i sam je rozwiązywał. Naprawdę bym wolała.

– Jakiego... rodzaju to kłopoty?

– Ten dom. – Zatoczyła ręką w powietrzu. – Jest na hipotece. Zadłużony po dachówki. Zlicytują go wkrótce i zostanę z torbami. Latami żyłam w nieświadomości. Sama pracowałam w szkole podstawowej, zarabiałam grosze, przynajmniej w porównaniu z nim. On miał dobrą pensję i do tego zlecenia, dobrze nam się powodziło, wydawało się, że nie mamy kłopotów materialnych. Zostałam zwolniona rok temu w ramach redukcji etatów, zlikwidowali część godzin i okazałam się niepotrzebna. Potem nie mogłam znaleźć nowej pracy. Teraz czekają mnie problemy. O tym, że miał długi, dowiedziałam się



dopiero, gdy zaginął. Będę musiała przeprowadzić się do matki i gdzieś się zatrudnić. Poradzę sobie, mogę nawet sprzątać albo dzieci niańczyć. Choć skończyłam studia.

Emil milczał. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Zrobiło mu się żal kobiety. Ujęła go jej szczerłość i spontaniczność. Poczuł nagle straszną ochotę, by zapalić, nie ośmielił się jednak zapytać, czy wolno.

– Więc widzi pan, cieszę się jeszcze tym miejscem, ale ono już nie jest moje – dodała. – Jeśli Marek wróci, to może coś zaradzi. Ale obawiam się...

– Podejrzewa pani, że właśnie z tego powodu zniknął?

Popatrzyła mu w oczy i skinęła głową.

– Tego policji nie mówiłam. Zresztą nie pytali mnie o to.

– Na co się tak zadłużył? Skoro dobrze zarabiał?

Wzruszyła ramionami.

– Widocznie nie aż tak dobrze. Miał kłopoty ze spłacaniem kredytu. Na życie nam starczało, nie miałam pojęcia, że zamiast płacić raty... przeznaczał resztę pieniędzy na jakieś swoje sprawy.

– Jakie sprawy, pani Krystyno?

– Na dzieła sztuki, podróże... Dużo podróżował. Za granicę. Mówił, że służbowo, ale... chyba nie do końca tak było.

Pokiwał głową.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Pani przekazała policji jego komputer, prawda?

– Tak, zabrali go. Jego laptopa i tablet. Nawet tam nie zaglądałam, nie znałam hasła. Może uda im się coś znaleźć...

– A konto bankowe?

– Zabezpieczyli. Nic na nim nie było. Zostały tylko zaskórniaki, które trzymaliśmy w zegarze. Na czarną godzinę. Dla mnie właśnie nadeszła.

Posmutniała. Zrozumiał, że nie powinien jej dłużej męczyć. Kobieta i tak nic więcej nie wie. Trzeba będzie sprawdzić finanse Bernackiego innymi kanałami. Policja robi to skuteczniej.

– Będę się zbierał. Dziękuję za kawę i informacje. – Podniósł się z miejsca. – Będę trzymać za panią kciuki.

– Myśli pan, że mi się uda?

Skinał głową z uśmiechem.

– Uda się. Pani ma charakter. Nie poddaje się pani.

Odwzajemniła uśmiech.

– To prawda. Walczę do końca. Przydałam się chociaż na coś?

– Bardzo mi pani pomogła – odpowiedział szczerze.

Gdy tylko znalazł się na ulicy, z ulgą zapalił papierosa. Dochodząc do parkingu, otworzył zdalnie drzwi auta. Zanim ruszył, zadzwonił jeszcze do ekszony Zdanowskiego:

– Pani Zuzanno, przepraszam, że znowu niepokoję, tu Emil Żądło.

Pamięta mnie pani jeszcze?

– Oczywiście. Witam pana.

– Mam jeszcze jedno pytanie, natury osobistej, jeśli można...

– Proszę się nie krępować.

– Czy po rozwodzie pani były mąż miał jakąś partnerkę albo partnerki? A może już wcześniej miała pani jakieś podejrzenia?

Z drugiej strony słuchawki usłyszał szyderczy śmiech.

– On i partnerki? – prychnęła pogardliwie. – To byłby cud.

– Może lubił studentki?

– Pan żartuje? Chce pan wiedzieć, czy on bzykał studentki, tak? – upewniła się. – Może pan spokojnie o tym zapomnieć. Studenci go nienawidzili, ale z innego powodu. Panie Emilu, on nie interesował się kobietami. Nie znosił kobiet.

– W takim razie... – odchrząknął – miał może inne preferencje?

– Proszę pana, owszem, miał. Kochał siebie. Tylko siebie. Poza tym nikt go nie interesował, ani kobiety, ani mężczyźni. Nie potrzebował seksu, brzydził się ludzkim ciałem, kojarzyło mu się wyłącznie z płynami ustrojowymi. Najchętniej pewnie obcowałby z tymi swoimi marmurowymi bałwanami. On w ogóle nie lubił ludzi, zresztą nie tylko ludzi! Niczego, co żyje. Zwierząt też nie lubił, na dzieci nie mógł patrzeć. Młodzi go denerwowali, starzy jeszcze bardziej. Utrzymywanie z kimkolwiek kontaktów fizycznych było chyba ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Nie chcę się panu zwierzać z takich spraw, zwłaszcza przez telefon, ale niech mi pan wierzy: wiem, co mówię. Życie mi zmarnował

gnojek...

Gdy wrócił do domu, Marta jeszcze spała. Tylko Bolero wyskoczył przez klapkę w drzwiach sypialni i przybiegł mu na powitanie. Z kotem na rękach poszedł najpierw do kuchni, by nasypać mu chrupek do miski, a przy okazji nastawić wodę na herbatę. Od razu wyjął też z zamrażalnika garnek z zupą. Wstawił ją na gaz, a następnie zajrzał do Marty. Spała błogo, pochrapując, postanowił jej więc nie budzić, choć jego ciekawość rozpalila się na nowo, gdy tylko rzucił okiem na książki przy biurku. Trudno, zaczeka. Uchylił lufcik, zapalił papierosa, nalał sobie herbaty. W tym momencie rozdzwoniła się komórka Marty, którą zostawiła w pokoju. Rzucił się szybko, by dzwonek nie zakłócił jej snu. Przez moment wahał się, czy odebrać, czy raczej wyłączyć telefon, w końcu jednak przyjął połączenie. Na dźwięk męskiego głosu osobę po drugiej stronie najwyraźniej zamurowało.

– Halo? – odezwał się ponownie. – Tu komórka Marty Zabłockiej, jestem mężem...

Niepewny kobiecy głos odpowiedział dopiero po chwili.

– Czy zastałam doktor Zabłocką? Dzwonię z sekretariatu muzeum.

– Tak, ale w tej chwili nie może podejść. Czy coś przekazać?

Chwila ciszy.

– Żeby się z nami skontaktowała – kobieta wyartykułowała wreszcie prośbę. – O ile to możliwe, jak najszybciej.

Akurat gdy się rozłączył, rozczochrana Marta wyszła z sypialni. Kasztanowe loki malowniczo sterczały wokół jej głowy na kształt fryzury „piorun w szczypiorek”. Przecierała zaspane oczy.

– Kto to był? Jezu, jak późno! Aż tyle spałam?

– Zasuwałaś całą noc, dobrze, że odespałaś. – Uśmiechnął się. – Dzwonili z sekretariatu muzeum. Proszą, żebyś oddzwoniła jak najszybciej.

– Czego znowu chcą... jeszcze mam urlop! – wymamrotała, wciąż nie do końca rozbudzona.

– Idę grzać zupę – poinformował, gdy wyjęła mu z rąk komórkę i zaczęła wybierać numer.

Kiwnęła głową, mówiąc jednocześnie do słuchawki:

– Halo? Tu doktor Zabłocka...

Po pięciu minutach weszła do kuchni. Już przytomna. Nakrywał właśnie do stołu. Usiadła przy stole i napiła się herbaty z jego kubka.

– Cholera – rzuciła. – Ściągają mnie z urlopu. Będę musiała wrócić do pracy. Od jutra.

– A co się stało? Przecież nie było problemów z urlopem?

Skrzywiła się.

– Jeden z naszych rzeczoznawców nawalił, nagle zrezygnował ze współpracy. Mają niedobór siły roboczej, a trzeba oszacować kolekcję, którą ktoś chce podarować muzeum. Nie znam szczegółów, ale muszę jutro zasuwać do roboty. Pieprzony Pelczyk!

– Kto?

– Ten rzeczoznawca. Nieważne...

– A nie możesz się nie zgodzić?

– Teraz to już po herbacie. Nikogo innego nie złapali, tylko mnie. Nie mam argumentów. Mogłeś nie odbierać.

Zmierzył sobie włosy z zakłopotaniem. Taki gest, który towarzyszył mu przez całe życie, chyba od wczesnego dzieciństwa.

– Podkusiło mnie, cholera, przepraszam. Myślałem, że może to coś pilnego – kajał się zawstydzony.

– No i było pilne – odparła sarkastycznie. – Żartuję, skąd mogłeś wiedzieć? Też bym odebrała. Zresztą, jak znam życie, i tak dzwoniłoby do skutku. Zaczekaj z tą zupą, pójdę się najpierw opłukać. A po obiedzie nigdzie nie wychodzisz, mam nadzieję? Bo jest dużo do obgadania!

– Nigdzie się nie wybieram. Marta! Jeszcze sekunda... coś mi się przypomniało. Od paru osób usłyszałem, że obaj, to znaczy i Zdanowski, i Biernacki, kontaktowali się w ostatnim czasie z cudzoziemcami. Zebra też coś o tym wspominał. Czy to normalne? Jak sądzisz?

Marta cofnęła się od drzwi łazienki.

– Trudno powiedzieć – zastanowiła się. – W zasadzie nic w tym dziwnego. Badacze często utrzymują kontakty z kolegami po fachu z innych krajów. Zdanowski na przykład badał pałac w Lubicach z ramienia inwestora, a raczej kancelarii prawnej działającej w jego imieniu...

- Jak do niego trafili? Dlaczego akurat on?
- Nie mam pojęcia. Widocznie ktoś go polecił. Coś jeszcze? Bo muszę...
- Leć, leć. Tylko pospiesz się, zanim zupa wystygnie!

## Rozdział 7

– No to zaczynamy od Atlantydy – Marta wygodniej usadowiła się w fotelu, ustawiając obok siebie puszkę piwa, którą podał jej Emil. – Oczywiście legendarna Atlantyda będzie dla nas tylko punktem wyjścia, ale... chyba niezbędnym, bo to właśnie na jej punkcie mieli hopla nasi panowie z tajnej loży masońskiej „Nasza Pani”. Potwierdził mi to już mój znajomy ekspert, o którym ci wspominałam, zresztą właśnie zbiera dla nas materiały o tej loży. Co ty w zasadzie wiesz o Atlantydzie?

Emil zmieszał się, pociągnął łyk piwa. Przez chwilę się zastanawiał.

– Nooo... pewnie tyle co wszyscy – wzruszył ramionami. – Mityczny ląd albo raczej wyspa na Atlantyku, na której kwitła wysoko rozwinięta cywilizacja. Zatopiona przed tysiącami lat, nigdy nieodnaleziona. Nikt nie wie, czy istniała naprawdę, czy to tylko legenda.

Urwał i zerknął niepewnie na Martę. Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– Rzeczywiście. To mityczna wyspa, położona za Słupami Heraklesa, czyli za Gibraltarem, co rzeczywiście może oznaczać, że leżała gdzieś na Atlantyku, który starożytni nazywali „prawdziwym morzem”, lub u atlantyckich wybrzeży. Jako pierwszy napisał o niej Platon, grecki filozof żyjący na przełomie piątego i czwartego wieku przed naszą erą, w swoich słynnych dialogach *Timajos* i *Kritias*. Jako źródło swej opowieści podaje wspomnienia Solona, ateńskiego męża

stanu, żyjącego mniej więcej sto lat przed Platonem, a ten z kolei usłyszał ją bezpośrednio od egipskich kapłanów ze świątyni w mieście Sais. Mowa tam o wyspie większej od Libii i Azji razem wziętych, na której kwitła najwspanialsza ziemska cywilizacja oraz wysoka kultura. Mocarstwo to panowało nad całym ówczesnym światem i już wspomniani egipscy kapłani uważali je za prąródło wszelkiej cywilizacji w ogóle. Platon – a raczej Solon – z detalami opisuje ustrój polityczny Atlantydy, religię, urbanistykę, architekturę, nakreśla jej historię, podając nawet imiona władców, aż w końcu spektakularny upadek: *Później przyszły straszne trzęsienia ziemi i potopy, aż nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna, a wyspa Atlantyda zanurzyła się pod powierzchnią morza i zniknęła* – wyrecytowała z pamięci Marta. – Jakoś tak to szło. Już jako dziecku nie dawało mi to spać – roześmiała się z nostalgią. – Rozpalało wyobraźnię. Dlatego zapamiętałam. Później Platon dodaje coś ważnego. Nie przytoczę dokładnie, ale mowa tam, że „morze w tym miejscu” jest aż do tej pory, to znaczy oczywiście do czasów Solona, niedostępne dla okrętów i niezbadane, a to z powodu płytczn oraz mułu czy też szlamu pozostałego przez pochłonięty ląd. I to zanotuj sobie dobrze w pamięci – przerwała, by zwilżyć usta piwem i zerknęła na Emila pytająco. – Później zobaczysz dlaczego. A wiesz, kiedy to się wydarzyło? Ta katastrofa?

– Pojęcia nie mam. Strasznie dawno temu.

– W dziewiątym tysiącleciu przed naszą erą – poinformowała. – Czyli ponad jedenaście tysięcy lat temu. Jeśli to prawda, to rzeczywiście byłaby to najstarsza znana na naszej placce rozwinięta cywilizacja.

Emil odruchowo sięgnął po papierosa, zreflektował się jednak: siedzieli w pokoju, więc chwilowo z palenia nici. Pociągnął niechętnie e-papierosa, który stale leżał w gotowości obok komputera.

– Wierzysz w ten przekaz? – zainteresował się.

Tym razem to Marta wzruszyła ramionami.

– Czy ja wiem? W zasadzie dlaczego miałabym nie wierzyć? Platon to był mądry facet, uczony, po co miałby konfabulować, wymyślając do tego aż tyle szczegółów? Na przykład opisuje dokładnie system koncentrycznych kolistych kanałów, mostów i murów otaczających stolicę Atlantydy, podobnie jak jej świątynie, pałace,

łaźnie, tereny wypoczynkowe, okręty w porcie. Wspomina też o bogactwach naturalnych wyspy, o jakimś nieznanym metalu „droższym od złota”, gatunkach roślin i zwierząt. Przytacza genealogię władców i system wierzeń...

– Może w tym samym celu co autorzy współczesnych powieści? – podsunął.

– To teoretycznie możliwe. Choć wielu badaczy uważa, że jednak nie była to fikcja, tylko konkretny przekaz, który naprawdę dotarł do Platona. Nawet jeśli zaserwował nam przy tej okazji dydaktyczny wykład na temat idealnie rządzonego państwa. Choć... może jednak nie było aż tak idealnie, bo podobno przyczyną klęski Atlantydy była kara boska. Bogowie mieli mianowicie ukarać w ten sposób pychę Atlantów – dodała, sięgając ponownie po puszkę z piwem.

– No dobrze. Ale co ten przekaz, legenda czy jak to nazwać, ma wspólnego z naszą pieczęcią? I z tym przeklętym hieroglifem?

– Dobre pytanie! – pochwaliła. – Już do tego przechodzę. Platon zasiał w umysłach ludzi ziarno, które kiełkuje do dziś, przez całe stulecia, a nawet tysiąclecia. Mit Atlantydy nie zbladł, przeciwnie, obrósł całą masą nowych legend, hipotez, bajek i teorii. Naukowych, paranaukowych, mądrych, głupich, obłąkanych, fanatycznych... no, istny groch z kapustą. Atlantydy szukano już wszędzie, nie ma chyba takiego miejsca na ziemi, gdzie by jej na przestrzeni lat nie lokalizowano: na Oceanie Atlantyckim, morzu Śródziemnym i Egejskim, w Afryce, na Krecie, wysepce Santoryn nieopodal Krety, na Antarktydzie, w obu Amerykach, nawet u nas, na Bałtyku, gdzie utożsamiano ją z legendą Vinety lub Truso. Tajemniczą wyspą Platona zajmowali się nie tylko uczeni, archeolodzy i geolodzy, ale także najróżniejsi pasjonaci, czasem nawet kompletne świry. Wśród nich nie zabrakło oczywiście okultystów, parapsychologów, astrologów, ostatnio także ufologów. O, tych jest nawet bardzo wielu! Uważają oni mianowicie, że cywilizację Atlantydy założyli wizytujący Ziemię kosmici, z którymi wojny toczyli ziemianie, w tym przypadku przodkowie klasycznych Greków, jak podaje sam Platon. No cóż, każdy orze jak może – mruknęła ironicznie. – Nie wystarcza im wszystkim piękna idea. Bo moim zdaniem takich „Atlantyd” było wiele, czekają na



odkrycie faktycznie w różnych częściach globu. Jedna nie gorsza od drugiej, wszystkie kryją zagadki ważne dla dziejów ludzkości. Ale do rzeczy. Już od okresu międzywojennego poszukiwano Atlantydy także na terenach obecnej Hiszpanii, konkretnie w Andaluzji. I ta teoria akurat ma sens, na co wskazywałyby liczne starożytne źródła pisane oraz archeologiczne. Pierwszym, który łączył mit Atlantydy z tym regionem, był słynny niemiecki archeolog Adolf Schulten. Przez wiele lat prowadził poszukiwania w delcie Gwadalkiwiru. Pragnął odnaleźć pozostałości biblijnego Tarszisz, utożsamianego ze znanym z przekazów antycznych Tartessos – wielkim mocarstwem morskim, najstarszą cywilizacją kontynentu europejskiego. Liczne analogie w opisach dawnych autorów mogą sugerować, że Tartessos i Atlantyda to rzeczywiście jedno i to samo. Schulten był o tym przekonany, do dziś zresztą wielu naukowców podtrzymuje tę opinię. Niestety, jemu się nie udało. Poświęcił na swoje wykopaliska całe życie, stracił majątek, odkrył wiele interesujących artefaktów, jednak samych ruin miasta nie znalazł. Nic dziwnego zresztą... Cały ten teren to jedno wielkie bagno, potężne warstwy nagromadzonego w ciągu stuleci szlamu utrudniają wszelkie poszukiwania. Teraz rozumiesz, dlaczego kazałam ci zapamiętać słowa Platona. Obecne hipotezy mówią także o tym, że część wielkiego miasta mogły pochłonąć fale Atlantyku: dzisiejsza linia brzegowa różni się znacznie od tej sprzed tysiący lat. Nadal jednak serce tej tajemniczej cywilizacji umieszcza się w bagnach ujścia rzeki Gwadalkiwir. Najnowsze odkrycia, przede wszystkim zdjęcia satelitarne, wskazują, że rzeczywiście mogło tak być, a zarysy zlokalizowanych w ten sposób – domniemanych na razie – ruin pokrywają się podobno idealnie z opisami Platona. Orędownikiem tej teorii jest między innymi niemiecki naukowiec Reiner Kuhne z uniwersytetu w Wuppertalu, duchowy spadkobierca Schultena. Tam też, w południowej Hiszpanii, dopatrywali się Atlantydy nasi panowie z gdańskiej loży, pozostający z bliskich kontaktach z samym Schultenem oraz członkami jego ekipy. Na ten temat na razie nie wiem jeszcze zbyt wiele, jak mówiłam wcześniej, mój znajomy właśnie bada dla mnie tę sprawę. Poszłam jednak tym hiszpańskim tropem i... znalazłam!

Urwała, by zaczerpnąć tchu, jednocześnie świdrując Emila

tryumfalnym spojrzeniem. Był przekonany, że tak naprawdę chce po prostu wywołać większe napięcie. Marta uwielbiała tego typu sztuczki: byłaby świetnym wykładowcą, zawsze jej to powtarzał, ona jednak twierdziła, że nauczaniem może się zająć dopiero na emeryturze. Odstawił pustą puszkę na stoliku obok.

– Nie denerwuj mnie! – zbuntował się. – Mów dalej!

– Spokojnie, co to ja jestem... robot? Też mam gardło do przepłukania! – oburzyła się, sięgając po resztki swojego piwa. – Tak więc poszłam hiszpańskim tropem. Szukałam znaków dawnego pisma iberyjskiego, ale nic mi to nie dało. Dopiero nad ranem natrafiłam na pewien artykuł. Dotyczył on świeżego znaleziska, widocznie z tego powodu jeszcze mało znanego. Natknęłam się tylko na ten jeden ślad. W Internecie. Otóż, odnaleziono kamienną płytę z najdłuższą ze wszystkich znanych do tej pory inskrypcją w języku staroiberyjskim, utożsamianym z tartezyjskim. Samo pismo nic nam nie daje, zresztą jest do dziś nieodczytane, ale za to... za to, mój kochany... Znów zrobiła przerwę, uśmiechając się szeroko.

– Marta!!!

– Już, już! Czasem warto stopniować emocje. Uważaj. Na samym środku tej płyty widnieje sporych rozmiarów znak. Rysunek, symbol, trudno powiedzieć. No dobra. To właśnie nasz znak. Nasz „hieroglif”. Z początku nie byłam pewna, zdjęcie jest niewyraźne, ale... powiększyłam je sobie i obrobiłam komputerowo... no i proszę! – Sięgnęła do swojej teczki i podała mu wydruk komputerowy formatu A4. Widniał na nim dokładnie ten sam rysunek co na znajomej im aż za dobrze pieczęci.

Emila zatkało.

– Ty masz rację... o kurczę! To ten sam cholerny hieroglif! No to się Zebra chyba zesra... O, przepraszam, ozłoci cię! Martunia, jesteś genialna!

– Wiem – przyznała skromnie.

– Kurde... niesamowite. Mamy go! Ale co on może znaczyć? Rozumiesz coś z tego?

Wzruszyła ramionami.

– Jeszcze nie. Ale jednego możemy być pewni: znak ma związek

zarówno z naszymi masonami, jak i z Tartessos. I to wszystko się jakoś łączy.

– Zaraz zadzwonię do Zebry... Ale czy mogłabyś mi opowiedzieć coś więcej o tym Tartessos? Rozumiem, że skoro ma to związek, może okazać się kluczowe. Co prawda mam mętlik we łbie, jednak...

– Jasne, że ci opowiem. Tylko już nie dziś. Padam z nóg i od gadania rozboleło mnie gardło. Na razie zadzwoń do Marka i przekaż mu, czego dowiedzieliśmy się do tej pory o hieroglifie i o tej łoży. Niech też się potrudzą. Ci eksperci – mruknęła, wyciągając się na kanapie. – A ja się jeszcze trochę zdrzemnę. Należy mi się jak psu kość.

Emil zawahał się i podrapał po brodzie. Zarost ukłuł go w dłoń, trzeba się będzie ogolić – pomyślał niechętnie.

– Mam tylko jedną obiekcję... – dodał niepewnie.

– Tak? – mruknęła.

– Ten ekspert. Ile on zażąda za przysługę, bo wiesz, że policja umyje ręce. Chodzi mi też o to, czy nie zdradziłaś mu przypadkiem...

Usiadła i popukała palcem w czoło.

– Masz mnie za idiotkę? – nie pozwoliła mu dokończyć. – Facet sprawdza to dla mnie bezinteresownie, to była zresztą jego propozycja. To mój dobry znajomy, dawny wykładowca. Dla niego to pikuś, i tak stale siedzi w tej tematyce. I bez obaw, nie ma bladego pojęcia, w jakim celu! Niczego mu nie zdradziłam, sądzi, że zbieram materiały na potrzeby publikacji.

– Aaa, rozumiem... taki miły...

– Nie musisz być zazdrosny. – Położyła się z powrotem, odwracając się ostentacyjnie twarzą do ściany. – To starszy człowiek. Już na emeryturze, choć wciąż aktywny naukowo. Teraz pisze książki.

Chciał się jeszcze trochę z nią podroczyć, jednak z kanapy dobiegło go ciche chrapnięcie. Mógł je oczywiście wydać Bolero, ale na wszelki wypadek wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Do Zebry zatelefonował od razu. Umówili się na jutrzejsze popołudnie w mieszkaniu komisarza. Oczywiście liczył na obustronną wymianę informacji.

## *Nazajutrz*

Maria Zebra przyniosła im tylko kawę wraz ze świeżo upieczonym ciastem do salonu, po czym od razu wyszła pod pretekstem umówionej wizyty u sąsiadki. Jak zwykle wytworna, subtelna i dyskretna – Emil znał ją niemal od dziecka i wielbił nie mniej od komisarza, choć oczywiście inaczej. Dawno temu mieszkali po sąsiedzku, ale zaprzyjaźnili się, dopiero gdy Maria, po traumatycznych przeżyciach związanych z zabójstwem ukochanej jedynaczki, została żoną Marka. Ta decyzja uratowała jej życie, a do życia komisarza wniosła nową jakość. Starsza od męża, dobiegała już zapewne sześćdziesiątki, nie miało to jednak najmniejszego znaczenia, ponieważ Maria nie zmieniała się od lat. Wciąż tak samo posągowo piękna, jakby upływające lata nie miały nad jej ciałem żadnej władzy. Emil zazdrościł przyjacielowi związku bez niedomówień i szarpaniny emocjonalnej. Do tego Maria była ideałem. Teraz też: doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że chcą porozmawiać na osobności, więc – choć obaj protestowali – nie zamierzała im w tym przeszkadzać. Jeśli do jakiegokolwiek kobiety w obecnych czasach pasuje jeszcze określenie „dama”, to właśnie do niej.

Zebra ucieszyła wiadomość o zidentyfikowaniu „hieroglifu” oraz napisu „Nasza Pani”, choć przyniosła mu ona kolejną zgryzotę.

– A niech to... – westchnął. – Chcesz piwa?

– Nie mogę pić, bo przyjechałem samochodem – Emil pokręcił głową ze smutkiem. – Tym razem musi mi wystarczyć kawa. Zresztą jak zwykle doskonała.

– Majeczka zawsze robi pyszną kawę – odruchowo skomentował policjant.

– Przecież wiem, że nie ty! Dobrze pamiętam twoją lurę z pływającymi fusami.

– Odczep się.

Żądło uśmiechnął się. Marek w bamboszach tylko z pozoru wyglądał poczciwiej.

- Ale ty weź sobie tego piwa – zaproponował wielkodusznie Żądło.
- Może będziesz znośniejszy. Człowiek przywozi mu rewelację, a w zamian dostaje tylko dawkę typowej policyjnej impertynencji...

Zebra prychnął i przyniósł sobie butelkę zmrożonego piwa.

– Powiem ci szczerze, rewelacja to jest. Zmyję głowy naszym ekspertom, tacy z nich znawcy jak z koziej dupy trąba. Marcie podziękuję osobiście. No, mamy rewelację, to fakt. Tylko co ja z nią, kurwa, zrobię? – Zebra pozwalał sobie na przekleństwa wyłącznie podczas nieobecności Marysi. Przy żonie był układowy jak wzorowy wychowanek przedwojennego katolickiego gimnazjum.

Emil przezornie się nie odzywał. Komisarz pociągnął łyk piwa prosto z butelki i perorował dalej.

– To znaczy, kogo ja mam teraz szukać? Jakichś masonów? Po czym ich rozpoznam? Chodzą, kuźwa, zamaskowani? Noszą jakieś emblematy? Może peleryny i kapelusze z szerokim rondem? A może, cholera, maseczki?! Oczywiście, jak tylko zobaczę na mieście takiego przebierańca, to od razu go aresztuję... Ale może oni chodzą niewidzialni? – dodał kpiąco.

– Za dużo filmów się naoglądałeś – nie wytrzymał Żądło. – Mój drogi, ja już to z Martą obgadałem. Gdyby to naprawdę byli masoni, to i tak do nich nie dotrzesz, a tym bardziej nic im nie zrobisz. Za wysokie progi. Bo masoni to zazwyczaj najwyżej postawione osobistości życia publicznego, możemy im naskoczyć. Rozumiesz: ważni politycy, przywódcy państw, książęta, biskupi, słynni uczeni, sama śmietanka. I za nic ich nie rozpoznasz. Nie mają niczego wypisanego na czole.

Na piegowatej twarzy Zebry malowała się głęboka rozterka.

– Uczeni? – podchwycił po chwili namysłu.

– Też, ale nie takie pionki jak ci nasi!

– Ale mogli być jacyś... szeregowi, dostali zlecenie i coś sknócili?

– Teoretycznie mogli. Choć wydaje mi się to naciągane.

– Więc co sądzisz?

– Na razie nic nie sądzę. – Emil wzruszył ramionami. – Rób swoje.

Z pewnością trzeba dalej inwigilować środowisko muzealników i naukowców. Ale moim zdaniem prawda tkwi w tych ofiarach... znaczy się, w życiorysie Zdanowskiego i tego drugiego, jak mu tam...

– Bernackiego – odpowiedział Zebra. – Ale nie wiemy nawet, czy on jest ofiarą. A może sprawcą?

– Tak czy inaczej.

Żądło napił się kawy i nałożył sobie ciasta. Szarlotka z kruszonką i rabarbarem była przepyszna. Tylko tutaj mógł taką zjeść. Komisarz osuszył tymczasem butelkę piwa i przyniósł sobie następną.

– Okej – kontynuował, gdy wrócił. – Powiem ci, co myślę. Moim zdaniem to wszystko wygląda na działanie jakiejś zorganizowanej grupy. Jakieś gangsterskie porachunki. Te znaki i tak dalej. Mafiozi tak robią.

– Nie jestem przekonany. To równie dobrze mogą być porachunki, jak i działanie psychopaty. Może zemsta?

– Ty, a może jakaś sekta, której nie mamy w ewidencji...? Mord rytualny? Ale nie, to bzdura... Może po prostu chodzi o pogrózkę: „nie wtrącaj się w nasze sprawy”? – myślał głośno Marek Zebra.

– Jakie sprawy?

– Ja bym jednak stawiał na czarny rynek sztuką. Może handlują antykami w Hiszpanii?

– Sądziś, że to aż takie proste? – odparł Emil z powątpiewaniem.

– Handlarze są ostrożni. Nie bawią się raczej w takie inscenizacje.

Policjant zerwał się z krzesła i zaczął krążyć, jak to miał w zwyczaju, po pokoju.

– Cholera, jak ja lubię takie sprawy! – podniósł głos. – Co ty mi tu sugerujesz? Seryjnego?! Za mało do serii!

– Oby. Ale trudno coś takiego z góry wykluczyć.

– Dobra, masz rację. – Zebra z powrotem zajął miejsce i napił się piwa z butelki. – To ty się zajmij hipotetycznym seryjnym, w końcu jesteś dziennikarską hieną, temat w sam raz dla ciebie. – Zarechotał złośliwie. – A ja tymczasem skupię się dalej na penetrowaniu środowiska handlarzy zabytkami. Rozpierzdziałem ten czarny rynek w drobny mak! Czuję, że to jest to. Jeszcze nie wszystkich posadziliśmy, działają sobie radośnie dalej, mamy sygnały, choć nic grubszego, ale teraz dobiorę im się do dupy...

– Ty mi tu nie próbuj zepchnąć mnie do narożnika! – Zaśmiał się Emil. – Ale dobrze, działajmy dwutorowo. To całkiem dobry pomysł. Przypadkiem ci wyszedł.

– A czego się jeszcze dowiedział? Przecież wiem, że jeździłeś do naszych świadków.

– W sumie niczego, czego byście nie wiedzieli. Ale długo o tym myślałem i nasuwają mi się pewne prawidłowości – odchrząknął. – Obaj panowie naukowcy to niemal dokładnie te same charaktery: pasjonaci zawodu, wręcz maniacy. Karierowicze, choć bez oczekiwanych sukcesów. Samotnicy, zimne ryby, bez przyjaciół i kochanek, pozbawieni więzi emocjonalnych nawet z najbliższymi. Tylko praca się dla nich liczyła. No i obaj mieli w ostatnim czasie kontakty z cudzoziemcami. Kontaktowali się też ze sobą nawzajem.

Zebra wysłuchał go uważnie i pokiwał głową.

– Tak, te tajemnicze kontakty też nas zastanowiły. Szczególnie, że cholernie to mętne, zero konkretów, tak jakby starannie się z tym kryli. Powiem ci więcej: jest też trzeci palant jajogłowy. Który także był z nimi w kontakcie i jestem pewien, że macza w tym swoje paluchy. Rozmawiamy z nim, ale miga się jak węgorz. Wyraźnie się czegoś boi, bo dupą trzęsie. Nie podejrzewamy go o zamordowanie koleśki, za miętki jest. Ale z pewnością coś wie.

– Więc może być zagrożony – zauważył Emil.

– Dokładnie.

– A co znaleźliście w komputerach i telefonach?

Komisarz obrzucił go znaczącym spojrzeniem, w którym dało się dostrzec wahanie. W końcu się zdecydował.

– Zaraz ci powiem, tylko czekaj, pójdę po jeszcze jedno piwo. Muszę korzystać, bo jak Majka jest, to mi nie pozwala. Chcesz jeszcze kawy?

– Twojej wolę nie doświadczać. Może masz jakiś sok?

– Mam, palancie. Zaczekaj chwilę.

Kiedy wyszedł, Emil wstał, by rozprostować kości. Podeszedł do okna i jak zwykle zachwycił się widokiem. Zebrowie mieszkali w samym sercu gdańskiej „starówki”. Przez okno widać było zwarty szereg kamieniczek, kojarzący się Emilowi z dekoracją teatralną albo z obrazami Veermera i innych mistrzów holenderskich. Jakby czas się tutaj zatrzymał, choć dobrze wiedział, że doszczętnie zniszczone kamienice zostały odrestaurowane po wojnie. Jedynie kolorowe grupki

turystów – jak to latem – miejscami zakłócały ten nastrój, choć nie przeszkadzały mu: stanowiły część ducha miasta. Jego skojarzenia z malarstwem niderlandzkim nie były przypadkowe, jak wyjaśniła mu to kiedyś Marta – dawna architektura Gdańska miała wiele wspólnego z Holandią. Mieszkało tu przed wiekami wielu Flamandów, a niderlandzki renesans królował w swoim czasie w tym nadmorskim grodzie, i to przez długie lata. Wiele jego elementów pozostało. Żądło, który przez większość swego życia spędził na blokowisku – konkretnie na Przymorzu – gdzie z okien falowca mógł oglądać jedynie potężne betonowe bunkry, od dawna zazdrościł koledze widoków. Teraz co prawda, odkąd zamieszkał z Martą przy jednej z bocznych uliczek starej Oliwy, także nie mógł narzekać: z ich niskiego okna widać było stare parterowe domki i bardzo dużo zieleni. Ale to jednak nie to samo co przepięknie rzeźbione kamienice, gargulce, posągi na dachach, bogato dekorowane fasady...

Oderwał się od podziwiania widoków, gdy rozochocony Marek wrócił z kuchni. Przytargał ze sobą nie tylko dwie butelki piwa i karton soku z czerwonych winogron, ale także całą miskę chipsów.

– Stara nostalgia? – skomentował Emil ze złośliwym błyskiem w oku. Rudy policjant wyszczerzył do niego zęby w szerokim uśmiechu, jak za dawnych czasów.

– Będzie na ciebie – oświadczył. – Sam przecież nie wychłabiłbym tyle tego piwka.

– Dobrze, że nie idzie ci w nogi, tylko w głowę. Może Marysia nie zauważy...

– Dobra, dobra. – Komisarz rozsiadł się wygodnie na kanapie, naprzeciwko fotela, który zajął gość. – Powiem ci szczerze, że masz szczęście. Doszedłem do wniosku, że mogę ci to wszystko zdradzić bez specjalnych wyrzutów sumienia. Znaczący się to, co znaleźliśmy w komputerach tych jajogłowych. Bo tak naprawdę to gównie znaleźliśmy – oznajmił z ponurą satysfakcją. – Chłopaki, widać, bardzo się pilnowały. W poczcie elektronicznej nie ma prawie wcale prywatnych maili, a te, które były, zostały wykasowane. Nasz technik oczywiście je odzyskał, ale nawet one niczego nie wnoszą. Co ciekawe, wymieniało się nimi trzech panów: Bernacki, Zdanowski i ten trzeci,



o którym przed chwilą wspomniałem. W bardzo lakoniczny sposób wyznaczyli sobie tę drogą miejsca i godziny spotkań. W oczywisty sposób łączyły ich interesy. I to w zasadzie wszystko. Aha, mowa w nich o jakimś gościu, którego nazywali pomiędzy sobą Zetem. Ale chuj wie, kim jest ten cały Zet. Nieźle się kamuflowali, takie niby baranki. To samo w komórce Zdanowskiego: lapidarne esemesy, kilka niezidentyfikowanych połączeń z telefonami na kartę. Tyle wyszło z bilingów. Numery nieaktualne, szukaj wiatru w polu. Jedyna interesująca informacja jest taka, że w dwóch czy trzech wiadomościach przewija się słowo „obiekt”. Ale tak samo jak z tym Zetem – guzik nam to mówi. Obiektem może być wszystko. Przejdę teraz do trzeciego kolesia, bo już tylko w nim nasza nadzieja. I od razu ci powiem, jaka będzie twoja rola. Masz nakłonić cholernika do współpracy z policją. Albo przynajmniej wydobyć z niego, ile się da. Może ma parcie na szkło. Oni wszyscy mają – komisarz przerwał, by napić się piwa. Emil skorzystał z okazji i wtrącił:

– Jeśli gość się boi, to nie będzie łatwe.

– Wiem, że niełatwe! Cholera, sami próbujemy go podejść i dupa nam z tego wychodzi! Nie możemy dziada przyskrzynić, choćby dla jego dobra, bo nic na niego nie mamy, tylko te kontakty, a tego żaden prokurator nie klepnie. Ale tobie powinno pójść łatwiej, on się boi glin!

– A jeśli nie tylko glin?

– To tym gorzej dla niego.

Emil nalał sobie soku.

– No dobra, to wal dalej. Co to za facet?

– Wabi się Roman Pelczyk. Doktor Roman Pelczyk, a jakże. Rzeczoznawca, wcześniej pracownik Desy...

– Zaczekaj, coś mi świta. Czy to nie jego miała na myśli Marta? Musiała nagle przerwać urlop i jechać do pracy, bo im jakiś rzeczoznawca nawalił. Wymieniła chyba właśnie to nazwisko...

– To możliwe, bo on współpracuje z różnymi oddziałami muzealnymi, po całej Polsce się szlaja, skubaniec. Marta poszła do roboty? Mówiłem, że ma siedzieć w domu. A co u was w ogóle, nikt was więcej nie niepokoił? – przejął się szczerze Zebra.

Żądło wzruszył ramionami:

– Nie może siedzieć w domu, skoro ściąga ją sama dyrekcja. Ale nic się więcej nie działo, przecież powiedzielibyśmy ci o tym! Wszystko w porządku. Zresztą zawiozłem ją do pracy i odbiorę, wracając od ciebie. Możesz być spokojny.

Komisarz sięgnął po chipsy.

– Ja tam nie wiem, wy oboje jesteście tak samo pokręceni, pasujecie do siebie – mruknął, popijając je piwem.

– Wiem.

– A kiedy ślub...?

– Daj spokój – odparł ponuro. – Znasz Martę.

– Spokojna głowa, musi dojrzeć. Majkę też musiałem długo przekonywać. Gdyby nie fakt, że była wtedy w kompletnej rozsypce, to pewnie do dziś by mi się nie udało.

– Może masz rację – mruknął niechętnie Emil. – Wróćmy lepiej do tematu.

– Niewiele zostało. Facet jest kawalerem, czyli pasuje do twojego schematu. Mieszka sam, w kawalerce na Morenie. Ale nieczęsto tam bywa, bo, jak mówiłem, dużo podróżuje służbowo. Śliski gość. Trudno się z nim rozmawia.

– Okej. Gadać z dziwnymi ludźmi potrafię. Dasz mi na niego namiary? Szkoda mi czasu na szukanie.

Zebra napisał coś na świstku papieru i podał mu go.

– Tylko w razie czego nie masz tego od nas – zastrzegł.

– Jasne. Będę leciał. Marta zaraz kończy pracę.

W tym samym momencie usłyszeli zgrzyt klucza w zamku. Właśnie wróciła Maria. Emilowi zrobiło się przykro, że akurat musi wychodzić, ale nie było innego wyjścia. Musiał jeszcze złapać Martę w muzeum. Umówią się innym razem, całą czwórką. Może na spokojnie, kiedy już będzie po sprawie, Teraz wyściskał ją tylko serdecznie na pożegnanie, potakując z uśmiechem, gdy Marek wyjaśniał, że te cztery piwa wypili na spółkę.

– A ty nie jedziesz samochodem, Emilku? – Zatrzaszczyła się.

– Eee... dziś nie, weźmiemy taksówkę – wyjaśnił szybko. – To do zobaczenia, może kiedyś wpadlibyście do nas?

– Oczywiście, z przyjemnością! Zdzwonimy się. Ucałuj Martę.

– Zrobię to z prawdziwą przyjemnością. Dzięki serdeczne – powiedział do Marii. A w stronę Zebry rzucił jeszcze: – Będziemy w kontakcie.

Po drodze do domu zatrzymali się pod redakcją „Rozgwiadzy”, ponieważ Emil przypomniał sobie w porę, że musi złożyć swój podpis na jakimś rachunku. Został upomniany przez Marię, która bardzo prosiła, by już dłużej z tym nie zwlekał. Od mniej więcej roku redakcja gazety nie mieściła się już w prywatnym mieszkaniu Szymona Madera, lecz w wynajętym biurze na parterze jednej z willi przy Jaśkowej Dolinie. Czynsz nie był niski, niemniej młodzi dziennikarze radzili już sobie całkiem nieźle, postanowili więc zadbać o wizerunek i – co tu dużo mówić – o własną wygodę. Szczególnie teraz, po ślubie, kiedy wizja ewentualnego powiększenia rodziny stała się całkiem realna, więc normalne mieszkanie, i tak przecież niewielkie, a do tej pory okupowane niemal wyłącznie na potrzeby pracy, stało się pilną egzystencjalną potrzebą. Dla Emila nowa lokalizacja także była wygodniejsza: przejeżdżał tędy w obie strony niemal co dzień. Teraz też mieli redakcję po drodze. Wiedział, że co najmniej jedna osoba – Ewa albo Szymon – pracują do wieczora. Marta postanowiła poczekać w samochodzie: była zmęczona, wołała nie dopuścić do sytuacji, że zasiedzą się tam do późna. Emil zwykle potrafił się „sprężyć”, wiedząc, że Marta czeka. Tak po prawdzie, nie znosiła tego, wołał się jej nie narażać. Wpadł więc do biura jak burza i ku swojemu zdziwieniu zatkał tam przy pracy oboje młodych.

– O, nasz Emil! – Ewa również się zdziwiła. – Przyjechałeś wreszcie podpisać te papiery, które zostawiła dla ciebie Marysia?

Jej sympatyczna, okrągła buzia z dołkiem w brodzie jak zwykle jaśniała wewnętrznym blaskiem i zarażała optymizmem.

– Właśnie, ale spieszę się, Ewciu, Marta czeka w samochodzie, gdzie te papiery?

– Jak zwykle – mrugnęła. – Marta woli nas chyba unikać... Szymek, podaj te wydruki tam, te z biurka Majki! Masz podpisać tu, i tu. – Wskazała palcem właściwe rubryczki.

– Marta was nie unika, tylko sama pada na twarz. Trochę się dziś najeździła. A wy co tu oboje robicie o tej porze?

Szymon oderwał się od ekranu komputera.

– Bez ciebie musimy robić za trzech – odparł żartobliwie. – Nie, tak serio, to mamy trochę roboty, a chcemy sobie zrobić wolny weekend. Słuchaj, właśnie... Zapomniałbym, a miałem już do ciebie dzwonić. Ten twój Kleczko nas od pewnego czasu prześladowuje, a raczej ściga ciebie. Coś o tym wiesz?

Emil oddał Ewie podpisane papiery. Usłyszane nazwisko z miejsca go wzburzyło.

– Jak to prześladowuje?

– No, wydzwania niemal codziennie, dopytuje o ciebie. Chce, żebyśmy namówili cię do spotkania z nim, podobno ma dla ciebie ofertę nie do odrzucenia, a nam wciska bajki, że da nam kilka przedruków za darmo.

– I co mu odpowiedziałeś? – najeżył się.

– Jak to co? – Mader wyglądał na obruszonego. – Nie zgodziliśmy się! Spławiłem go, ale jest cholernie namolny, traktuje nas jak gówniarzy. Co mam robić?

Żądło pomyślał przez chwilę, zerkając na zegarek – wizja wściekłej Marty nie bardzo mu się spodobała.

– Słuchajcie, jeśli znowu zadzwoni, to go nie spławiajcie: lepiej go zwodzić. Niech myśli, że coś ugra. Mów, że nie mam czasu się z nim spotykać, załatany jestem jak nie wiem co, ale że będziecie mnie namawiać i że w razie czego będziecie z nim w kontakcie. Już ja tego dupka urządzę...

– Ale chyba nie zamierzasz z nim znowu współpracować? – zaniepokoił się młody człowiek.

– Emil nie jest zdrajcą, Szymon, nie obrażaj go! – wtrąciła Ewa.

– Pewnie że nie. – Żądło uśmiechnął się jak lis. – Załatwię gnoja na cacy. Jeszcze nie wiem jak, ale coś wymyślę.

– Chodzi o te dwie sprawy? Zaginięcie i zabójstwo? – domyśliła się Ewa.

– Oczywiście, że tak. Na pewno! Ale figę dostanie, cwaniak. Oczywiście ewentualny reportaż po sprawie jest zarezerwowany dla was.

Ja zawsze. To chyba jasne?

Pokiwali głowami z uśmiechem.

– Dobra, będziemy dziada zwodzić. A ty rób swoje i niczym się nie przejmuj! Dziękuję za podpis.

Ewa uściskała go entuzjastycznie. Emil kolejny raz sprawdził czas i ruszył w popłochu do drzwi.

– Muszę wiać! Marta zanudzi się w samochodzie i mnie zabije. Cześć pracy!

Marta, jak się okazało, nawet nie była zła – właśnie wracała z Manhattanu, w rękę niosła wypchaną siatkę. Pomachała mu z daleka. Lekko wiało i jej włosy tańczyły w ruchliwym świetle popołudniowego słońca. *Do dupy lato* – pomyślał niechętnie. – *Pewnie wieczorem znów spadnie deszcz.*

– Zrobiłam przy okazji drobne zakupy na kolację – oznajmiła. – Idealnie się zgraliśmy. To powiedz mi, o co chodzi z tym Pelczykiem? Bo zacząłeś i...

– Opowiem ci po drodze. Jazda trochę nam zajmie, są korki. Do tej pory był luz, a teraz masz! Z godzinę będziemy jechać, cholera. A Bolero gdzie?

– No przecież u pani Reni! Nic mu nie będzie. Zostanie dokarmiony i dopieszczony, jak zawsze. Ona go uwielbia. Z nami nie ma aż tak dobrze! – Zaśmiała się.

Ruszyli, by po chwili znaleźć się w gęstym tłumie pojazdów. Posuwali się w ślimaczym tempie i gdy zatrzymali się przed pierwszymi światłami, Marta znów przypomniała sobie o Pelczyku.

– Hej, to co z tym Pelczykiem?

Światła zmieniły się, lecz dalej wlekli się w sznurze samochodów.

– Co do Pelczyka, w skrócie – odparł – wygląda na to, że jest trzecim, po Bernackim i Zdanowskim, bezpośrednio zamieszonym w tę historię, cokolwiek by to miało znaczyć. Cała trójka pozostawała w stałym kontakcie, przy czym były to co najmniej podejrzane kontakty. W tej chwili jest dla policji jedyną nitką, która może doprowadzić do kłębka. Coś wie i boi się czegoś. Albo kogoś.

– Policji? Czy raczej bandziorów?

– Być może policji. Unika ich, jak może.

– Jest podejrzany?

– Oczywiście, że jest naturalnym podejrzany. Ale równie dobrze może być kolejną potencjalną ofiarą. Ty go dobrze znasz?

Marta zastanowiła się.

– Niezbyt dobrze. Nie pracuje u nas na stałe, tylko dorywczo, w sumie niewiele miałam z nim do czynienia, no i wyłącznie w kwestiach zawodowych. Prywatnie nic o nim nie wiem. A teraz mi jeszcze namącił. Nagle się wypiął, musieli ściągać z urlopu mnie i jeszcze jednego kolegę. Żeby to jeszcze była gra warta świeczki!

– To znaczy?

Posuwali się w ślimaczym tempie, w dodatku zbliżali się już do następnych światła. Godzina szczytu wciąż trwała.

Marta niechętnie wzruszyła ramionami.

– Cała ta kolekcja to nic wielkiego, w sumie... szmelc. Strata czasu.

– Nie przyjmiecie jej?

– Przyjąć musimy. Bądź co bądź są to rzeczy z przełomu wieków, niektóre nawet starsze. Tyle że niezbyt wartościowe, żadne rarytasy. Kolejne rupiecie, które będą nam zalegać w magazynach – skwitowała.

– Czyli możesz kontynuować urlop?

Parsknęła gorzko.

– Właśnie nie – odparła. – Trzeba je wszystkie skatalogować i tak dalej. Zajmie to kupę czasu. Resztę urlopu muszę przełożyć na lipiec. Jeśli się uda...

Wreszcie znów mogli ruszyć w korku zrywami naprzód. Emil włączył radio i wyszukał stację z muzyką.

– Jaki jest ten cały Pelczyk? – wrócił do tematu.

– Bo ja wiem... Mały tłusty facecik około sześćdziesiątki. W każdym razie nieco starszy od tamtych dwóch. Dziwak, do tego niezbyt sympatyczny. Drażnił mnie, odkąd pamiętam. Nerwowy, strasznie szybko mówi, na dodatek się zacina, ale nie z powodu wady wymowy, tylko dlatego, że wiecznie się spieszy, kręci i nie jest pewny, co chce właściwie powiedzieć. Przynajmniej takie odnoszę wrażenie. Trudno go zrozumieć. Zagoniony, zarozumiały, zadufany w sobie bufon. A do tego brudas. No nie znoszę palanta i już – dodała z mściwą

satysfakcją.

– Właśnie słyszę, że go lubisz! – Parsknął śmiechem.

Ale odpowiedziała całkiem poważnie.

– Też byś go nie lubił.

– A Zdanowskiego i Bernackiego lubiłaś?

Marta przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Też niezbyt, ale chyba jednak bardziej – odpowiedziała w końcu.

– Bernacki potrafił nawet być miły, choć głównie wtedy, kiedy niczego się od niego nie oczekiwało. Zdanowski z dystansem, ale za to konkretny, niczego nie udawał. Z nimi przynajmniej można się było jakoś dogadać. Nie działali mi aż tak na nerwy, jak ten Pelczyk. Pelczyk jest... nie wiem, jak to powiedzieć... jest w nim coś fałszywego.

– Słyszałem, że mieszka samotnie. Nie ma rodziny?

– Nie wiem, ale wcale by mnie to nie zdziwiło. Kto by z takim wytrzymał. Ale jedno mu trzeba przyznać: na swoim fachu się zna jak nikt. Jest specjalistą od starych monet i ceramiki, zresztą nie tylko. Od starożytności do średniowiecza. Jednym z najlepszych w Polsce. Drań rzuci okiem i wie, czy autentyk, czy falsyfikat.

– A czemu tym razem nawalił? – przypomniało mu się.

– Podobno wyjeżdża za granicę. Tak się tłumaczył, zresztą nie tyle tłumaczył, co raczej nas bezczelnie zbył. Ot, tak sobie – pstryknęła palcami – zmiana planów, radźcie sobie jak chcecie!

Emil pokiwał głową współczująco. Kiedy wyjechali z Wrzeszcza, zrobiło się luźniej. Po kilku minutach dotarli wreszcie do Oliwy, po czym – wzdłuż parku – pod dom. Gdy weszli na klatkę schodową, zobaczyli sąsiadkę z telefonem przy uchu... przed szeroko otwartymi drzwiami do ich mieszkania. W tym samym momencie rozdzwoniła się komórka Marty. Sąsiadka natychmiast się rozłączyła, telefon umilkł. Marta spojrzała niepewnie na Emila, a następnie na starszą kobietę: na twarzy pani Reni dostrzegła przerażenie, a nawet ślady łez w jej oczach.

– Pani Reniu... co... – zaczęła, lecz sąsiadka weszła jej w słowo.

– Pani Marto, pani Marto, nieszczęście!

Marta omal nie zemdląła, myśląc w pierwszej chwili, że coś się

stało jej ukochanemu pupilowi. Na szczęście nie chodziło jednak o Bolera, który już za moment znalazł się bezpieczny i mruczący w jej ramionach. Pani Renia roztrzęsionym głosem zakomunikowała jej, że dosłownie chwilę temu do ich mieszkania ktoś się włamał.

– Właśnie do pani dzwoniłam... A wcześniej na policję. Powinni zaraz tu być. Kazali nie wchodzić. Pani Marto, bardzo przepraszam... nie dopilnowałam! – Kobięcina była naprawdę zrozpaczona.

– To przecież nie pani wina! – uspokoiła ją Marta. – Nie miała pani w końcu tu dyżurować, i tak mam wyrzuty sumienia, że panią wykorzystujemy. Najważniejsze, że jemu nic się nie stało. – Wskazała brodą na kocura.

– Jakie tam wykorzystywanie! – Pani Renia machnęła ręką. – A Bolercio był u mnie. I to on przepłoszył tych złodziei! On ich usłyszał!

– Złodziei? Było ich więcej? – wtrącił się Emil, wyciągając swoją komórkę. Szybko wystukał numer Marka Zebry.

– Ano, ze dwóch – przytaknęła przejęta sąsiadka. – Przez okno z tyłu zwiewali, Aż się za nimi kurzyło! Ale nie wiem, czy co zdążyli wynieść. Zaraz państwu wszystko opowiem. Musimy tutaj czekać, nie kazali wchodzić, tylko pilnować, to ja choć taborety z kuchni przyniosę...

Wszystko to zdarzyło się dosłownie z pół godziny wcześniej. Może nawet mniej niż pół godziny. Pani Renia pichciła coś w kuchni, a Bolero jak zwykle spał w specjalnie dla niego wymoszczonym kocykami fotelu, ustawionym w rogu niewielkiego przedpokoiku. Sam sobie wybrał to miejsce, nie żeby mu ktoś narzucał – zastrzegła sąsiadka. Właśnie wyłączyła piekarnik i wycierała dłonie w kuchenny ręcznik, gdy nagle dobiegło ją przerażające zamieszanie spod drzwi wejściowych: jakiś rumor, przerażający krzyk kota, a zaraz potem wściekle drapanie – domyśliła się po odgłosie – i pojedyncze stukoty. Upuściła ręcznik i jak szalona wybiegła do przedpokoju. Ujrzała zupełnie niezrozumiałą dla siebie scenę, przez chwilę stała więc tylko jak słup soli, całkiem oniemiała. Napuszony kocur rzucał się na klamkę i wściekle drapał pazurami o framugę, wrzeszcząc jednocześnie wniebogłosy. Z początku



myślała, że się o coś wściekł, może miał zły sen. Jednak kot nigdy wcześniej się w ten sposób nie zachowywał. Gdy ją zobaczył, tym bardziej nasilił swoje działania, tak jakby chciał jej coś powiedzieć. Niewiele myśląc, porwała kota na ręce i wybiegła na klatkę schodową. To był taki odruch – tłumaczyła się. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystko jest w porządku, zaraz jednak usłyszała jakieś dziwne odgłosy zza zamkniętych drzwi mieszkania Marty. Nie wiedziała, co robić. Zawołała i zastukała – dźwięki umilkły. Zastukała jeszcze raz i w końcu nacisnęła klamkę. Bolero wyrwał jej się, ledwie zdołała go utrzymać, w dodatku znowu się rozwrzeszczał. Gdy uchyliła drzwi i ostrożnie zajrzała przez szparę, nadal panowała tam głucha cisza. Dopiero kiedy otworzyła drzwi na oścież i odważyła się wejść do środka, nawołując: „Pani Marto!”, „Panie Emilku!”, dobiegł ją zniecka rumor i tupot nóg, ktoś przemknął w ciemności – w długim i wąskim, pozbawionym okien korytarzu zawsze panował mrok – po czym kot wyrwał jej się i niczym strzała śmignął, głucho warcząc, w głąb mieszkania. Stała jak wryta, modląc się tylko po cichu. Nie była w stanie się ruszyć. Niemal w tym samym momencie usłyszała koci krzyk, odgłos tłuczonego szkła, jakąś szarpaninę... i zapadła cisza. Dopiero wtedy odblokowało ją i jak szalona zaczęła wzywać pomocy. Nadbiegł sąsiad z domu naprzeciwko, jak się później okazało, wcale nie z powodu jej wołania – którego nie usłyszał – tylko dlatego, że ze swego ogródka zauważył dwie ciemno ubrane, zakapturzone sylwetki, przeskakujące przez ogrodzenie i biegnące pędem w stronę zakrętu ulicy, zza którego zaraz potem rozległ się warkot silnika i pisk opon samochodu. Zaniepokoiło go to, dlatego porzucił koszenie trawniczka i od razu przyleciał. To on odważył się wejść dalej i przyniósł jej wciąż nastroszonego kocura, którego znalazł pośród resztek wybitej w drobny mak szyby. Pani Renia zaniósła zwierzaka do swego mieszkania i dla pewności zamknęła w pokoju, po czym oboje zadzwonili po policję. Kiedy policja kazała czekać, sąsiad wrócił do siebie, żeby uspokoić chorą na serce małżonkę, która całe zajście obserwowała z okna. Renia sama go wygoniła. Właśnie zamierzała zatelefonować do Marty, gdy weszli...

Zanim nadjechał Zebra, policjanci zabezpieczyli już podstawowe ślady, przepytali sąsiadów, a nawet przypilnowali Emila, by zadzwonił po szklarza. Komisarz porozmawiał z nimi przez chwilę, wydał dalsze polecenia, a następnie dołączył do Marty i Emila, czekających na niego w pokoju dziennym.

– Zamek niewyłamany, prawdopodobnie otworzyli sobie drzwi kluczem uniwersalnym – oznajmił bez wstępów. – Żadnych odcisków palców, śladów stóp, zero. Musieli działać w rękawicach. Tam, gdzie zeskoczyli, jest chodnik, potem trawa, lekko zgnieciona, nic poza tym. Dobrze wiedzieli, jak się poruszać. Niczego nie zdemolowali poza tą szybą, ale widocznie nie spodziewali się takiego obrotu sprawy, a musieli szybko wiać. Co tam się jeszcze działo, wie chyba tylko Bolero. Nie krwawili, więc raczej nie doszło do potyczki. Rozbebeszyli szuflady, nabałaganili trochę, nie aż tak dużo, być może narozrabialiby więcej, gdyby zdążyli. Później sprawdźcie jeszcze raz na spokojnie, co zginęło, choć świadkowie twierdzą, że biegli z pustymi rękami. Jeśli coś rąbnęli, to coś małego. Byli zamaskowani, więc rysopisy o kant dupy potłuc. Z pewnością nie starzy i nie inwalidzi. Ubrani w coś w rodzaju czarnych dresów lub kombinezonów. Prawdopodobnie mężczyźni, co najmniej dwóch, bo tylu widzieli sąsiedzi, ale mogło ich być więcej. Ktoś zapewne czekał w aucie. Odjechali samochodem, nie wiadomo jakim. Tego już nikt nie zarejestrował. I tyle w tej chwili mamy. Jedno jest pewne: to profesjonaści, nie jacyś zwykli miejscowi złodzieje. I raczej nie przez przypadek nawiedzili akurat was. Wygląda na to, że szukali czegoś konkretnego. Bo cennych rzeczy to wy akurat nie posiadacie.

– Czyli wychodzi na twoje – podsumował Emil. – Grupa zorganizowana. Gang?

– Na to wygląda – potwierdził komisarz.

– Ale czego mieliby szukać? My nic nie mamy! Wszystko, czego się dowiedziałam, można znaleźć w książkach i w Internecie. Poza tym skąd mieliby o tym wiedzieć?! – włączyła się zdenerwowana Marta. – Że w ogóle czegoś szukamy?

– Właśnie – zamyślił się Zebra. – To jest bardzo dobre pytanie...

Resztę dnia spędzili we troje, przy kawie i kanapkach, na roztrząsaniu wydarzenia. Tymczasem szklarz wstawił nową szybę, a zdenerwowana pani Renia po zażyciu naparu z melisy wróciła do siebie, by ochłonić po przeżytych emocjach. Zebra, z kotem na kolanach – rudy zawsze ciągnie do rudego, jak stwierdził Emil – nalegał z początku, by Marta zrezygnowała czasowo z pracy i bardziej stanowczo zażądała reszty urlopu, ona jednak stwierdziła, że w tej chwili nie ma na to najmniejszych szans. Musi popracować jeszcze co najmniej przez tydzień, potem dopiero będzie mogła próbować. Ustalili po raz kolejny, że oboje muszą się bardziej pilnować, ktoś najwyraźniej ma na nich oko – i czegoś szuka. Zapewne pod złym adresem, jednak trudno wyprowadzić z błędu kogoś, o kim nie ma się pojęcia, kim jest. Chyba że... Na koniec komisarz niedwuznacznie zasugerował, że od pewnego czasu podejrzewają przecieki w swoim zespole.

– No to nie po raz pierwszy – rzucił Emil, ciągle jeszcze mając w pamięci śledztwo w sprawie japońskich drzeworytów sprzed paru lat.

– Ano nie. Zajmę się tym – obiecał Zebra, zbierając się do wyjścia. Ledwie wyszedł, zadzwonił telefon.

– To Emila! – zawołała Marta, patrząc na wyświetlacz. – Odbierzesz?

Kilka dni temu kupili sobie tani, lecz nowoczesny aparat stacjonarny. Dawny – zabytkowy – nie tyle się zepsuł, co okazał się zbyt uciążliwy w codziennym użytkowaniu. Zdobił teraz serwantkę pod oknem, podczas gdy nowy telefon ustawili w dawnym miejscu, w przedpokoju. Emil niechętnie podniósł słuchawkę.

– Tak, słucham?

– To ja – zaczęła jego była żona ostrym głosem. Zawsze taki miała. – Chciałam ci tylko zakomunikować, że twój syn wybiera się do was czwartego lipca. Na dwa tygodnie. Zarezerwowałam już bilet na prom. Mam nadzieję, że się ucieszysz. Powinniście spędzać ze sobą znacznie więcej czasu – strzelała zdaniami jak z karabinu maszynowego. Ledwie zdołał wtrącić słówko w obawie, że po wypowiedzeniu swojej kwestii rozłączy się bez słowa. Już tak bywało. Nie żyli w nieprzyjaźni, ale

przyjaźnią ich wzajemny stosunek także trudno było nazwać. Na sam dźwięk głosu zmaterializował się w jego głowie jej obraz. Emila była niegdyś bardzo atrakcyjną kobietą, przyciągała męskie spojrzenia jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, choć zawsze wyglądała trochę jak lalka. Sądząc ze zdjęć, taka pozostała: wymuskana, o lśniących czarnych prostych włosach (ściślej: ufarbowanych na granatową czerń, bo z natury była raczej ciemną szatynką) z równo, jak przy linijce przyciętą grzywką. Nieskazitelny makijaż sprawiał, że jej twarz wydawała się nienaganną maską. Zawsze też dbała o mimikę, by nie zrobiły jej się zmarszczki. Chyba jej się to udało. Tyle, że nieco przybrała w okolicy biustu i bioder, co zaobserwował z satysfakcją, że jego była nie jest jednak chodzącą doskonałością. Emila była dokładnym przeciwieństwem Marty, na której twarzy znać było wszelkie emocje, która nie dbała o strój, nie malowała się prawie wcale, za to figurę miała wciąż nastolatki. Marta, którą kochał nie za idealną kreację, ale za to, jaka jest naprawdę.

Z Emilą nie potrafił rozmawiać. Teraz też. Potrafiła od razu wyprowadzić go z równowagi. Choć bardzo się starał, naprawdę się starał, była w końcu matką jego syna. Fajnego syna. Odchrząknął i odpowiedział sztywno:

– Bardzo się cieszę i też uważam, że powinniśmy spędzać razem więcej czasu, choć przypominam ci, że to ty wywiozłaś chłopaka za granicę...

– No wiesz! Nie bądź bezczelny! A niby ty zapewniłbyś mu tam normalne życie?! – wpadła mu w słowo.

– Emila! – Tak na nią wszyscy mówili, choć jej imię brzmiało oficjalnie: Emilia. – Emila, nie chcę się kłócić. Bardzo chętnie weźmiemy Bartka na okres wakacji. Tylko...

Zmieszał się. Jak jej powiedzieć, że przed chwilą mieli włamanie, a wcześniej jakiś psychopata malował tajemnicze znaki na ich szybie?

– Co, już się chcesz wykręcić? – podchwyciła. – A dzieciak tak się na ten wyjazd cieszy! A może to twoja dziewczyna sobie tego nie życzy?

– Daj spokój! Marta uwielbia Bartka i dobrze o tym wiesz. Chodzi o to, że... nie wiem, czy to jest akurat najlepszy moment...

– Znów się w coś wpakowałaś? – zaatakowała domyślnie.

Zamilkł, patrząc bezradnie w stronę Marty. Telefon włączony był na głoś, wszystko słyszała, nawet uśmiechała się drwiąco pod nosem.

– Może ustalimy coś w końcu, zgadzacie się czy nie? Mam powiedzieć Bartkowi, że go nie chcecie? My wyjeżdżamy na ten czas do Stanów, co mam z nim zrobić? Nie zostawię go przecież samego, a my jedziemy tam do roboty, nie na urlop. On ma dopiero szesnaście lat! Ale jak chcesz...

Marta wyjęła mu słuchawkę z dłoni.

– Emila, oczywiście, niech Bartek przyjeżdża. Bardzo się cieszymy na jego wizytę – odparła spokojnym głosem. – Mieliśmy przejściowe... hmm... kłopoty z moją pracą, ale do tej pory wszystko się wyjaśni. Będzie dobrze. Czekamy.

– Naprawdę?

– Jasne, że naprawdę.

– No to w porządku – Emila spuściła trochę z tonu. – Dobrze, że choć z tobą się można dogadać, bo z tym kretynek... zresztą, co ci będę gadać, sama wiesz.

Emil zabrał Marcie słuchawkę.

– Daj tylko znać, kiedy mam odebrać młodego z przystani.

– Wszystko ci powiem.

– Okej. No to cześć. Powodzenia w tej Ameryce.

Rozłączył się z ulgą.

– Kurczę, naprawdę działa mi ta cholera na nerwy! – ulżył sobie.

Marta zachichotała.

– Ty jej najwyraźniej też – zauważyła przytomnie. – Co ma być, to będzie. Damy sobie radę, Bartek to już nie małe dziecko, duży chłopiec. I niegłupi. Wyluzuj. Z oka go nie spuszczę. I widzisz? Dobrze się stało, że musiałam odłożyć ten urlop na lipiec! Teraz zresztą już nie będą mogli mi go odmówić.

## Rozdział 8

Przyglądał się z fascynacją, jak Marta gotuje spaghetti. Miała swój własny ekspresowy sposób, który nazywała „autorskim”. Wrzuciła na teflonową patelnię ugotowany wcześniej makaron, poląła go obficie oliwą z oliwek – ważne by była z pierwszego tłoczenia, co zawsze podkreślała – następnie wsypała garść suszonej bazylii i dorzuciła słoiczek przecieru pomidorowego. Pomieszała widelcem, dosypując więcej przypraw: trochę cukru i czarnego pieprzu, odrobinę tymianku, szczyptę granulowanego czosnku, a na koniec skropiła potrawę przyprawą do zup. Pociągnął nosem, z patelni unosił się już upojny zapach. Przełożyła gotowe spaghetti do dużej miski, posypując je tartym parmezanem. Przyrządzenie potrawy zajęło jej niecałe piętnaście minut. A efekt znał – było to jedno z jego ulubionych dań. Kultowe, odkąd się poznali.

– Przynieś kieliszki i otwórz wino! – poleciła.

– Czerwone?

Wzniosła oczy do sufitu.

– A masz inne? – zakpiła. – Przecież kupiliśmy tylko jedno.

– Rzeczywiście. – Uśmiechnął się niewinnie.

Usiedli do stołu. Ostatnie przeżycia trochę wybiły ich z rytmu, roztrząsali je dzień i noc, zamiast zająć się tym, co sobie wcześniej zaplanowali. Emil odłożył na jutro rozmowę z Pelczykiem: miał nadzieję złapać go jeszcze w Gdańsku, zanim zniknie gdzieś w świecie. Telefonicznie facet był nieuchwytny, ale Żądło znał na szczęście jego

adres. Marta, zajęta pracą, którą chciała skończyć jak najszybciej, by móc wreszcie wykorzystać resztę urlopu, także zaniedbała swoje badania.

– A co z tym twoim ekspertem od masonów? – przypomniał sobie podczas jedzenia.

– Jesteśmy w kontakcie – odparła. – Jutro rano ma do mnie dzwonić. Materiały podeśle mailem.

– To co robimy dziś wieczór?

– Niczego sobie nie zaplanowałeś? W takim razie mam propozycję. Wrócimy do starożytności. Gotowy?

– Myślałem, że będziemy robić... coś innego – zażartował. – Ale i ta propozycja... może być. Nawet mi się podoba. Zawsze lubiłem podróżować w czasie.

– Jest nie do odrzucenia! A tak całkiem serio: to ważne. Bez tego trudno byłoby ruszyć dalej, o ile, oczywiście, te znaki z pieczęci mają jakiś sens. Mówiąc szczerze, trudno uwierzyć, że nie mają, bo po co ktoś miałby się aż tak trudzić? Coś przecież musi się za tym kryć. Zresztą sam zobaczysz...

– Jak już wcześniej wspomniałam – zaczęła uroczyście Marta – wszyscy chyba słyszeli lub nawet czytali o hipotetycznej Atlantydzie. Nie ma pewnie człowieka, który by się z tą nazwą nie zetknął. Niejednego oczarowała, wkradła się do snów i marzeń, kultury i sztuki. Całe pokolenia uwiodła zagadkowa wyspa Platona, niejednen poświęcił jej całe swoje życie. Zazwyczaj jednak, i o tym także już mówiłam, zapominamy o jednym: że takich „Atlantyd” jest wiele, równie tajemniczych, lepiej natomiast udokumentowanych w materiałach źródłowych i wykopaliskach archeologicznych. Przykładem może być zapomniana niemal zupełnie cywilizacja, znana w źródłach antycznych jako państwo Tartessos, a w biblijnych jako Tarszisz. Obecnie obie te nazwy są utożsamiane i używane zamiennie. Nie jest tak rozślawione jak Atlantyda Platona, lecz ma nad nią tę przewagę, że jego istnienia nie sposób podważyć. Tartessos istniało naprawdę, mamy na to „świadków”, że się tak wyrażę w waszym żargonie, lecz dziś także jest zagadką,

ponieważ nie odnaleziono jego ruin, a nawet jeśli je zlokalizowano – jak niektórzy twierdzą – to nie można ich zbadać. Przynajmniej na razie. Być może wkrótce to się zmieni. Ogromną szansą są tu nowe stosunkowo nowe dziedziny archeologii, dla przykładu archeologia lotnicza i archeologia podwodna.

– Przypominam sobie – wtrącił Emil. – Mówiłaś coś chyba o zdjęciach lotniczych...

– Satelitarnych – sprostowała.

– Okej. Dawaj dalej.

– W starożytności państwo Tartessos, wielkie, bo obejmujące przynajmniej całe południe Półwyspu Iberyjskiego, słynęło z niezmiernych bogactw i wysokiej kultury. Leżało gdzieś u atlantyckich wybrzeży Hiszpanii, w ujściu rzeki Betis, czyli współczesnego Gwadalkiwiru, a przypuszczalną kolebką tego potężnego ośrodka były najprawdopodobniej równiny Andaluzji. Jednak dokładnej lokalizacji samej metropolii albo powiedzmy raczej: stolicy, nie znamy. Jej ruin dotychczas nie odnaleziono, mimo długotrwałych poszukiwań, zapoczątkowanych jeszcze w latach dwudziestych poprzedniego stulecia przez niemieckiego badacza Adolfa Schultena. O którym też ci już opowiadałam. Choć znaleziska archeologiczne należące bez wątpienia do kręgu cywilizacyjnego Tartessos są dosyć liczne, nie rozwiązują jednak zagadki pochodzenia, historii i upadku tej kultury. Hipotez i teorii jest mnóstwo, co nie ułatwia sprawy, a wręcz przeciwnie.

Marta przerwała na chwilę swój wykład, by napić się herbaty. Emil skorzystał z okazji i – ponieważ siedzieli w kuchni – zapalił papierosa. Po prawdzie nie mógł się już doczekać dalszego ciągu. Romantyczna opowieść o zaginionej cywilizacji pobudzała jego wyobraźnię nie mniej niż zapalonym archeologom starszych o kilka pokoleń. Gdyby tylko mógł, rozgarniałby wiekowy muł własnymi gołymi rękami, byle tylko odnaleźć jej szczątki. Cóż – pomyślał – zawsze jest nadzieja, że ktoś wreszcie trafi na coś, co wielu wcześniejszym poszukiwaczom uparcie umykało...

Wreszcie Marta zdecydowała się kontynuować:

– Najwcześniejsze wiadomości na temat Tartessos, czyli Tarszisz, podaje Biblia oraz źródła asyryjskie, a następnie antyczne. Tych jest



wiele, zarówno greckich, jak i rzymskich: oczywiście niezastąpiony Herodot, dalej Strabon, Diodor Sycylijski, Stefan Bizantyjski i inni, sama nie wszystkich pamiętam. Od drugiego tysiąclecia przed naszą erą Tartessos występuje w tekstach źródłowych jako państwo znane, potężne, bogate w drogocenne metale, ważny partner handlowy starożytnych Izraelitów i Fenicjan. Do państw starhjożytnego Wschodu Tartessyjczycy dostarczali głównie cynę, która była wówczas bardzo poszukiwanym towarem, ale także złoto i srebro, ołów, żelazo, kość słoniową, nawet małpy i pawie. W tamtych czasach Tartessos uchodziło wręcz za symbol bogactwa i floty dalekomorskiej. „Flota Tarszisz” – może pamiętasz to hasło z Biblii?

– Bez jaj. – Wzruszył ramionami.

– No tak. – Uśmiechnęła się wyrozumiale. – Co ja plotę... Pewnie nawet w życiu do niej nie zajrzałeś?

– Jak większość Polaków – odciął się. – Może na lekcjach religii, nie pamiętam. Daj już spokój, dobrze?

– A szkoda, bo to w końcu nie modlitewnik, tylko stara, bardzo stara księga. Jest w niej mnóstwo sensacyjnych informacji!

– Wierzę, że je dla mnie streścisz.

– Właśnie to robię... Okej, jedźmy dalej. Tartessos było w owym czasie potęgą morską, przez wiele stuleci panowało na Morzu Śródziemnym, kontrolowało handel dalekomorski i posiadało dochodowy monopol handlu cyną. I tu ciekawostka. Wprawdzie złoża tego metalu Tartessyjczycy posiadali u siebie, jednak w końcu się wyczerpały – a monopol mimo to pozostał. Niektórzy naukowcy uważają, że w późniejszym okresie tartessyjscy żeglarze sprowadzali cynę aż z Wysp Brytyjskich. Innego logicznego wytłumaczenia tego fenomenu w zasadzie nie ma: gdzie indziej w takiej ilości nie występowała. Ale przejdźmy dalej... – Marta zawahała się krótko, szukając właściwych słów. Zajrzała nawet do jednej z kilku książek, które przezornie umieściła pod ręką. – Początków cywilizacji Tartessos nie znamy, a tym bardziej pochodzenia oraz przynależności etnicznej ludu, który ją stworzył. Mamy za to na ten temat wiele przypuszczeń. Na przykład jedna z hipotez wiąże początki Tartessos z wędrowką tajemniczych „ludów morskich”. Był wśród nich lud zwany Tursza – lub

Trusza – identyfikowany przez niektórych uczonych z Etruskami. Część z nich miała według tej teorii przeniknąć na zachód, założyć miasto i zapoczątkować cywilizację tartessyjską. Hipoteza interesująca, jednak nie została potwierdzona naukowo, co oczywiście niczego jeszcze nie przesądza. Moim zdaniem oparta jest tylko na podobieństwie nazw. Inni badacze łączą początki Tartessos z kulturą starożytnej Krety. Istnieje faktycznie wiele podobieństw, ale również żadnych namacalnych dowodów. Pewne cechy wspólne kulturowo mogły być równie dobrze efektem wzajemnych długotrwałych kontaktów handlowych między tymi krajami. Obecnie większość archeologów, zwłaszcza hiszpańskich, wywodzi cywilizację Tartessos z miejscowej kultury megalitycznej. Teza ta wydaje się przy obecnym stanie wiedzy najbardziej prawdopodobna. Jednak sprawa pochodzenia Tartessos pozostaje nadal otwarta. Tak naprawdę wszystko to tylko domysły. Jak podają historycy greccy z pierwszego tysiąclecia p.e.n. – czyli przed naszą erą, mówię skrótowo – sami Tartessyjczycy twierdzili, że dzieje ich miasta liczą sobie już kilka tysięcy lat. Według Greków to by się zgadzało: stolica Tartessos była faktycznie miastem bardzo już wiekowym, a przy tym ważnym ośrodkiem handlowym i kulturalnym, co przecież wymaga długiego rozwoju, już w drugim tysiącleciu p.e.n. Ale kiedy została założona? Przez kogo? Kim była słynna „Dama z Elche”, wywodząca się bez wątplenia z kręgu kultury Tartessos? Podobnych zabytków znamy więcej i wciąż jesteśmy bezradni.

– Jaka dama? – zainteresował się Emil. – O żadnej damie wcześniej nie było mowy.

Marta znowu sięgnęła do książki, przekartkowała ją szybko i podsunęła mu pod nos czarno-białe zdjęcie wyjątkowo pięknej rzeźby. Widział ją już kiedyś – skojarzył sobie mgliście. Było to kamienne kobiece popiersie. Uwieczniona dama wyglądała na królową albo może nawet boginię, miała urodziwą twarz, a na głowie coś w rodzaju strojnego czepca z bogato zdobionymi nausznikami. Na jej piersiach widniał podobnie zdobiony naszyjnik.

– Wow! – wykrzyknął z niekłamanym podziwem. – To Tartessyjka? Tak wyglądały kobiety na Atlantydzie?

Marta się uśmiechnęła.

– Piękna, prawda?

– Piękna – musiał przyznać. – Piękna pani i sama rzeźba też piękna.

– To chyba najśłynniejsza z tartessyjskich „dam”. Bo jest ich więcej. Na przykład niemal „siedząca” Dama de Baza, może mniej urodziwa, za to pokazana w całej postaci, na siedząco, nieco podobnie jak w przypadku grup rzeźb znajdujących w etruskich grobowcach. Wszystkie damy mają podobne nakrycia głowy i podobną biżuterię, więc albo przedstawiają tę samą postać, albo panowała taka moda, przynajmniej wśród arystokratek. Dlatego właśnie określa się je mianem dam.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytał przytomnie. – To znaczy: one?

– Pytasz o posągi? Większość z nich jest chyba w muzeum archeologicznym w Madrycie. Dama z Elche wcześniej przechowywana była w Luwrze, ale Hiszpanie odzyskali ją w latach czterdziestych. Bodajże w czterdziestym pierwszym.

– Aha. Czyli jest u siebie... Kim ona mogła być? Znaczy, kobieta, którą przedstawia ta rzeźba?

– Nikt tego nie wie. – Marta rozłożyła ręce. – Może jakaś władczyni?

– Może bogini? – podsunął.

– Też może być. Teoretycznie. Choć wydaje mi się, że jest zbyt realistyczna jak na bóstwo. Ma zindywidualizowane rysy twarzy i ten strój... Sama nie wiem. Stawiałabym raczej na to, że to portret konkretnej kobiety. Pokiwał głową, choć nie do końca przekonany.

– Ty się znasz, nie ja – przyznał jednak.

– Ale to tylko takie moje rozważania! Nie mam pojęcia, kim ona jest. A raczej była... Zaczekajmy z domysłami, potem możemy się tym zająć, na razie może jednak idźmy dalej – zaproponowała Marta. – Bo trochę tego jest. Przekazy o kulturze, historii i życiu codziennym Tartessyjczyków są fragmentaryczne, ale przy tym dość konsekwentne. Znamy także niektóre legendy, przekazane nam przez Greków, na przykład taką o mądrych królach, Gargorisie i Gabisie. Wspominał o niej Pompejusz Trogus. Władcy ci podobno wybudowali w pradawnych czasach siedem miast dla swoich poddanych, a także wyswobodzili cały

naród od niewolniczych prac. Dokładnego sensu tego przekazu nie znamy. Czyżby w czasach rozkwitu Tartessos nie istniała tam instytucja niewolnictwa? Byłby to doprawdy niezwykle wyjątek w dziejach starożytności. Herodot opowiada również o królu Argantoniuszu, który żył w siódmym wieku pe-en-e, a który życzliwie przyjął grupę przybyłych do Tartessos Greków. Zaproponował im nawet osiedlenie się w granicach swego państwa. Grecy z propozycji wprawdzie nie skorzystali, ale od tamtej pory zaczęli prowadzić systematyczny handel wymienny z Tartessos. Właśnie na podstawie tego rodzaju przekazów wiadomo, że stolica Tartessos była siedzibą władzy monarszej. Znamy nawet imiona królów z różnych dynastii, na przykład: Habis, Tubal, Gerion, Theron, Gargoris. Są i inni, ale nie chce mi się szukać. Wiemy, że Tartessyjczycy posługiwali się własnym pismem, posiadali kroniki historyczne oraz bogatą literaturę, głównie opowieści spisane wierszem metrycznym. Mało nam niestety wiadomo o języku, którym posługiwano się w Tartessos. W południowej Hiszpanii znaleziono ponad czterysta napisów – a może teraz już więcej – opartych na alfabecie, który wykazuje pewne cechy wspólne z fenickim. Udało się jak dotąd wyróżnić dwadzieścia siedem znaków. Napisów jednak nie udało się odczytać, tak samo jak nie powiodło się ustalenie, w jakim języku zostały napisane. Przez jakiś czas istniała hipoteza, że z języka tartessyjskiego wywodzi się język Basków. Obecnie jednak większość uczonych się z nią nie zgadza. Inne przypuszczenie sugeruje, że język z napisów tartessyjskich bliski jest etruskiemu. No, tu możemy sobie spekulować do woli! – Zaśmiała się. – Jako że język etruski również stanowi do dzisiejszego dnia zagadkę. Tartessyjczycy posiadali także wysoko rozwiniętą naukę, sztukę i architekturę. Ich stolica, w czasach, gdy odwiedzali ją Grecy i oglądali na własne oczy – a był to siódmy i szósty wiek pe-en-e – była miastem starym, pięknym, a do tego wielką i ludną metropolią. Grecy podziwiali szerokie ulice przecinające się pod kątem prostym, wspaniałe świątynie, pałace, wille, rozległe place i parki. Zabudowa była planowa i regularna. Z zabytków architektury źródła wymieniają między innymi Zamek Gersona oraz przepiękną Świątynię Bogini Księżycy. Chciałabym je zobaczyć... – westchnęła.

– Ja też! – zapalił się Żądło.

Marta wyglądała na zadowoloną.

– Ludność cechowała łagodność i kultura obyczajów – kontynuowała. – Tartesyjczycy należeli przy tym do najlepiej wykształconych ludzi ówczesnego świata. Słabo z kolei znamy religię Tartessos, ale na podstawie wzmianek greckich wiemy, że charakteryzowała się ona wysokim poziomem intelektualnym, a do tego pogodą i łagodnością. Czczono boginię słońca, księżycy i jutrenki. Uznawano także boga morza. Tartesyjczycy wierzyli w życie pozagrobowe oraz w świat podziemnych mocy. Religia Tartessos wywarła być może pewien wpływ na wierzenia Greków, którzy zresztą ich boga morza utożsamiali ze swoim Posejdonem.

Teraz przejdę do historii. Szczyt potęgi Tartessos przypadł na siódmy wiek przed naszą erą. Z tego przynajmniej okresu pochodzą niesamowite naczynia z brązu i misterna biżuteria, znalezione na południu Hiszpanii. Lecz już w szóstym wieku u granic Tartessos pojawił się potężny rywal: Kartagina. Kartagińczycy założyli w Andaluzji liczne kolonie i przeszkadzali Tartessos w handlu z północną Afryką i Grecją. Tartessos zaangażowało się więc w konflikt z Kartaginą. Jak się okazało: ku swojej zgubie. Tartesyjczycy należeli do ludów usposobionych pokojowo, poza tym była to już stara kultura, no i – jak to często w dziejach bywało – nie zdołała się oprzeć młodszej, bezwzględnej, ekspansywnej, gotowej na wszystko. A stawka była bardzo wysoka: pozycja handlowa w basenie Morza Śródziemnego, dostęp do Atlantyku, handel bezcenną cyną...

– Te prymitywne żołdaki pokonały Tartessos?! – obruszył się Emil.

– Niestety tak. Tartessos długo się broniło – odparła. – Nie znamy dokładnego przebiegu konfliktu, wiemy natomiast o bohaterskiej postawie króla Therona, który w krytycznym momencie poderwał ludzi do walki z najeźdźcą. Niestety, ich opór, mimo sojuszu z Grecją, został złamany i około pięćsetnego roku przed naszą erą stolica legła w gruzach, a potężne do niedawna państwo przestało istnieć. Zresztą problem upadku Tartessos nie jest tak do końca jasny. Tu również kryją się zagadki, krążą różne hipotezy. Metropolia została zburzona najprawdopodobniej przez Kartagińczyków, ale być może jednak przez Fenicjan, sprzymierzonych w tej wojnie z Kartaginą i od dawna

osiadłych na Półwyspie Iberyjskim, odwiecznych wrogów Tartessos. W końcu Kartagińczycy wywodzą się od Fenicjan, więc nie byłoby w tym nic dziwnego, że walczyli ramię w ramię. Niektórzy naukowcy uważają, że do upadku Tartessos przyczyniły się także plemiona celtyckie. Istnieje także teoria katastrofy naturalnej: powodzi, trzęsienia ziemi. Być może te wszystkie powody nałożyły się na siebie, to także nie byłby pierwszy taki przypadek w historii ludzkości. Spór nie jest rozstrzygnięty i pewnie już nigdy nie będzie.

– Żal...

– Ano, żal. Nie zapominajmy tylko, że to się działo tysiące lat temu. – Uśmiechnęła się i wstała, by nastawić wodę na świeżą herbatę. Krzątając się po kuchni, mówiła dalej.

– Problem upadku Tartessos to nie tylko zagłada wielkiego miasta i całego państwa, ważnego w ówczesnym układzie sił. Jest to przede wszystkim problem nieznanego nam bliżej ważnego ośrodka tajemniczej i bardzo starej zachodniej cywilizacji, najstarszej znanej nam cywilizacji europejskiej, charakteryzującej się zadziwiająco wysokim stopniem rozwoju kulturalnego, a także coś jeszcze: to zagadka ludu, który stworzył tę cywilizację oraz tajemnica jej pochodzenia i początków, których nawet w przybliżeniu nie możemy do dziś umiejscowić w czasie. Tak jak platońskiej Atlantydy. I wiesz... coraz bardziej przychyliam się do teorii, że może chodzić o jedno i to samo...

Emil zamyślił się. Nie bardzo wiedział, jak ująć w słowa swoje odczucia i wątpliwości. Spróbował jednak, podczas gdy Marta nalała do kubków gorącej herbaty i z powrotem usiadła na swoim miejscu:

– Czy to nie jest cholernie niesprawiedliwe i w ogóle co najmniej dziwne, że mocarstwo dorównujące wysoko rozwiniętym krajom starożytnego Wschodu, na przykład Egiptowi albo starożytnej Grecji, a może nawet bardziej, zostało prawie zupełnie zapomniane? Jak to się mogło stać, do cholery, że tak potężne państwo znika bez śladu z powierzchni ziemi? I nie tylko – z historii! Nikt o tym nie uczy, mało kto porusza ten temat! A jeśli to nasza europejska kolebka, to, kurde, tym bardziej... – naprawdę był przejęty. Nigdy dotąd nie fascynował się aż do tego stopnia starożytnością, choć od dziecka go intrygowała. Nie miał jednak na to czasu. Tym razem poddał się sile opowieści – a może

jej szczególne aurze.

Marta naprawdę wyglądała na zadowoloną. Niczego chyba nie lubiła bardziej od zarażania innych swoimi pasjami. A jeśli dotyczyły one sztuki i kultury, to nie posiadała się ze szczęścia.

– Masz rację – powiedziała, z aprobatą kiwając głową. – Przyczyny są różne. Między innymi fakt, że dotąd nie odnaleziono ruin miasta. Bo nawet jeśli zlokalizowano je na zdjęciach satelitarnych, a niektórzy twierdzą, że także podwodnych, to namacalnie ich nie ma. Nie można ich zbadać, sklasyfikować, opisać. A na tym polega nauka. Wszystkie dotychczasowe próby namierzenia i odsłonięcia metropolii zakończyły się niepowodzeniem. Jak w takim razie do niej dotrzeć? Gdzie ona w ogóle jest? Nadal tego nie wiemy. Najprawdopodobniej pograżyła się w bagnach ujścia Gwadalkiwiru. A może czeka na dnie oceanu? Nie wiem, czy wiesz, że Ocean Atlantycki wdziera się na hiszpański brzeg z szybkością jednego metra na sto lat. Policz sobie: linia brzegowa mogła się zatem od tamtej epoki bardzo zmienić. Co do historii... też masz rację. Tyle że trudno uczyć i pisać o mieście-widmie... A, zapomniałabym o czymś! Wielu naukowców, i to poważnych, utożsamia Tartessos z mityczną krainą Feaków, opisaną w *Odysei* Homera. Nawet jeśli nie czytałeś, jak podejrzewam, to z pewnością oglądałeś kiedyś serial?

– Tak, przypominam sobie, świetny był. Ale to też było wieki temu...

– No, jakiś czas temu. Ale coś kojarzysz?

– No...

– Mam wydanie *Odysei*, przeczytasz sobie do poduszki o Feakach. Być może jest to właśnie literackie wspomnienie o Tartessos. Wskazuje na to nie tylko opis, zgodny z przekazami źródłowymi, ale przede wszystkim czynniki geograficzne, wynikające ze szczegółowej analizy tekstu Homera.

– No to byłby... to byłby pomnik! – podsumował Emil.

– Fakt. A co do odkrycia Tartessos... wierzę, że to się niedługo stanie. Wierzę w to, naprawdę! W końcu na przykład rewolucyjnych odkryć na Therze, czyli Santorynie, takiej wysepce w pobliżu Krety, dokonano w ostatnich latach. Archeologia jako nauka wciąż się rozwija,

korzysta z nowoczesnych technik, mamy satelity i badania podwodne, zobaczysz... Tartessos ciągle czeka na swojego odkrywcę, ale właśnie to jest w tej historii najbardziej fascynujące!

Jej zielone oczy zabłyśły i Emil po raz setny zrozumiał, za co ją kocha. I czemu potrafi darować jej nawet to, że od czasu do czasu mu się wymyka. Zrozumiał też, że wymyka się do swojego świata. I że jest na to tylko jeden sposób: przyłączyć się. W tej chwili był na to gotów. Całym sobą.

– I ten... hieroglif... no, ten znak z pieczęci, którą posługuje się morderca... żołnierz, wojownik? Bo przecież nie jest to postać kobieca.

– Może strażnik? – podsunęła Marta znacząco.

– O, to nawet ciekawa koncepcja – pomyślał przez chwilę. – No więc on też pochodzi z Tartessos? – upewnił się.

– Na to wygląda. – Kiwnęła głową, również sięgając po papierosa. Uchylił okno, Bolero wskoczył na parapet i zaczął węszyć. Z dworu przedostało się do kuchni ciepłe, choć wilgotne i pachnące skoszoną trawą powietrze. Po chwili zwyciężył je dym z papierosa, Emil jednak nawet tego nie poczuł: był daleko. Na wybrzeżu Andaluzji. Zastanawiał się tylko, co w tym samym miejscu robi psychol zabijający ludzi...



## Rozdział 9

Dość szybko znalazł blok, w którym mieszkał Pelczyk. Znajdował się na obrzeżach osiedla, nie nawet musiał zbyt długo błądzić. Zadzwoił do domofonu i choć się tego nie spodziewał, ktoś podniósł słuchawkę.

– Kto tam?

Lekko zachrypnięty męski głos. Czujny.

– Moje nazwisko Emil Żądło, dzień dobry. Chciałabym rozmawiać z panem Romanem Pelczykiem.

Przez sekundę słyszał tylko trzaski.

– Pan jest tym reporterem? – głos odezwał się ponownie.

– Tak, to ja.

– A o czym ch... chciałby pan rozmawiać?

– Wyjaśniłbym to panu o wiele lepiej, gdyby mnie pan wpuścił – odparł spokojnym tonem, starając się, by zabrzmiało to rzeczowo, pogodnie i rozsądnie.

Znów przez chwilę słuchał trzasków, facet widocznie zastanawiał się, co robić, aż w końcu rozległ się brzęczyk. Dziennikarz wszedł do środka, zanim rozmówca mógłby się ewentualnie rozmyślić. Rzeczoznawca mieszkał na pierwszym piętrze po lewej stronie. Emil nie musiał dzwonić do drzwi – uchyliły się, zanim się do nich zbliżył.

– Ma pan jakiś dowód tożsamości? No, że jest pan tym, zz...za kogo się pan podaje... – Usłyszał niepewne żądanie.

Wyjął swoją legitymację dziennikarską i podał ją gospodarzowi przez szparę w drzwiach. *Ostrożny gość* – pomyślał. Albo naprawdę

czegoś się boi. Pelczyka widąc dokument zadowolił, bo otworzył drzwi szerzej.

– Proszę wejść – zaprosił gościa do środka, oddając mu legitymację. – Czego szuka u mnie p... prasa?

Dopiero teraz Emil mógł go zobaczyć w całej okazałości. Był niskim, korpulentnym mężczyzną w średnim wieku, o nerwowych ruchach, łysiejącym, z resztą szpakowatych i wyraźnie przetłuszczonych włosów, głównie z tyłu głowy. Ubrany w workowate spodnie i – mimo ciepłego dnia – w brązowy sweter, sprawiał wrażenie człowieka, który od kilku dni spał w tym samym stroju. Do tego w irytujący sposób szurał po podłodze rozdeptanymi kapciami. Prowadząc dziennikarza do pokoju, dwukrotnie zdjął i przetarł okulary. Mieszkanie było zagracone, na podłodze stały kartony i walizki. Gołe ściany straszyły starymi zaciekami, niczym nieozdobione z wyjątkiem krzywo wiszącego drewnianego krucyfiks nad wejściem do pokoju dziennego, do którego właśnie weszli. Pelczyk wskazał dwa fotele przy niskim stoliku ze szklanym blatem, poplamionym czymś lepkiem. Emil nigdy nie był przesadnie przewrażliwiony na punkcie porządku, ale nawet on zdążył zauważyć, że wszędzie wokół jest po prostu niechlujnie; gruba warstwa kurzu pokrywała meble, a na stole stały brudne szklanki. Gospodarz zebrał je i powsadzał jedną w drugą, mamrocząc coś do siebie pod nosem.

– Wyjeżdżam, stąd ten bałagan. – Uznał za stosowne się wytłumaczyć. – Złapał mnie pan w ostatniej chwili. Chce pan może czegoś do picia? Kawy? Herbaty? Coś tam chyba z... znajdę jeszcze w kuchni...

Rzeczywiście, mówiąc, odrobinę nerwowo się zacinał, Marta miała rację. Emil raz jeszcze zerknął w popłochu na mętne od brudu i zapewne lepkie naczynia, po czym zaprotestował pospiesznie:

– Nie, nie! Bardzo dziękuję. Nie chcę panu sprawiać kłopotu. Mam tylko kilka pytań. – Z wahaniem usiadł w pierwszym z brzegu fotelu, dyskretnie przesuwając czubkiem palca leżącą tam parę skarpet.

Mężczyzna odstawił szklanki na stojącą z boku pomieszczenia pustą półkę z epoki zapewne gierkowskiej – dawniej zapewne na wysoki połysk – i z wyraźnym westchnieniem ulgi rozsiadł się w poplamionym

fotelu naprzeciwko swego gościa. Na stole pozostał tylko zamknięty laptop, którego pokrywa także nie grzeszyła zbytnią czystością.

– Wyprowadza się pan? – zapytał Emil.

– Nie, tylko w... wyjeżdżam. Na dłużej. Ale na ten czas chcę wynająć mieszkanie. Sam pan wie, lepiej, żeby nie stał pustostan.

– No tak. Jasne.

– Więc czego szuka u mnie prasa? Jest pan zainteresowany moją pracą? Dziełami sztuki dawnej? Ekspertyzą?

Dziennikarz zawahał się.

– To też – odparł po namyśle. – To znaczy, pana pracą. Ale, prawdę mówiąc, przyszedłem tu dziś głównie z innego powodu. Powiem panu szczerze, nie chcę niczego przed panem ukrywać. Współpracuję z policją w pewnej sprawie, w której przewija się również pańskie nazwisko...

Mały człowieczek wyraźnie zbladł, wykonał nawet gwałtowny ruch, jakby chciał zerwać się z fotela. Pozostał jednak na miejscu.

– Pan jest z p... policji?!

– Nie. – Emil pokręcił głową. – Skąd. Proszę się nie obawiać, chcę pomóc.

Pelczyk wyjął z kieszeni staromodną kraciastą chustkę do nosa – zmiętą i z pewnością od dawna wielokrotnie już używaną – i wytarł w nią spocone czoło. Następnie ponownie zdjął okulary i również je przetarł. Emil wolał nie wnikać, co wskutek tej czynności mogło pozostać na szklach. Wystarczył mu już odór niepranych skarpet, który przez cały czas czuł, choć może była to tylko sugestia. Z niesmakiem odwrócił wzrok, udając, że podziwia widok za balkonowymi drzwiami. Mogło to nawet wyglądać wiarygodnie, ponieważ za oknami widać było zieleń. Osiedle się tam kończyło.

– Wiem, o co chodzi! – wykrzyknął tryumfalnie Pelczyk. – Ale to jedna wielka b... bzdura! Policja się myli, źle trafiła! Jak zwykle szukają nie tam, gdzie trzeba, niepokoją tylko porządnych ludzi! Ja nic z tego nie rozumiem! Jestem zw... zwyczajnym człowiekiem, nie mam nic do ukrycia! Owszem, znałem Zdanowskiego i Bernackiego. Cóż w tym dziwnego, skoro byliśmy kolegami, że tak powiem, p... po fachu. Od dawna! My się tu wszyscy znamy. Mnóstwo razy ze sobą

współpracowaliśmy! To chyba nic nielegalnego! – denerwował się coraz bardziej, dłonie zaczęły mu się pocić, wytarł je więc o spodnie. – Czego jeszcze ode mnie ch... chcecie?!

– Panie Romanie, proszę się nie stresować – uspokoił go Emil. – Nikt przecież o nic pana nie oskarża. Ale przecież pan wie, że Zdanowski...

– Nie żyje! Wiem! Został zamordowany, to też wiem! Pewnie zabił go jakiś przypadkowy bandyta, teraz wszędzie takich pełno... Strach wyjść wieczorem na u... ulicę... Ale co ja mam z tym wspólnego?!

Wyjął z kieszeni pomietą paczkę papierosów, wyjął jednego i zapalił, łamiąc przy tej okazji kilka zapalek, zanim Emil wyciągnął zapalniczkę. Po chwili Pelczyk zreflektował się i zapytał:

– Pan pali? – podsuwając paczkę w stronę gościa.

– Owszem, ale, jeśli można, tylko swoje. – Żądło również zapalił. Rozejrzał się, lecz nigdzie nie było widać popielniczki.

– Och – przypomniał sobie pan Roman. – Gdzieś była... zz... zaraz... no nie ma... ale możemy strzepywać tutaj! – Sięgnął do tyłu po jedną z brudnych szklanek. Dziennikarz z rezygnacją pokiwał głową.

– Pewnie...

– No więc ja nie mam nic wspólnego z z... zabójstwem Mietka, nawet o nim nn... nie wiedziałem, dopiero w gazecie przeczytałem, a jeszcze się nie domyśliłem, że to o niego chodzi! To dopiero ci policjanci mi powiedzieli. W szoku byłem! Wierzysz pan? W szoku!

– Wierzę, w końcu to był pana przyjaciel.

Człowieczek podrapał się w łysiejącą głowę.

– Przyjaciel i nie. Ale znaliśmy się długie lata. Szok! Po prostu szok! Tak marnie skończyć...

– A o Bernackim pan wie?

– O Marku?

Żądło nie odpowiedział, przyglądając mu się tylko. Pytanie było retoryczne, naukowiec chciał zapewne zyskać tylko na czasie.

– No wiem, że gdzieś przepadł! – wysapał w końcu. – Ale to już dawno było! Kilka miesięcy temu! Może wyjechał albo co? Skąd mam wiedzieć?

– Tak samo, jak pan teraz wyjeżdża? A może w to samo miejsce?

– Co pan! Co pan sugeruje...? – obruszył się rzeczoznawca. – Ja nic więcej nie wiem! Ja wyjeżdżam do pracy! Za granicę! Nie mam pojęcia, dokąd mógł wyjechać Bernacki! Nie spowiadał mi się!

– A może wcale nie wyjechał? Może spotkał go taki sam los jak Zdanowskiego?

Tym razem gospodarz zerwał się z miejsca i zaczął krążyć nerwowo po pokoju.

– Nie wiem! Nie wiem! – powtarzał łamiącym się głosem. – D... dajcie mi spokój! Wyjadę stąd i przynajmniej będę miał spokój. Mam już zarezerwowane bilety...

– Gdzie pan wyjeżdża, panie Romanie? Może do Hiszpanii?

– A to już moja sprawa! Nie muszę się nikomu spowiadać! N... nie jestem o nic podejrzany! Daleko wyjeżdżam. Słyszysz pan? Jak najdalej!

– Czego pan się tak boi? Proszę mi powiedzieć... – zaryzykował Emil – czy ma to coś wspólnego z pańską pracą? Policja może pana ochronić. I to lepiej w kraju niż za granicą. W co pan się wpakował?

Pelczyka zamurowało. Wpatrywał się z dziennikarza wybałuszonymi oczami, dysząc ciężko. W pewnym momencie Emil przestraszył się nawet, że może dostał zawału.

– Panie Romanie? Dobrze pan się czuje?

– Proszę stąd wyjść! – wykrzyknął naukowiec. – Nie mam o... ochoty dłużej z panem rozmawiać!

– Chwileczkę...

W tym momencie rozdzwoniła się komórka Emila. Zerknął na wyświetlacz: Zebra.

– Oddzwonię do ciebie za chwilę – powiedział szybko do słuchawki. – Za pięć minut. Okej?

Rozłączył się i wstał, gasząc papierosa w szklance z resztkami jakiegoś brunatnego płynu na dnie.

– Cóż, dziękuję za rozmowę. Już sobie idę. Chciałbym tylko, żeby pan na siebie uważał, panie doktorze. Nie wiem, czy ten wyjazd to najlepszy pomysł. Lepiej by było, gdyby zgłosił się pan na policję. A przynajmniej... – Położył na stole swoją wizytówkę. – Proszę do mnie zadzwonić, gdyby pan zmienił zdanie. Do widzenia.

– Żegnam! Żegnam! Z nikim nie będę się kontaktował! Mam

sww... swoje plany! Dajcie mi wszyscy śś... święty spokój! – Pelczyk niemal wypchnął go do wyjścia. Wizytówkę schował jednak sobie do kieszeni. Razem ze zużytą chustką i paczką „Mocnych”.

– Czy coś panu mówi nazwa: Tartessos? – Dziennikarz zatrzymał się w progu, jakby nagle sobie o czymś przypomniał.

Nie spodziewał się jednak aż takiej reakcji. Naukowiec pchnął go z całej siły i bez słowa zatrzęsł za nim ciężkie antywłamaniowe drzwi. Huk rozległ się zapewne po całej klatce schodowej. *Aż dziw, że nikt nie wyjrzał. Typowe w tych blokowiskach – pomyślał Emil. Nikogo nic nie obchodzi. Nikt nic nie widzi, nie słyszy. Po co się mieszać w cudze sprawy.*

Usiadł w samochodzie, uchylił okna i zapalił, by zagłuszyć w sobie nieprzyjemne wspomnienie panującego w mieszkaniu rzeczoznawcy zaduchu, po czym oddzwonił do Zebry. Komisarz czekał widocznie na jego telefon, ponieważ odebrał już po pierwszym sygnale.

– Nic takiego! Chciałem wam tylko podziękować za te materiały, które mi podesłaliście. O tym starożytnym państwie w Hiszpanii, Tarcośtam. Mieliście trochę skanowania... Próbowałem to czytać, ale nie ogarniam, wysłałem do tych naszych ekspertów, niech dalej kombinują, jak to wszystko powiązać. Jedno jest pewne, ta Hiszpania ciągle nam się płacze w tej sprawie! – oznajmił Marek. – Cholerni torreadorzy...

Emil się roześmiał.

– W tamtych czasach raczej nie było tam torreadorów. Choć święte byki podobno były.

– Może nie było, ale teraz są – upierał się Zebra. – W każdym razie to co najmniej zastanawiające z tą Hiszpanią. To nie może być przypadek, do cholery, hiszpańskie hieroglify, hiszpański inwestor od Zdanowskiego, o właśnie... muszę jeszcze to sprawdzić. No nic, jeszcze raz dzięki za pomoc. Gadałeś już z tym Pelczykiem?

– Właśnie od niego wyszedłem. – Emil wzdrygnął się na samo wspomnienie. Znów poczuł smród brudnych skarpetek. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek się go pozbędzie, czy już na zawsze zapisał się w jego

pamięci.

– Coś ci się udało wskórać? Męczy mnie ten facet. Żeby nam tylko nie zwał...

– On się chyba naprawdę gdzieś wybiera. Jest spakowany, mieszkanie ogołocone. Zresztą powtarzał to raz po raz.

– Namówiłeś go, żeby się zgłosił do nas?

– Próbowałem, ale to histeryk! – Parsknął Żądło. – Wrzeszczał, szalał, bałem się, że mi tam na zawał zejdzie. W końcu mnie wywalił, mówię serio, dosłownie wypchnął mnie za drzwi, nie mam pojęcia, skąd tyle siły w takim kurduplu. Miałeś rację, on się panicznie czegoś boi. Ale zostawiłem mu wizytówkę. Zobaczymy, może się złamie.

– Twoim zdaniem ma coś na sumieniu?

– Moim zdaniem ma – Emil zastanowił się. – Ale nie morderstwo. Na to jest za słaby. Ale za to zdecydowanie może być w coś zamieszany. Nie możecie nic zrobić? Warto byłoby mieć na niego oko...

– Przecież nie wyślę ludzi, żeby śledzili każdy jego krok! – zachnął się komisarz. – Nawet nie mam do tego podstaw. Formalnie jest czysty. Prokurator nie da mi na to zgody, nie mamy środków! Nie, to nie przejdzie.

– To może daj choć cynk na lotnisko, może chce stąd startować. Wspominał, że ma zarezerwowane bilety.

– Na samolot?

– Nie wiem. Ale to chyba najbardziej prawdopodobne.

– Okej – Zebra westchnął. – Sprawdźmy. Kończę, bo mam jeszcze trochę papierkowej roboty, a wiesz, jak to kocham. Gdyby się skontaktował...

– Jasne. Wiem co robić.

Rozłączył się i niemal w tej samej chwili telefon rozdzwonił się ponownie. Na wyświetlaczu ukazał się numer redakcyjnej komórki.

– Halo?

– Emil, sorry, jeśli w czymś przeszkodziłam – odezwała się Ewa. – Ale chciałam ci tylko powiedzieć, że właśnie był tu Kleczko. Osobiście!

– No i?

– Powiedziała, jak kazałeś i chyba dał się nabrać! Będzie grzecznie czekał na info. Nawet kawą go poczęstowałam, żeby uśpić

jego czujność – pochwaliła się. – Niczego do niej nie dosypałam! Nie miałam pod ręką laksigenu...

Roześmiała się radośnie z własnego dowcipu.

– Dyplomatka z ciebie. – Uśmiechnął się pod nosem. – Świetnie się spisałaś, dzięki.

Odłożył telefon do schowka i rzucił jeszcze okiem na blok Pelczyka. Czuł, że będzie musiał tu wrócić, i to w miarę szybko. Dopóki naukowiec jeszcze tu jest. Zastanawiał się, czy tamten obserwował go z okna, ale po chwili wzruszył ramionami: a niechby, co za różnica. Zrobiło mu się nagle żal faceta – choć był taki odpychający. A może właśnie dlatego.

Ruszył w kierunku obwodnicy, prosto do domu. Dziś nie musiał odbierać Marty z pracy. Wracała z koleżanką.

Kiedy wszedł do mieszkania, od razu poczuł miłe zapachy dochodzące z kuchni oraz usłyszał stukanie naczyń. Znak, że Marta już wróciła, mało tego – coś pichciła.

– Już jesteś, skarbie? – zawołała wesoło, wyglądając na korytarz.

– Jestem. – Podeszedł i objął ją na przywitanie. – A ty też tak wcześnie?

Bolero wylizywał swoją miskę na parapecie. Jednak na jego widok nie wytrzymał, oderwał się od resztek jedzenia i zeskoczył, by otrzeć się o jego nogi.

– Udało nam się skończyć dziś o normalnej porze. Cud, co? Siadaj, zaraz będzie coś w rodzaju obiadu – zakomunikowała, stawiając na stół talerze.

– A co będzie? – Z lubością wciągnął nosem apetyczny aromat.

– Kartofelki z kefirem – odparła z uśmiechem. – Młode! A do tego fasolka szparagowa. Też młoda.

– Jajeczko?

– Bez jajeczka.

– Też dobrze – westchnął.

Zabrali się do jedzenia, rozmawiając o minionym dniu. Emil opowiedział Marcie o wizycie u Pelczyka i telefonie od Zebry.



– No to teraz widzisz, dlaczego nie mogłam znieść tego faceta. – Pokiwała głową. – Jest po prostu koszmarny. I nie łudźcie się, że coś od niego wydobędziecie. W życiu nie spotkałam równie upartej gadziny!

– Dokąd on się może wybierać?

– Pojęcia nie mam. Wszędzie. On po całym świecie jeździ i sprzedaje te swoje ekspertyzy. Mówiłam ci, że jest jednym z najlepszych specjalistów. Cenionym.

– Ale tym razem mam wrażenie, że on raczej... ucieka.

Wzruszyła ramionami.

– To nie dajcie mu uciec.

– Łatwo powiedzieć. – Odsunął pusty talerz i wstał, by nastawić wodę na herbatę. – Zebra nie ma pretekstu, by go zatrzymać. Cholera, pluję sobie w brodę, że nie wypytałem go od razu, nad czym ostatnio pracował...

– Przecież nie dał ci dojść do słowa! To zresztą u niego normalne.

– Zakrzyczał mnie. Ale i tak go jeszcze dopadnę. Może nawet jutro. Skoro chce wynająć mieszkanie, to znaczy, że trochę mu to zajmie.

– Chyba że ma już kogoś upatrzonego.

– Możliwe, ale dopiero się pakował. Bajzel miał w tym mieszkaniu, że nie pytaj... Będę go jeszcze łapał. Może się uda.

– Próbuj. A ja mam wiadomość! – oznajmiła z nowym przychyleniem energii. – Dostałam pięknie opracowany materiał od tego mojego eksperta. Palce lizać!

– Tego od sekt i masonów?

– Można to i tak ująć – roześmiała się.

– I jest tam coś ciekawego?

– Wszystko jest ciekawe! A jedna rzecz... nawet bardzo. Sam ocenisz. Zaraz ci wszystko streszczę.

Emil zebrał brudne naczynia i zaniósł je do zlewu. Marta odsunęła go delikatnie, przypominając, że dziś jej kolej na zmywanie. Poszedł więc do pokoju i w oczekiwaniu, aż do niego dołączy, zajął się porządkiem swoich notatek w komputerze. Przez cały czas rozmyślał, o co jeszcze powinien zapytać Pelczyka. Póki czas. W końcu postanowił, że spróbuje złapać go juto z rana, jak najwcześniej. I tym razem nie da się spławić.

– Życie intelektualne w Gdańsku w okresie międzywojennym nie odbiegało istotnie od ogólnego klimatu epoki. Wszędzie w owym czasie nauka mieszała się z paranauką, wzrastało zainteresowanie okultyzmem, magią, starożytnymi cywilizacjami, wywoływaniem duchów. Być może ludzie czuli nadciągającą katastrofę, pewien czas przejściowy, i w ten sposób szukali sobie dróg ucieczki od rzeczywistości. Przeczucie końca pewnej epoki – znane zjawisko w kulturze. Fakt, że do tych trendów znacznie przyczynili się naziści, owładnięci obsesją udokumentowania wyższości swojej „aryjskiej” rasy. Poszukiwali więc źródeł mających tę tezę udowodnić. Sięgali w tym celu nie tylko do historii starożytnej, dawnych kultur, ale także właśnie do ezoteryzmu, okultyzmu i spirytyzmu. Nie wszyscy wiedzą o tym aspekcie historii nazizmu. Z jednej strony romantycy, z drugiej – ludobójcy. Znasz pewnie filmy przygodowe, w których hitlerowcy poszukiwali słynnych miejsc lub tajemniczych artefaktów przeszłości: Arki Przymierza, Ultima Thule, Atlantydy, Szambali, organizowali ekspedycje do Tybetu, kontaktowali się zarówno z jasnowidzami, jak i archeologami. To nie tylko wymysły. Dziś trudno oddzielić fakty od fikcji, domysłów i spekulacji, jednak prawdą jest, że takie poszukiwania rzeczywiście były. Te zainteresowania nie dotyczyły wyłącznie nazistów. Całe dwudziestolecie międzywojenne było nimi niemal wręcz opętane, panował taki rodzaj mody: wróżki, uzdrowiciele i inni szarlatani mieli wtedy raj na ziemi. Rozkwitały stare i nowe loże masońskie. Tak samo było w Polsce, w całej Europie, nie inaczej w Wolnym Mieście Gdańsku. Historia masonerii europejskiej to przede wszystkim osiemnasty, dziewiętnasty i dwudziesty wiek. Loże masońskie, przynajmniej w teorii, były organizacjami, których celem nadrzędnym była pomoc ludziom ubogim i słabym, czyli, krótko mówiąc, działalność społeczna, choć członkiem loży nie mógł zostać pierwszy lepszy. Zazwyczaj byli to ludzie o wysokim statusie społecznym. Uogólniając, istniały dwa rodzaje łóż: typu szkockiego oraz angielskiego. W Gdańsku ruch wolnomularski rozwinął się mniej więcej w połowie osiemnastego wieku, zainicjowany przez loże staropruskie. Warunkiem dostania się do takiej loży było

wprowadzenie przez członka loży, a także wyznawanie wiary chrześcijańskiej, choć masoni byli zazwyczaj raczej wolnomyślicielami. Przyjęcie do loży wiązało się z pewnymi rytuałami, o których nie możemy jednak nic pewnego powiedzieć. Nowe loże powstawały dość masowo. Każda miała swoją odrębną nazwę, a w samym tylko Gdańsku było ich już wkrótce ponad czterdzieści. Dla przykładu: „Eugenia pod Ukoronowanym Lwem”, „Jedność” czy choćby legendarna loża „Pod Czerwonym Krzyżem”. To były te najśłynniejsze. Naprawdę realizowały one cele społeczne, pod ich egidą powstawały liczne przytułki i ochronki. Jeśli chodzi o pochodzenie ruchu, wolnomularze wywodzą się podobno od templariuszy, różokrzyżowców oraz średniowiecznych stowarzyszeń wolnych mularzy, czyli mistrzów murarskich – wtajemniczonych budowniczych średniowiecznych katedr. Tak przynajmniej mówi tradycja. Oprócz funkcji charytatywnych masoni zajmowali się także polityką, współtworzyli tożsamość społeczną i narodową. Dlatego często wchodzili w kolizję z obowiązującym prawem, stawali się solą w oku rządzących, którzy coraz częściej zakazywali im działalności. Również dla kościoła stanowili niebezpieczną konkurencję. Z tego powodu funkcjonowali z czasem głównie „w podziemiu”. Koniec gdańskich łóż był gorzki: hitlerowskie władze nakazały zamknąć loże i zaprzestać jakiegokolwiek działalności. Nie mogły istnieć w tak podporządkowanym i kontrolowanym społeczeństwie.

Wracając do sedna, znamy przynajmniej niektóre siedziby gdańskich łóż. Na przykład kamienica przy ulicy Ogarnej, która przetrwała do dziś. Mieści się w niej obecnie Biblioteka Brytyjska Uniwersytetu Gdańskiego, a na górze mieszkania komunalne. Dawniej miał tam swą siedzibę między innymi hotel o nazwie „Germania”. Na początku dwudziestego wieku jego właściciel wydzierżawił go loży masońskiej „Gedania No. 3”. Należała ona do Niezależnego Zakonu Dziwnych Towarzyszy Prowincji Zachodniopruskiej, a założyli ją pod koniec dziewiętnastego wieku kupcy pochodzenia żydowskiego Emil Grundmann, Karl Steinbrück, Adolph Zutrauen i Simon Anker. Dla potrzeb loży dokonano specjalnej adaptacji pomieszczeń hotelu. Loża korzystała z kamienicy przy Ogarnej prawdopodobnie do początku lat

dwudziestych, z przerwą na czas pierwszej wojny światowej. Później działalność loży została wznowiona, już w nowej siedzibie przy ulicy Piwnej. Dla nas jest to ważne z jednego powodu: otóż z tej właśnie loży wyodrębniła się w latach dwudziestych „Nasza Pani”. Nie wiadomo dokładnie, jak to naprawdę było. Lożę założyli żydowscy kupcy, potem jednak należeli do niej ludzie różnej narodowości, w większości nie-Niemcy. Część z nich zajmowała się prawdopodobnie naukami tajnymi – jak wiadomo, bardzo w tym czasie popularnymi. I to zdaje się z tej grupy wyłoniła się „nasza” loża, a jak niektórzy twierdzą – coś więcej niż loża. Sami uważali się za świątynię. Lecz wciąż nie znamy jej nowej siedziby. Nie zachowała się żadna wskazówka, dokąd się przenieśli. Z pewnością nie było ich już przy Piwnej. Trzymali wszystko w wielkiej tajemnicy, nie zachowały się prawie żadne dokumenty. Według mojego eksperta „Nasza Pani” liczyła sobie, przynajmniej na początku, zaledwie kilku członków, bardzo wąskie grono „wtajemniczonych”, a na jej czele stał pewien bogaty gdański armator pochodzenia szkockiego – choć posiadał też prawdopodobnie jakieś korzenie żydowskie po matce – Karl David Jonston, człowiek o wybitnej ponoć inteligencji, wykształcony, o licznych talentach, obyty w świecie, a do tego syn bliskiego przyjaciela jednego z najśłynniejszych archeologów wszech czasów – Heinricha Schliemanna. Do osoby armatora jeszcze dojdziemy. Wróćmy do członków loży, inaczej „Strażników Naszej Pani”. Co ich połączyło? Tego też nie wiadomo.

Nie wiemy też, kim była owa Pani. Naukowcy podejrzewają, że mogła nią być Matka Jezusa lub też Maria Magdalena, jego domniemana małżonka, według niektórych chrześcijańskie wcielenie Wielkiej Bogini-Matki. Ale to tylko spekulacje. Jak by nie było, z całą pewnością działalność loży, szczególnie przez osobę jej Wielkiego Mistrza, związana była z naukami tajnymi, lecz także z nauką w ogóle. Jonston był ściśle powiązany nie tylko z ówczesnym biznesem, lecz także ze światkiem naukowym, między innymi jako długoletni działacz Gdańskiego Towarzystwa Przyrodniczego, w zakres którego wchodziła wówczas także archeologia. Nieprzypadkowo przez większość swego istnienia mieściło się ono w murach obecnego Muzeum Archeologicznego, a budynek nazywano w tamtych czasach Domem

Towarzystwa Przyrodniczego. Gdańskie Towarzystwo Przyrodnicze to jedno z najstarszych towarzystw naukowych w środkowej Europie. Zostało założone w roku tysiąc siedemset czterdziestym drugim i działało nieprzerwanie aż do tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego. Prowadziło szeroko pojętą działalność oświatową, medyczną, wydawniczą, naukową i kulturalną, założyło własną bibliotekę, której część zbiorów przetrwała. Do Towarzystwa należało wielu wybitnych naukowców, między innymi znany bibliofil, patrycjusz gdański Jan Uphagen, a także – przez jakiś czas – Heinrich Schliemman, kiedy to w tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim roku wyodrębniono z niego sekcję antropologii i etnografii, kierowaną przez Abrahama Lissauera. Nie wiem, czy się orientujesz, ale Schliemman to nie tylko odkrywca legendarnej Troi – którą odkopywał dosłownie z Homerem w rękę – ale także Myken i Tirynsu. Arcyważna persona. Odwiedził Gdańsk w sierpniu tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego roku i z całą pewnością gościł wówczas w domu Jonstona-seniora.

– Tego armatora od łoży? – Emilowi wreszcie udało się dojść do głosu. Marta chyba wpadła w trans, uznał. Choć jej wywód go zafascynował, przez moment poczuł się jednak odrobinę zagubiony.

– Jego ojca, gdańskiego kupca. Karl był wtedy młodym chłopcem.

– A gdzie oni mieszkali? – zauważył przytomnie. – Może to tam miała potem siedzibę ta łoża?

Marta zakłopotana się i szybko sprawdziła swoje notatki.

– A tego nie wiem – przyznała. – Magazyny mieli w porcie, w mieście kamienicę przeznaczoną na biura. Ale raczej tam nie mieszkali... Masz rację. Tej informacji zabrakło. Dowiem się.

– Czyli, wracając do czasów „Naszej Pani”, nic dziwnego, że młodszy Jonston zainteresował się archeologią.

– Interesował się podobno już od wczesnej młodości, nawet jako dziecko był z ojcem gościnnie na wykopaliskach Schliemmana w Turcji. Potem, już jako dorosły człowiek, bogacz, finansował nawet badania archeologiczne i wystawy starożytności. Podobno zgromadził też własną kolekcję, skonfiskowaną potem bezpowrotnie przez Niemców. We współpracy z Towarzystwem Przyrodniczym zdołał się jednak przyczynić także do wzbogacenia zbiorów obecnego Muzeum

Archeologicznego w Gdańsku. Wszystko go interesowało. Ale najbardziej... Atlantyda.

– To już ustaliliśmy. Ale Atlantyda czy konkretnie Tartessos? – znowu się wtrącił, by nie zgubić wątku.

Marta uśmiechnęła się.

– Jedno i drugie – odparła. – Był jednym z pierwszych, którzy je utożsamiali. Prawdopodobnie pod wpływem Schultena, tego archeologa, który w latach dwudziestych poszukiwał Tartessos w Andaluzji. Pamiętasz?

Pokiwał głową, choć w rzeczywistości te wszystkie nazwiska nieco mu się myliły.

– Przypominam sobie.

– To dobrze. Jonston korespondował ze Schultenem oraz jego współpracownikami. Na przykład z Eleną Whishaw, brytyjską archeolog, która napisała w dwudziestym ósmym roku świetną książkę o „hiszpańskiej Atlantydzie”, a także z jego asystentami. Zachowało się całkiem bogate archiwum jego notatek i korespondencji, co prawda głównie zawodowej, nie prywatnej. Wśród nich znajduje się kilka ciekawych listów i telegramów z Hiszpanii. Niektóre brzmią bardzo tajemniczo, jakby były pisane jakimś szyfrem. Mowa w nich o zagadkowym przedmiocie, określanym jako „obiekt”. Najpierw listownie odbywały się targi o „obiekt” i cenę za jego dostarczenie. Cena była słona. Następnie informacja, że „obiekt” został zabezpieczony, i potem jeszcze jeden raport o odbiorze „obiektu”.

– Co to mogło być? – Emilowi zabłyśły oczy.

– Wszystko – odpowiedziała, rozkładając ręce w geście bezradności.

– Jak to wszystko? – Poczul rozczarowanie. – Niby co? Opium? Armata? Beczka z andaluzyjskim winem?

Wzruszyła ramionami.

– Dokładnie. Wszystko. To mógł być praktycznie każdy towar.

– A ten list? – Podsunął z nadzieją. – Ten, w którym się targowali? Nie ma tam żadnych danych?

– To odpis listu, który Jonston pisał do kogoś, nie wymieniając adresata ani z imienia, ani z nazwiska, ani nawet z funkcji. Traktował

tego kogoś raczej z góry. Ale kończmy na dziś, bo padnę. Nie dam rady odpowiedzieć już na żadne pytanie, mózg mi się zlasował. Zrobisz herbaty? – zapytała z nadzieją.

## Rozdział 10

Jeszcze tego wieczoru dwukrotnie próbował dodzwonić się do Pelczyka, ten jednak za pierwszym razem odrzucił połączenie, a za drugim miał już wyłączony telefon. Emil w końcu zrezygnował, dochodząc do wniosku, że ściganie faceta na odległość jest najwyraźniej bez sensu. Postanowił, że nazajutrz znów do niego pojedzie: może z zaskoczenia naukowiec zgodzi się jeszcze raz porozmawiać. Potem przestał już o tym rozmyślać, bo Marta wyszła z łazienki z mokrymi włosami i w samej skąpej bieliźnie, skupił się więc na kontemplowaniu jej wciąż jeszcze młodzieńczego ciała. Za chwilę zapomniał o całym świecie, po czym z kolei zapadł w niespokojny sen, z którego wyrwał go telefon. Odebrał zaspany, nie patrząc na wyświetlacz. Bolero sapnął nieprzychylnie. Po drugiej stronie linii dało się słyszeć posapywanie, po chwili odezwał się schrypnięty głos.

– Czy p... pan Żądło?

– Tak, słucham...?

– Ja...

Ocknął się momentalnie. Rozpoznał ten głos, a może raczej intuicja odpowiedziała mu, kto do niego dzwoni przed szóstą rano. Marta, mrużąc coś niezrozumiale, odwróciła się do niego plecami. Miała jeszcze mniej więcej godzinę snu. Nie chcąc jej niepotrzebnie rozbudzić, wyskoczył z łóżka i kontynuował rozmowę dopiero za drzwiami sypialni.

– Panie Romanie, to pan? Co się stało? Proszę mówić!



- To ja...
- Pan Pelczyk, tak?
- Tak.
- Słucham, proszę mówić.
- Pan mówił, żebym z... zadzwonił... Ja...

I cisza. Sapanie w tle.

- Tak? Panie Romanie, jest pan tam?
- Mógłby pan do mnie p... przyjechać? Coś bym powiedział...

bo...

– Panie Romanie, czy coś się stało? – Emil nie wiedział, jak go nakłonić, by wreszcie wyartykułował, o co mu chodzi.

Wahanie.

- Nie... nie... ale...
- Słucham, proszę mówić bez obaw.

Przemknęło mu przez myśl, że rzeczoznawca jest po prostu pijany. Ale czy to możliwe, że od samego rana? *Chyba że nie wytrzeźwiał od wieczora* – pomyślał.

- Przyjedzie p... pan?
- Oczywiście. Można około jedenastej?
- Będę w d... domu.
- Doskonale. Może nawet uda mi się wcześniej, więc będę wdzięczny. To do zobaczenia. Czy...

Ale Pelczyk już się rozłączył. Żądło chciał zapytać, czy może przyjechać w towarzystwie komisarza policji. Po fakcie doszedł jednak do wniosku, że lepiej się stało. Taką propozycją mógłby tylko tego człowieka spłoszyć. Przez moment zastanawiał się, co teraz robić: wracać do łóżka czy raczej zacząć już szykować śniadanie. Zajrzał do sypialni – Marta jeszcze spała. Zdecydował, że położy się jeszcze na chwilę i wstanie razem z nią. Włączył tylko ekspres, oboje będą potrzebowali dużej ilości mocnej kawy, by jakoś przetrwać ten dzień. Po śniadaniu zawiezie ją do muzeum, a wracając, zajrzy jeszcze do redakcji. Może dowie się czegoś więcej o wizycie Kleczki. Stamtąd – Jańskową Doliną w górę – będzie miał już blisko do Pelczyka...

*Niepewnie podchodzę pod blok, bo tak to się chyba zwie. Blok. Jak*

w obozie pracy. Źle tu się czuję, pośród tych gigantycznych baraków z betonu, pisków dzieciarni, wielu poziomów ulic oraz uliczek – istny labirynt z koszmarne go snu. To tutaj. Patrzę, dookoła nie widzę żywego ducha, choć zewsząd dochodzą jakieś dźwięki. Jeszcze raz się rozglądam. Kto to widział, tyle domów, a tak mało ludzi. Zapewne o tej godzinie pracują, domyślam się. Oni wszyscy przecież pracują, siedzą na okrągło w swoich biurach, wymyślając nikomu niepotrzebne cuda, by budować kolejne betonowe obozy. Tam w oddali ganiają się mali chłopcy. Jeszcze dalej chodnikiem idzie kobieta z siatką i psem na uwięzi. Kto to widział, prowadzić psy na sznurku. Nikt na mnie nie patrzy. Tu każdy jest bez twarzy. Na mnie zresztą nikt nigdy nie zwraca uwagi. Dla nich nie istnieję. Ale nic to – dobrze być niewidzialnym. Nakładam rękawice, ręce chowam do kieszeni. Znajduję wejście, chwytam za klamkę, lecz ona nie puszcza. Nie wiem co robić. Denerwuję się, bo czas mnie goni, ponagla. Przeklęty czas. Za wolno, zbyt długo zwlekam. Gdy już mam użyć sposobu, drzwi otwierają się z drugiej strony: ktoś wypada w biegu, kolejne dziecko. Oczywiście nawet na mnie nie spojrzę, leci przed siebie z rozwianym włosiem. Chwytam klamkę w locie, zanim drzwi się ponownie zatrzasną. Jestem na zimnej klatce schodowej. Pierwsze piętro. Wiem, gdzie się udać, zapraszano mnie. Ustawiam się tak, żeby nie widać mnie było przez wizjer, który szczęśliwie zauważam. Naciskam dzwonek. Raz. Drugi. Nic nie słyhać. Cisza. Naciskam dzwonek po raz trzeci, trzymam długo, nie puszczam. Dobiega mnie wreszcie jakieś szuranie. Odrywam palec od urządzenia.

– To pan, panie Żądło? – Słyszę.

Chrząkam potwierdzająco, usuwając się jeszcze bardziej w bok, przy samej ścianie. Czuję, że tamten waha się, jednak po chwili drzwi uchylają się. Teraz już wszystko jest proste. Szybki rzut oka za siebie – pusto. Całym ciałem pcham drzwi, które otwierają się do środka. On klnie, być może został nimi uderzony, są ciężkie. To nic. Teraz już nic nie ma znaczenia, tylko zrobić swoje i wyjść. Rozpłynąć się pośród betonowych baraków. Niewidzialnym, jak zawsze. Wpadam za nim do środka, drzwi zatraskują, on zbiera się oszołomiony z podłogi. Zanim otworzy usta, ja...

Emil zakręcił nerwowo i przyspieszył, nie zatrzymując się nawet koło redakcji. Może w drodze powrotnej – zdecydował. Teraz wołał złapać Pelczyka, zanim się facet rozmyśli. Nie dzwonił przecież o świcie bez powodu. Minęła dwunasta. Oczywiście zaspali, nie pomógł alarm nastawiony w telefonie; najwyraźniej któreś z nich zdołało wyłączyć go przez sen, bo żadne potem tej czynności nie pamiętało. Nie zdążyli nawet zjeść śniadania, Marta histeryzowała, ponieważ za parę dni miała wracać na urlop, tymczasem inwentaryzacja nie została jeszcze zakończona – wypili tylko niezbyt już ciepłą kawę i od razu wyjechali. Teraz niecierpliwie mijał malownicze secesyjne wille i neogotyckie kamienice, a droga dłużyla mu się jak nigdy. Gdy wreszcie wyjechał z zacienionej drzewami alei i znalazł się na terenie osiedla Morena, rzucił okiem na samochodowy czasomierz – dwunasta trzydzieści. Cholera. Zaparkował jak najbliżej bloku Pelczyka. Domofon nie odpowiadał, zadzwonił więc do najbliższego sąsiada, następnie do dwóch kolejnych, pod przypadkowo wybrane numery. Żaden się nie odezwał. Może urządzenie się zepsuło, pomyślał. Nie przypuszczał, żeby Pelczyk zapomniał o spotkaniu i gdzieś wyszedł, pomimo spóźnienia. Za bardzo mu zależało. Z pewnością najpierw by zadzwonił. To mu przypomniało, że sam może to zrobić, komórka rzeczoznawcy jednak także nie odpowiadała. Na szczęście po paru zaledwie minutach bezskutecznego wyczekiwania nadeszła jakaś starsza kobieta z zakupami. Przepuścił ją, przytrzymując drzwi, po czym wsunął się za nią. Nie zapytała o nic, szła na wyższe piętro. Emil tylko na pierwsze. Przycisnął przycisk dzwonka. Nic. Zadzwonił po raz kolejny. Nadal cisza. Co jest grane...? Zaklął pod nosem, wściekły zarówno na rzeczoznawcę, jak i na siebie. Pewnie dziwak obraził się i wyszedł, albo w ogóle nie zamierza mu otworzyć. Jeszcze raz zadzwonił i zastukał, po czym, zdesperowany, odruchowo nacisnął na klamkę. Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że drzwi są otwarte.

Już w tym momencie czuł, że coś tu nie gra. Niewiele myśląc, z bijącym mocno sercem – choć uświadomił to sobie dopiero znacznie później, gdy wspominał całe wydarzenie – pchnął ciężkie drzwi. Na ciało natknął się od razu w przedpokoju, tuż za progiem. Naukowiec leżał na wznak, z przykurczonymi kończynami, boleśnie wykrzywioną

twarzą i wybałuszonymi w niemym zdumieniu oczami. Emilowi zdawało się, że spogląda wprost na niego – z wyrzutem. Odczuł ten niemy wyrzut jak policzek. *Gdybym się nie spóźnił, gdybym się, do jasnej cholery...* Wzdrygnął się, lecz mimo szoku starał się wszystko rejestrować. Wokół niemal odciętej głowy rozlała się duża, krzepnąca już, purpurowa plama. Na samym środku czoła denata widniała znajoma pieczęć. Nie można jej było z niczym pomylić. Zdawało się, że została odbita jego własną krwią.

Denat. Tak. Pelczyk był równie martwy jak całe to mieszkanie...

Dziennikarz nie wszedł dalej. Wycofał się z powrotem na klatkę schodową, zamknął cicho drzwi, i nieco drżącą ręką wystukał numer Marka Zebry.

– Ktoś kropnął Pelczyka – oznajmił bez wstępów.

Po kilkunastu minutach przyjechali mundurowi z lokalnego posterunku i zajęli się zabezpieczaniem mieszkania. Jeden z nich grzecznie poprosił Emila o dowód osobisty i po spisaniu jego danych polecił mu opuścić miejsce przestępstwa. Na pytanie dziennikarza, czy będzie jeszcze potrzebny, usłyszał, że może jechać do domu, w razie czego zostanie wezwany. Wciąż oszołomiony Żądło nie protestował. Na moment uchyliły się drzwi sąsiedniego mieszkania, jednak młody sierżant polecił wyglądającej z nich kobiecie wrócić do środka, zapowiadając, że wkrótce ktoś do niej zajrzy, by porozmawiać. Sąsiadka Pelczyka o nic nie pytała, drzwi zatrzasnęły się za nią równie szybko, jak wcześniej zostały otwarte. Emil zszedł po schodach, klatka schodowa była pusta. Na dole – przed wejściem – inny policjant dość skutecznie trzymał na dystans grupkę gapiów. Z zaparkowanego przed klatką nieoznakowanego samochodu wysiadła właśnie ekipa techników. Dziennikarz wrócił do samochodu. Gdy tylko znalazł się w środku, zapalił papierosa. W tym momencie cieszył się, że nie jadł śniadania – było mu niedobrze. Nawet papieros mu nie smakował. Zdusił go w popielniczce i napił się odrobinę zbyt ciepłej coli. Gdy ruszył, wciąż dręczony wyrzutami sumienia, zadzwonił telefon. Zebra.

– Wracasz? – padło ostre pytanie.

– Wyprosili mnie...

– I bardzo dobrze, tak mieli zrobić. Masz wracać prosto do domu, potem do ciebie podjadę. Teraz jadę na miejsce zbrodni, chcę zdążyć przed prokuratorem.

– Technicy już są – wtrącił Emil.

– Wiem. Zaraz dotrze też lekarz sądowy, jesteśmy w kontakcie. Mówisz, że widziałeś hieroglif?

– Jestem pewny. Odbity krwią.

– No to dupy nie ma, to ten sam sprawca! Kurwa mać.

– Czy nie mógłbym... – zaczął ostrożnie, lecz Zebra od razu mu przerwał.

– Mowy nie ma, masz wracać na chatę! Słyszysz, że będzie tam prokurator. Ty tam się lepiej więcej nie pokazuj! I tak sytuacja jest dwuznaczna.

– I tak zaraz się tam zlecą dziennikarze – zauważył nieśmiało.

– Ale nie ty! Rozumiesz, co do ciebie mówię? Spierdalaj mi stamtąd natychmiast! Wracaj do chałupy i czekaj tam na mnie. Nigdzie nie wylaż. I tak muszę cię przesłuchać, załatwimy to za jednym zamachem. A twoi kumple po fachu i tak gównie dostaną. Teren jest odizolowany, będą musieli poczekać na konferencję prasową. To już, kurwa, trzeci przypadek, nie da rady tego dłużej bagatelizować... Rzucą się na nas, hieny...

– Cóż, my, dziennikarze, od tego jesteśmy, żeby informować społeczeństwo – wtrącił urażony nieco Emil.

Komisarz zaśmiał się gorzko.

– Czwarta władza, co?

Gdy się rozłączyli, ruszył powoli w powrotną drogę. Wciąż odczuwał lekkie nudności. To nerwy – uznał. Sprawdził godzinę: czternasta piętnaście. Marta nie skończy pracy przed czwartą. Na pewno jeszcze niczego się nie domyśla... Postanowił, że zadzwoni do niej dopiero z domu i poprosi, by wracając, wzięła taksówkę. Myśl o jedzeniu nadal go odrzucała, jednak z chęcią napiłby się herbaty. Albo piwa. Tak, właśnie piwa. Może to i lepiej, że może spokojnie poczekać na Zebra u siebie w domu...

– Gdybym się, kurwa, nie spóźnił! – Po raz kolejny napluł sobie w brodę Emil, gdy już opowiedział wszystko Zebrze oficjalnie, do protokołu.

– Będziesz to jeszcze sto razy powtarzał? – zirytował się komisarz.  
– Znasz takiego, co potrafi wszystko przewidzieć? Skąd miałeś wiedzieć?

Żądło nie przyjmował argumentów.

– Powinienem był to przewidzieć! – Uparł się przy swoim. – Chyba mnie zamroczyło. Facet dzwoni do mnie od świtu, duka coś bez ładu i składu, przecież nie bez powodu, do cholery! Gdybym pojechał tam od razu... A ja, kretyn, zasnęłam! Starzeję się, bo jak to inaczej tłumaczyć? Czujność mi siadła...

– Zamknij się już, kretynie! Będzie się teraz biczował... Stało się! Ty zresztą zawsze o tej porze jesteś nieprzytomny, biedny gościu powinien był raczej zadzwonić w środku nocy, wtedy jesteś rześki. Ale nie ma co tego roztrząsać, trzeba działać i udupić bandziorów, zanim utłuką następne osoby. Swoją drogą dobrze, że Pelczyk był kolegą Marty, przynajmniej będzie wytłumaczenie, dlaczego wybrał sobie właśnie ciebie na męża zaufania. I ciekawe, dlaczego właściwie dzwonił...

Rozmawiali w kuchni, by móc palić papierosy. Obaj tego teraz potrzebowali, więc dymu w pomieszczeniu szybko przybywało. Emil wstał i szerzej otworzył lufcik. Wyniósł też z kuchni Bolera, by nie robił za biernego palacza. Kocur na szczęście nie oponował – od razu rozłożył się na nieposłanym łóżku w sypialni.

– Chcesz kawy? – Zmitygował się, i nie czekając na odpowiedź, włączył ekspres.

– Myślę, że miał konkretny powód – kontynuował. – Czuł, że ktoś mu zagraża. Może miał jakieś wiadomości od mordercy albo zdarzyło się coś, co go zaniepokoiło. Coś się musiało zdarzyć. A propos, znaleźliście jego laptop?

Rudy policjant pokiwał głową, choć minę miał przy tym nietęgą.

– Tak. Ale już ci mogę powiedzieć, że nic tam nie ma. Dysk został wyczyszczony. Nie wiadomo, czy przez zabójcę, czy przez samego

Pelczyka.

– Może uda się coś odzyskać... Stawiam na Pelczyka. Morderca raczej zabrałby laptopa, a nie tracił czasu na czyszczenie. Musiał się kapnąć, że nic tam nie ma. Jakież odciski palców?

– Mnóstwo, ale głównie gospodarza. Będziemy to wszystko badać.

– Moje też tam będą – uprzedził Emil.

– Domyślam się. Ale na to jest wiarygodne wyjaśnienie. Miałeś prawo tam być.

– Cóż, zgodne z prawdą – dodał dziennikarz, nalewając kawy do kubków.

– Wiem. Psychole stają się coraz bardziej brutalni. Tym razem zrobili tam krwawą jatkę. Może im nerwy puszczają...

– Dlaczego wciąż używasz liczby mnogiej? Nadal podejrzewasz, że to robota jakiegoś gangu?

Komisarz upił łyk kawy, krzywiąc się. Była gorąca.

– A kogo? Moim zdaniem to profesjonaliści. Oczywiście, że mordował pewnie jeden z nich, a nie rzucali się na ofiarę całą bandą. Wiesz, oni zazwyczaj wysyłają do tego specja od mokrej roboty – zażartował gorzko.

– Czyli wersja nielegalnego rynku sztuką? Jakaś szajka?

– Tak myślę, w tym kierunku idzie śledztwo. Jutro uruchomię naszych informatorów, chcę pogrzebać dokładniej w tym środowisku. Kontakty tego Pelczyka, zlecenia na czarno, ręczę ci, że miał tego na pęczki.

Emil zastanawiał się, paląc kolejnego papierosa. Ssało go w żołądku, do tej pory nic nie jadł z wyjątkiem kilku solonych orzeszków do butelki piwa. Przed oczami wciąż stała mu niemal odcięta od tułowia głowa Pelczyka w kałuży krwi z zagadkowym znakiem odcisniętym na czole.

– Dlaczego mi to wygląda na coś w rodzaju ofiary... – odezwał się w końcu, bardziej do siebie niż do kolegi.

– Co? Jaką ofiarę? – Marek zareagował zdumieniem.

– No wiesz. Ofiara rytualna – wyjaśnił speszony dziennikarz.

Zebra przyglądał mu się chwilę z niedowierzaniem.

– Żarty sobie robisz? Że niby co, ktoś składa ofiary z ludzi?

Emil nie przytaknął ani nie zaprzeczył. Wzruszył tylko ramionami.

– Czyli podejrzewasz jakąś sektę? – drążył dalej Zebra.

– Nie wiem. Może. To znaczy, może bardziej niż szajkę handlarzy.

Oni nie robią takich rzeczy! Prędzej strzeliliby w łeb.

– Nie masz racji! Mafiozi właśnie robią takie rzeczy. Obcinają ludziom ręce, nogi, nawet głowy! Ma to na celu zastraszenie następnych. Mało było takich przypadków?

Żądło westchnął.

– No niby masz rację – zgodził się. – Ale...

– Twoja słynna intuicja?

Uśmiechnął się.

– Chyba tak.

Komisarz pomyślał, sięgając po papierosa.

– Nauczyłem się jej nie lekceważyć. – Pokiwał głową. – Ale – dodał przytomnie – jeśli słusznie zakładamy, że „Nasza Pani” ma związek z tym... Tartessos... dobrze mówię...?

– Dobrze.

– To ta sekta może być równie dobrze kontynuacją dawnej loży masońskiej.

– Zgadza się.

– Ale z tego, co pamiętam z waszych notatek, cała ta domniemana cywilizacja słynęła raczej z kultury i łagodności. To skąd nagle ofiary z ludzi? W dodatku z samych naukowców? To się kupy nie trzyma!

– Też racja – stropił się Emil. – Może głupstwa gadam...

– Porozmawiaj jeszcze o tym z Martą.

– Oczywiście – dziennikarz zerknął na kuchenny zegar. – Powinna już niedługo być. A nie myśleliście o tym, żeby zwrócić się do jakiegoś psychologa? – dodał niepewnie. – Teraz to już jest seria...

– Niezupełnie. Wciąż nie mamy pierwszego trupa. O ile w ogóle jest trupem. Ale myśleliśmy o tym. Już się kontaktowałem z naszym policyjnym psychologiem, poprosiłem o pomoc w sporządzeniu jakiegoś portretu osobowościowego sprawcy. Żebyśmy choć wiedzieli, gdzie szukać i na czym się skupić.

– Nie lepiej by było zwrócić się od razu do profesjonalnego profilerka? – zasugerował Emil.



– I czekać pół roku albo i dłużej? Stary, to nie amerykańskie kino! Poza tym nie stać nas na to. Policyjny psychol musi wystarczyć. Tyle lat się pracowało tradycyjnymi metodami, że i teraz sobie poradzimy bez tych nowomodnych nowinek. – Komisarz prychnął lekceważąco. – Zresztą i tak uważam, że to ślepy strzał. Nie wierze w seryjnego zabójcę, stawiam na zorganizowaną przestępczość. Gdy nie wiadomo, o co chodzi, to zawsze chodzi o pieniądze – uzupełnił zadowolony z siebie.

Emil ponownie napełnił kubki resztą kawy. Na wszelki wypadek wolał nie wdawać się z nim w dyskusję na ten temat, choć miał odmienne zdanie. Dobrze jednak, że biorą pod uwagę różne możliwości. Nie od dziś znał Marka Zebrę. Wiedział, że to otwarty człowiek i elastyczny gliniarz, nie będzie zapierał się przy swoim dla zasady.

– Z innej beczki – zagadnął. – Sprawdziliście te przecieki? To znaczy, ewentualne przecieki? Pamiętasz?

Komisarz przytaknął ruchem głowy.

– Jasne. Ale nic nie wykryłem. Dupa. Nie wygląda na to, że któryś z naszych ludzi gdzieś sypie. Ale oczywiście mogą się mylić. Jeśli tak, to dobrze się kryje. Oczywiście będę miał dalej na to oko. Spokojnie.

– Może to jednak był przypadek...

– To włamanie do was? To też możliwe. Tym razem nie zostawili pieczęci, więc może to nie ci sami. Będę się zbierał, czeka mnie jeszcze kupa roboty. Pewnie znów posiedzimy przez całą noc, biedna Majeczka... I tak bardzo dzielnie to znosi – rozczulił się Marek. – Podpisz mi jeszcze to zeznanie.

Gdy Emil złożył swój podpis, dodał:

– To będziemy w kontakcie. Nie rób żadnych głupstw. Już i tak sobie naskrobałeś. Wszystko uzgadniaj ze mną. Sami przesłuchamy świadków, jak natkniemy się na coś ważnego, to ci powiem. Na razie pogadaj z Martą o tych ofiarach z ludzi... tak na wszelki wypadek.

– Okej.

Gdy wychodzili z kuchni, od drzwi wejściowych dobiegł zgrzyt klucza w zamku. Do mieszkania wpadła przerażona Marta.

– Co się dzieje? To prawda, co mówił Emil?! – bez powitania zaatakowała policjanta. – O Pelczyku...? Jesteście pewni...?

– Niestety tak. – Zebra z zakłopotaniem skinął głową. – Emil ci

wszystko opowie, ja już muszę uciekać. On wszystko wie, znalazł ciało. Pilnujcie się wzajemnie! Zresztą nie muszę wam chyba o tym przypominać...

Obiad zjedli bez apetytu, choć Marta postarała się, by jedzenie wyglądało zachęcająco. Przyszykowała jedną z ulubionych potraw Emila: nadziewaną paprykę w sosie pomidorowym. Co z tego jednak, kiedy jemu wszystko kojarzyło się z krwią. Koszmarny obraz wciąż stał mu przed oczyma.

– Źle wybrałam. – Skrzywiła się. – Mogłam sobie darować ten sos.

Machnął ręką, starając się skończyć posiłek. Czuł głód, tyle że jedzenie stawało mu w gardle. Dawniej, gdy jeszcze służył w policji, widok trupów nie robił już na nim aż takiego wrażenia. Od tamtej pory upłynęło jednak sporo lat – odwykł. Jako dziennikarz nie tak często oglądał „na żywo” zwłoki, poza tym z tym konkretnym facetem rozmawiał dosłownie kilka dni wcześniej. A to sprawiało, że całkiem inaczej – bardziej osobiście – odczuł ludzką śmiertelność.

– Daj spokój, po prostu jakoś nie mam na nic ochoty.

– Nie dziwię ci się...

Zmył naczynia i usiadł ciężko za kuchennym stołem. Nawet palić mu się nie chciało. Miał już dość na dzisiaj. Marta tymczasem przygotowała herbatę. Pili ją w milczeniu. Dopiero po kilku minutach przerwała je.

– Kurczę, zaczynam się bać. Kolejny z mojego otoczenia! O co tu chodzi? Kiedy moja kolej?!

– Kochanie, daj spokój. A co ty masz z tym wszystkim wspólnego? Zebra podejrzewa półświatek związany z nielegalnym handlem sztuką – próbował ją uspokoić, choć bez przekonania. Sam zaczynał odczuwać zagrożenie. O nią bał się w szczególności. Miała rację, to wszystko działo się przecież w jej środowisku. Miała prawo do obaw.

– Tak mówisz, ale w końcu dwa razy ktoś tutaj... u nas... był. Raz zostawił tę pieczęć na szybie – wzdrygnęła się – a potem to włamanie. Przypadek?

Wolno pokręcił głową.

– Włamanie to mógł być przypadek, ale ta pieczęć nie. Nikt nas jednak nie próbował zabijać. Myślę, że ostrzeżenie skierowane było do mnie, nie do ciebie. – Usiłował wprowadzić do tych rozważań element rozsądku, jednak nie bardzo mu wyszło. Marta zareagowała gwałtownie.

– Wielkie mi pocieszenie! Już się, cholera, uspokoiłam!

– Marta, to było działanie obliczone na zastraszenie, nie realna groźba. Gdyby chcieli nas wykończyć, dawno by to zrobili. Inną sprawą, że, jak mówił Marek, musimy się pilnować. Kiedy wracasz na urlop?

Wzruszyła ramionami.

– Za kilka dni. Chciałam z tym poczekać do przyjazdu Bartka...

– Zrób to jak najszybciej. Młody i tak niedługo przyjeżdża. Cholera jasna, jeszcze nam tu teraz dzieciak potrzebny...

Zamilkła.

– Słuchaj – Emil przypomniał sobie prośbę komisarza. – Czy Tartessyjczycy składali ofiary z ludzi?

Marta spojrzała na niego w popłochu.

– Co to za pytanie? Podejrzewasz, że...

– Na razie niczego nie podejrzewam. Tak tylko pytam. Próbuję to sobie jakoś zracjonalizować.

– Okej. Nic o tym nie wiem. Grecy utrzymywali, że to była wysoka kultura, a mieszkańcy Tartessos należeli do najłagodniejszych i najbardziej cywilizowanych ludzi ówczesnego świata. Zaręczam ci, że gdyby składali ludzkie ofiary, to byłoby o tym głośno w źródłach. Starożytni byli równie podatni na sensacje jak współczesne media. Bez urazy. Ludzie się nie zmieniają.

– Tak właśnie myślałem – powiedział w zadumie. – Ale na przykład Kartagińczycy podobno składali w ofierze ludzi? Czytałem gdzieś przy okazji naszych poszukiwań, że zabijali niemowlęta...

Pokręciła głową.

– A teraz ludzie nie zabijają? To nie jest pewne. Część uczonych w to wątpi. Trwały wtedy wojny punickie. Równie dobrze mogła to być tylko rzymska propaganda, a znalezione pochówki noworodków mogą mieć całkiem inne wytłumaczenie. Naprawdę podejrzewasz, że teraz, w Polsce, w dwudziestym pierwszym wieku ktoś składa ofiary z ludzi w imieniu dawnych Tartessyjczyków? Niby kto?

– Masoni? – odparł.

– Nie żartuj. Ta loża od dawna już nie istnieje. I należeli do niej światli ludzie, a nie jacyś psychopaci.

Emil wstał i przeszedł się po kuchni, usiłując ułożyć myśli sobie w głowie.

– Ale sama mówiłaś, że wtedy panowała taka aura. Nasilenie ruchów religijnych i mistycznych, okultyzm i tak dalej. W końcu naziści pokazali, na co ich stać, a wcześniej nakręcali to wszystko. W pewnych okolicznościach rodzi się fanatyzm – odezwał się w końcu.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że teraz mamy podobne czasy. Niespokojne. Chore. Ludzie czują jakiś schyłek. I też odradza się fanatyzm. Nie zauważyłaś, ile się tego ostatnio namnożyło? Wcześniej to się nikomu w głowie nie mieściło, świat był normalny, racjonalny, przynajmniej Europa, a teraz... Egzorcycyści, uzdrowiacze, wróżbici, maniacy religijni, fundamentaliści, bigoci, faszyci, od pioruna tego! Czasem się zdaje, że wystarczy mały zapłon, a poleje się krew. Albo zapłoną stosy.

Uśmiechnęła się blado.

– Przesadzasz...

– Wcale nie przesadzam! Nie siedzisz tyle w necie co ja. Jakbyś sobie poczytała te wszystkie koszarne hejty, które można tam znaleźć, zjeżyłoby ci włos na głowie. Uwierz. Mnie zjeżyło nie raz.

Marta wstała, by nalać sobie soku.

– Chcesz też?

– Chyba wolę piwo.

Podawała mu puszkę i postawiła na stole dwie szklanki.

– Nie mam za dużo czasu na siedzenie w Internecie – wróciła do tematu. – Ale to co mówisz, brzmi strasznie. To znaczy, że czeka nas trzecia wojna światowa? Jakiś kataklizm?

– Kto wie.

– To po co my się boimy jakichś bandytów?! – Parsknęła niewesoło.

– Też fakt. – Uśmiechnął się do niej. Wbrew oczekiwaniom, rozluźnił się trochę. Konstruktywna rozmowa okazała się w efekcie o wiele lepsza od samotnego rozpamiętywania.

– Co ma być, to będzie. Jednak mam nadzieję, że nie działa u nas żadna krwawa sekta – powiedziała Marta. – I że znajdziecie w końcu jakieś sensowne, logiczne rozwiązanie. Dlaczego tacy szaleńcy mieliby składać w ofierze akurat naukowców związanych ze sztuką? Podstarzałych facetów zamiast pięknych dziewczyn?

Na to już nie znalazł odpowiedzi. Uznał, że ma rację. To bez sensu, naciągane.

– To była tylko jedna z teorii – wyjaśnił. – A raczej taka luźna myśl. Moja własna. Zebra też w nią nie wierzy.

– I słusznie – uznała. – Ja też uważam, że powód tkwi raczej w tym zawodzie. I liczę na to, że nie dotyczy to wszystkich naukowców jak leci, tylko konkretnych, z konkretnego powodu. Coś musiało łączyć tych ludzi. Nie wiem co, ale też pomyślę...

*Dwa dni później...*

Przesłuchania sąsiadów Pelczyka nic nie wniosły. Zebra zdradził mu to, gdy spotkali się w McDonaldzie przy dworcu. Marek wyrwał się tu na coś w rodzaju przerwy obiadowej: zwykle wpadał na obiady do domu, tego dnia jednak Maria pracowała do osiemnastej, musiał więc radzić sobie inaczej. Nie narzekał, tylko ściągnął sobie do towarzystwa Emila, który tak czy inaczej wybierał się do Gdańska, by odebrać Martę z muzeum. Przyjechał więc wcześniej.

– Nikt niczego nie wiedział ani nie słyszał – zakończył swą relację komisarz, pałaszując drugiego Big Maca. – Większości w ogóle nie było o tej porze w domu, pracowali albo robili zakupy. Reszta ogłuchła, siedziała przed telewizorem albo komputerem, wyjechała na urlop, jednym słowem: zero świadków. Wiesz, teraz nawet dzieci nie bawią się już na podwórkach...

Emil prychnął pogardliwie.

– Wiem, nie musisz mi mówić. Oni na wszelki wypadek wolą nie widzieć i nie słyszeć. Gdyby usłyszeli, zatkaliby sobie uszy. Bo po cholere pakować się w cudze kłopoty. Taki świat się zrobił. Sam na to

zresztą zwróciłem uwagę: wymarłe osiedle, puste klatki schodowe, jak, kurczę, na jakimś cmentarzu. Nawet tam chyba spotkasz więcej ludzi. No fakt, lato się zaczęło, wakacje, może większość powyjeżdżała.

– Może. W każdym razie dalej nic nie mamy. Moi ludzie węższą wśród handlarzy, ale to potrwa. Kurde! – Walnął pięścią w blat, aż para młodych ludzi, siedząca przy sąsiednim stoliku, odwróciła się do nich z ciekawością. – A czas ucieka... – komisarz ściszył głos, choć na szczęście słowa i tak zagłuszała głośno nastawiona muzyka.

– Może ja jeszcze raz... – zaczął Emil.

– Nie – Marek mu przerwał. – Ale mógłbyś pogadać z dalekim kuzynem Pelczyka. To, zdaje się, jego jedyna rodzina. Nie wiążemy z nim większych nadziei, nie chcemy go wzywać na komendę, facet mieszka w Przywidzu. Jest emerytowanym nauczycielem. Na razie został tylko poinformowany o śmierci kuzyna. Nie wygląda na to, żeby za bardzo się przejął, podobno nie spotykali się często i nie byli sobie bliscy. Ale może warto by zamienić z nim kilka słów. Mógłbyś? Jako wścibski dziennikarz oczywiście.

– Jestem wścibskim dziennikarzem. – Uśmiechnął się. – Daj namiary, to pojedę.

Komisarz zanotował mu wszystko na serwetce. Nie skończyli jeszcze deseru, gdy zadzwoniła komórka Zebry. Rzucił kilka słów i rozłączył się, wstając pospiesznie.

– Muszę lecieć, ściągnęli jakichś cwaniaczków, mam być przy przesłuchaniu. Możesz skończyć mój koktajl. Będziemy pod telefonem, wyciśnij z tego kuzyna co się da. Kiedy się do niego wybierzesz?

– Może jutro.

– Doszedłeś już do siebie?

Emil wzruszył ramionami.

– Nie jestem panna. Spoko. Zresztą wolę działać niż zbijać baki. Wtedy za dużo myślę.

Zebra zarechotał.

– No co? – obruszył się dziennikarz. – Niektórzy czasem myślą.

– Dobra, spadam! Cześć, myślicielu!

Gdy komisarz opuścił lokal, Żądło odsunął od siebie pusty pojemnik po lodach i sięgnął po koktajl kolegi. Zerknął na wyświetlacz

telefonu – została mu jeszcze przeszło godzina do umówionego czasu odbioru Marty z pracy. Popijając zimny czekoladowy napój, zastanawiał się, jak zabić ten czas. W końcu zdecydował: przejdzie się po Długiej, zajrzy do antykwariatów, może też zdąży jeszcze obejrzeć kamienicę przy Ogarnej, w której przed wojną mieściła się siedziba loży masońskiej.

Zajrzał do Desy i dwóch napotkanych mniejszych antykwariatów, szybko jednak doszedł do wniosku, że nic mu to nie da. Nich już raczej policja przetrząśnie to środowisko swoimi kanałami. W ich ofercie nie doszukał się niczego starszego od dziewiętnastowiecznego malarstwa czy porcelany. Ewentualnie statuetek z alabastru, stanowiących kopie antycznych rzeźb – z tej samej epoki. Zapytał nawet, czy gdyby zechciał nabyć jakiś rzeczywiście starożytny artefakt, byłoby to w ogóle możliwe. Facet z obsługi spojrział na niego jak na wariata i oznajmił, że owszem, w Kairze. A i to zapewne byłby tylko falsyfikat – roześmiał się. Nazwisko Pelczyka kojarzyli, jednak bardziej w teorii niż w praktyce. „To świetny rzeczoznawca, ceniony specjalista od sztuki dawnej, znane nazwisko, ale on raczej dla muzeów pracuje. Zresztą nie tylko polskich. My tu nie mamy takiego towaru, żeby korzystać z jego usług. Za wysokie progi” – usłyszał od szefa jednego z antykwariatów. Zdesperowany brakiem sukcesu zakupił dla Marty w prezencie najtańszą miniaturową figurkę jakiejś greckiej bogini. Tylko ta jedna mieściła się w granicach jego możliwości finansowych. Wiedział jednak, że Marta i tak będzie uszczęśliwiona. Kochała takie gadżety, a ten pochodził ponadto z początków dwudziestego wieku i był naprawdę pięknie, starannie wykonany, nie tak jak współczesna tandeta dla turystów.

Następnie udał się na Ogarną. Szybko znalazł interesującą go kamienicę pod numerem dwudziestym siódmym i dwudziestym ósmym. Nie było to szczególnie trudne, gdyż kamienica wyraźnie odróżnia się od pozostałych, jest bowiem neogotycka. Zbudowana została dopiero w tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim roku. Z tego powodu zazwyczaj pomija się ją w przewodnikach. Ten styl architektoniczny wciąż nie jest doceniany, choć na szczęście minęły już czasy, gdy

budynki pochodzące z tej epoki bezwzględnie i bezkarnie wyburzano. Cudem udało jej się przetrwać nie tylko rok czterdziesty piąty – gdy Gdańsk obrócony został w perzynę – ale i późniejsze zakusy ignorantów. Być może chronił ją duch dawnych masonów, pomyślał Emil z uśmiechem. Wyremontowana po wojnie służyła różnym celom. W tej chwili, choć jak wiele innych budynków komunalnych zaniedbana, nadal prezentuje swoją oryginalną, „gotycką” fasadę. Podobno nawet jacyś „masoni” ubiegali się o jej zwrot, plany te jednak nie doszły do skutku, natomiast przyczyniły się być może do tego, że w latach dziewięćdziesiątych wpisano wreszcie kamienicę do rejestru zabytków. Nie zmieniło to, niestety, faktu, że wskutek braku porządnej konserwacji stan techniczny budynku pozostawia dziś wiele do życzenia: zawilgocone ściany, uszkodzone detale ceramiczne fasady, z dawnego wystroju wewnątrz także podobno niewiele pozostało. Emil zrezygnował z wchodzenia do środka, nie chciał psuć sobie wizji. Mimo to przez dłuższy czas podziwiał wdzięczną bryłę i ozdobne zwieńczenia na dachu. Pstryknął kilka zdjęć – przydadzą się do artykułu o gdańskich masonach, który zaplanował dla „Rozgwiadzy” jako jeden z nowego powakacyjnego cyklu. Odczuwał nawet tajemniczą aurę bijącą z tych murów, ale to mogła być tylko sugestia.

Z zamyślenia wyrwał go dopiero dzwonek telefonu – Marta oznajmiła, że właśnie kończy pracę i już za chwilę wychodzi. Gdy usłyszała, że stoi przed dworcem, zdecydowała, że tam się spotkają. Mógł więc, nie spiesząc się za bardzo, wrócić spokojnie na parking. Pogoda była znośna, ani deszczu, ani zbyt wielkiego upału, idealnie na krótki spacer, podczas którego jego myśli, podbudowane prezentem dla Marty, który niósł zawinięty pieczolowicie w plecaku, powróciły do owianego mgłą tajemnic Tartessos. A właściwie – do Atlantydy...

\* \* \*

Marta ze znużeniem bawiła się pilotem, szukając w telewizji jakiejś stacji, na której można by zawiesić oko i ucho, aż w końcu zde gustowana wyłączyła telewizor. Ten tradycyjny mały odbiornik



kupili niedawno z odzysku specjalnie dla Bartka. Sami już dawno zrezygnowali z tej rozrywki, zadowolając się Internetem. Marta twierdziła, że chłopaka tylko rozbawią, jednak i tak się skusili, była to bowiem okazja: koleżanka z pracy postanowiła wymienić sprzęt na nowoczesny i sprzedała im tego starocia w cenie latarki z taniego supermarketu. Westchnęła. Ich nie stać by było na designerskie gadżety, a nawet jeśli, żałowałiby na to pieniędzy. Prędzej pewnie kupiliby sobie nowy obraz, kolejną górkę książek, no i zapewne zapas puszek dla Bolera. W końcu raz się żyje. Ostrożnie zdjęła z kolan śpiącego kota, który po całym prawie dnu spędzonym z panią Renią przykleił się do niej i za żadne skarby nie odpuszczał. Teraz też – nastroszył się tylko, sapnął, i z powrotem wdrapał na kolana. Machnęła w końcu na to ręką, mierzwiąc jedwabistą, puchatą sierść.

– Ach ty okropny, gruby pieszczocho... – wyszeptała mu do ucha, na co wielki rudy kocur odpowiedział pełnym zadowolenia mruzeniem.

Uwielbiła ten dźwięk, często powtarzała, że to jest najpiękniejsza muzyka relaksacyjna świata.

Emil od przeszło dwóch godzin leżał na kanapie z nosem w książce. Nie chciała mu zakłócać spokoju – wiedziała, że od przedwczoraj próbuje wszystkiego, byle tylko nie myśleć bez przerwy o zmasakrowanych zwłokach nieszczęsnego Pelczyka, które utkwiły mu w pamięci, zapewne na długo. Nawet w nocy dręczyły go z tego powodu koszmary. W końcu jednak zdecydowała się mu przerwać.

– Co czytasz? – zagadnęła.

Odsunął książkę od twarzy i, wbrew oczekiwaniom, uśmiechnął się z samozadowoleniem, a nawet z dumą.

– Platona – odpowiedział. – Sama chciałaś. No to się zabrałem i już prawie całego mam za sobą.

– Kritias czy Timajos?

– Kończę Kritiasa, ale czekaj... Bo coś mi przyszło do głowy, a to było na samym początku, znaczy się: w Timajosie, bo on jest pierwszy. Właśnie chciałem o tym z tobą pogadać, może mnie oświecisz. Zacytuję ci...

Marta czekała cierpliwie, gdy wertował kartki.

– O mam go! Tutaj jest... Posłuchaj – odchrząknął i zaczął czytać

na głos:

*W rzeczy samej, nasze Księgi opowiadają, jak wasze miasto zniszczyło kiedyś wielką armię, która do pewnego czasu najeżdżała nie tylko Europę, lecz także Azję, wyruszając od Oceanu Atlantyckiego. W owym czasie bowiem można było żeglować po tym morzu. [Potęga owa] posiadała wyspę przed cieśniną, która się nazywała u was Kolumnami Heraklesa. Wyspa ta była większa od Libii i Azji razem wziętych. Podróżni owych czasów mogli się dostawać z tej wyspy na wyspy inne, a z nich na cały kontynent przeciwległy, który się rozciągał dokoła tego prawdziwego morza. Całe to morze, które się znajduje z tej strony cieśniny, o której mowa, wygląda na port o wąskim wjeździe. A co jest po tamtej jej stronie, można by nazwać prawdziwym morzem, a ziemi, która je zewsząd otacza, można by dać, w ścisłym tego słowa znaczeniu, miano kontynentu[1].*

Urwał i wpił się w nią wzrokiem.

– No i co? – dopytała, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

– No i zbuntowałem się. Tak sobie myślę, że jednak Tartessos nie było Atlantydą. Owszem, to równie fascynująca zagadka, ale... no, jakby to powiedzieć... ten cały Platon nie wygląda na idiotę. Pisze do rzeczy! Dokładnie wie, co chce powiedzieć. I widać, że doskonale odróżnia wyspy od kontynentu, nawet dodaje z naciskiem: „w ścisłym tego słowa znaczeniu”...

– To prawda – przyznała mu rację. Chciała coś dodać, lecz od razu jej przerwał:

– On pisze o wielkiej wyspie na Atlantyku! Nie o mieście czy nawet państwie, na Półwyspie Iberyjskim. Który, jak rozumiem, Grecy doskonale znali, bywali tam wielokrotnie w celach handlowych. Hiszpania nigdy nie była wyspą! Platon wyraźnie wie, co to Europa. Mało tego: przecież tym kontynentem po drugiej stronie, o którym tu mowa, musiała być Ameryka! Cudów nie ma. Wszystko się tu zgadza, jak w zegarku. Opisał to precyzyjnie. Do tego jeszcze Grecy żyli w przyjaźni z Tartessyjczykami, a nie walczyli z nimi. A tu mowa o jakiejś wielkiej wojnie i armii niszczącej ich kraj. Ni cholery mi to nie

pasuje. Aż tak by wszystkiego nie popieprzył...

Marta zerknęła z czułością na małą figurkę Artemidy z antykwariatu, którą dostała tego dnia od Emila w prezencie. Statuetka była stara i finezyjnie wykonana, a mleczny alabaster pięknie odcinał się na tle granatowej zasłony. Ucieszyła się, że jej facet aż do tego stopnia poddał się historycznej pasji do starożytności. Właśnie to w nim ceniła najbardziej: tę otwartość, zapał i gotowość dzielenia z nią zainteresowań.

– Nooo... – odparła z namysłem – w pewnym sensie masz rację. Mnie też to dręczyło. Ale zwróć uwagę, że relacja Platona nie pochodzi z pierwszej ręki. Opisuje on to, co ileś tam lat wcześniej usłyszał od Solona i co sobie zapamiętał, bo chodziło przecież o ustną tradycję. A Solon z kolei powtarzał tylko to, co podobno opowiedzieli mu egipscy kapłani z Sais na podstawie swoich świętych ksiąg, które były już wtedy bardzo stare: według tychże kapłanów liczyły sobie tysiące lat. Pamiętajmy też, że Grek i Egipcjanie nie posługiwali się tym samym językiem. Z pewnością Solon mógł coś źle zrozumieć, przetłumaczyć z błędem. Jak choćby lata, nazwy własne czy pojęcia geograficzne. Sami kapłani zresztą opierali się na archaicznym dla nich tekście! I też nie wiadomo, w jaki sposób ich przodkowie zdobyli te informacje. Byli naoczni świadkami? Do tego już nie dojdziemy...

– Więc może jednak lepiej założyć, że to, co zapisał Platon, jest prawdziwe, i na wszelki wypadek potraktować go serio? I przyjąć, że Tartessos to po prostu... inna tajemnica? – odparował tryumfalnie.

– Może i tak. – Wzruszyła ramionami. – Choć Schulten uważał inaczej, a za nim wielu innych. Ale jeśli o mnie chodzi, to naprawdę daleka jestem od lekceważenia Platona czy w ogóle antycznych autorów. Przede mną akurat nie musisz bronić ich wiarygodności! I właśnie z tego powodu nazywam Tartessos „hiszpańską Atlantydą”, w odróżnieniu od tej oryginalnej, platońskiej. Mówiłam ci już, że takich Atlantyd, moim zdaniem, było na przestrzeni tysiącleci wiele, jedna nie gorsza od drugiej. A o większości z nich pewnie nawet nie słyszeliśmy. Dzieje ludzkości kryją jeszcze niejedną tajemnicę...

Emil odetchnął z ulgą, odłożył książkę i wstał.

– No, to przynajmniej ta jedna pozostanie nierozwiązana. Bo jak już w końcu znajdą Tartessos, to co by nam pozostało? Bez tajemnic nie

ma życia, a jeśli jest, to gówniane. Kritiasa skończę wieczorem, już mi niewiele zostało, a tymczasem... może po małym kieliszeczku wina? Jutro z samego rana jadę do Przywidza, żeby pogadać z tym kuzynem Pelczyka, ty też do pracy, a czerwone wino podobno świetnie robi na sen.

### *Nazajutrz*

Pan Adam Świdorski, kuzyn świętej pamięci Pelczyka, był jego przeciwieństwem. Może z wyjątkiem wieku, bo, przynajmniej na oko sądząc, musieli być mniej więcej w podobnym. Drobniutki, czyściutki, starannie – mimo wakacyjnej aury – ubrany w czystą koszulę i krawat, gładko ogolony, pachnący tradycyjną wodą kolońską, wzorcowo gościnny, nad wyraz grzeczny, a do tego, co ważne: rozmowny. Wraz z żoną, filigranową blondynką, która od razu po przywitaniu schowała się w kuchni, oraz najmłodszym synem, studentem trzeciego roku, mieszkał w brzydkim, lecz zadbanym jednorodzinym klocku przy bocznej uliczce, schodzącej zakolem do jeziora. Starsza dwójka – jak z dumą zdradził pan Adam – założyła już własne rodziny i przeniosła się na stałe do Trójmiasta. Z otwartych okien niewielkiego, wysprzątanego do połysku saloniku widać było zielononiebieską, lekko zmarszczoną letnią bryzą toń, pomost i pokrytą trawą plażę. Aż tutaj dochodziły piski i śmiechy kąpiących się pod okiem ratownika dzieciaków, a wraz z delikatnym powiewem docierał także przyjemnie mulisty zapach jeziora. Zrobiło się dość gorąco, panowie zrezygnowali więc z gorących napojów, zadowolając się schłodzoną wodą mineralną. Emil zresztą wypił już rano, przed wyjazdem, dwie mocne gorzkie kawy, by się dobudzić.

– Wie pan – opowiadał gospodarz – tak jak już wcześniej wspominałem, nie byliśmy ze sobą zbyt blisko, choć zdaje się, że Roman nie miał już innej rodziny. Tylko nas. My byśmy chętnie utrzymywali z nim kontakty, zawsze to krewniak, ale... to on tego nie potrzebował. Dziwak był z niego i tyle. Z trudem udawało nam się namówić go do

spędzania z nami świąt. Nie przywiązywał zresztą do nich wagi, ale i tak przywoziłem go tu przynajmniej na wigilię, żona nalegała; to jednak przykre, jak ktoś siedzi samotny w święta. Nawet jeśli to lubi. Poza tym od czasu do czasu, raz na parę lat, przyjeżdżał do nas spędzić tu kilka dni urlopu. Lubił jezioro, lubił łowić ryby z łódki. Mamy własną łódź, prowadzę taki minipensjonat, parę pokoi na dole do wynajęcia, z wyżywieniem lub bez. Żona dobrze gotuje, mamy pełne ręce roboty, ale nie narzekamy. Teraz także goszczą u nas dwie rodziny z dziećmi. Trzeba jakoś dorabiać do nauczycielskiej emerytury. – Zaśmiał się. – W każdej chwili zapraszam, nie mamy wysokich stawek. Oczywiście Roman był naszym prywatnym gościem. Żeby chociaż doceniał, ale zawsze był z czegoś niezadowolony: a to mu pogoda nie pasowała, a to przeszkadzały hałasy, a to żona zaserwowała nie taki obiad... E, nieważne! O zmarłych przecież tylko dobrze, jak to się mówi. Ale rozumiem, że pan potrzebuje realnej oceny, więc dlatego...

– Oczywiście, będę wdzięczny za każdy szczegół, który pozwoli mi lepiej zrozumieć pańskiego kuzyna – wtrącił Emil.

– Tak. No więc... taka była prawda. Nie był łatwym człowiekiem, muszę to przyznać. Choć zawsze podziwiałem jego szeroką wiedzę i czytanie. Sam przez blisko czterdzieści lat uczyłem historii, lubiłem z nim porozmawiać, gdy nadarzała się okazja. O ile akurat był w humorze. Co, niestety, nie zdarzało się często.

– Rozumiem. Czy mógłbym zapytać pana o bardziej intymne sprawy? Nie obrazi się pan? To ważne.

– To znaczy? – Pan Adam odrobinę się nastroszył.

– Na przykład... – dziennikarz zawahał się. – Kto dziedziczy po panu Pelczyku? Państwo jako najbliższa rodzina?

Świdorski zachnął się.

– Sam nie wiem! Pewnie tak. Tylko, proszę pana, co tu dziedziczyć? Te parę gratów, książki, stary komputer? Roman nic nie miał! Co zarobił, to wydał. Niczego nie odłożył, zresztą nie bardzo miał z czego. Tyle to wiem, bo czasem pożyczał od nas pieniądze. Miał, jak pan pewnie wie, nieregularne dochody, a z rynkiem sztuki u nas... co tu dużo mówić. Biedny kraj, to i rynek biedny. Do tego kuzyn, niestety, lubił sobie popić. Był alkoholikiem, choć się do tego nie przyznawał.

Taki spadek to dla nas tylko kłopot, ale cóż robić. Ostatnia posługa zapewne należy do nas. Na razie jeszcze w tej sprawie żadnych kroków nie poczyniłem, zresztą do czasu zakończenia śledztwa... rozumie pan. Może na to nie wygląda, ale poruszyło nas to wszystko. Morderstwo! Straszna rzecz, coś takiego w rodzinie. Żona wciąż nie może dojść do siebie.

– A mieszkanie po kuzynie? – zapytał Emil.

Gospodarz pokręcił głową.

– To nie było jego mieszkanie, kuzyn tylko je wynajmował. Właściciel mieszka w Stanach, jakiś dawny jego znajomy. Wciąż się kłócili o niezapłacone na czas rachunki. Roman zapominał, lekcewał sobie, a potem musiał się gęsto tłumaczyć. Właśnie na te opłaty kilka razy od nas pożyczął. Rzadko oddawał. Nie upominałem się specjalnie, bo to i tak grochem o ścianę, a wspomóc przecież trzeba, rodziny się wszak nie wybiera. Dzięki Bogu, my z tych pokoi do wynajęcia jakoś wychodzimy na swoje. A żeby było zabawniej... on jeszcze miał pretensje do tego właściciela lokalu, że w ogóle ośmiela się mieć jakieś żądania! Da pan wiarę? Mniemania o sobie można mu było tylko pozazdrościć... – Pan Świdorski zaśmiał się z zażenowaniem.

Żądło dał wiarę. Z Pelczykiem widzieli się tylko raz, lecz miał wrażenie, że zdążył poznać go całkiem dobrze.

– Czemu pański kuzyn był takim odludkiem? Dlaczego nie miał rodziny, żony, dzieci? Zawsze tak żył?

– Zawsze. Jak byliśmy młodymi chłopakami, a byłem tylko rok od niego starszy, to już wtedy mnie zastanawiało, że on w ogóle nie interesuje się dziewczynami, nie ma kumpli, nie chodzi na zabawy, na randki... nic z tych rzeczy! Wypić zawsze lubił, ale najchętniej do lustra. Zresztą zaraz zasypiał, więc kompan był z niego żaden. Jednego sylwestra spędziliśmy kiedyś razem, za czasów studenckich. Rodzice kazali mi go ze sobą zabrać, bo niby wypadało. Pamiętam to dobrze, choć to minęło.. ze czterdzieści lat. Wstydu się wtedy za niego najadłem. Romek upił się, pokłócił z całym towarzystwem, zwymiotował do wanny, no i przespał resztę nocy...

Emil pokiwał głową. Zastanawiał się, jak sformułować następne pytanie, w końcu jednak zadał je prosto z mostu.

– Był innej orientacji?

Tym razem Świdorski wyglądał na zakłopotanego. Nie tyle samym pytaniem, raczej tym, że nie potrafi na nie odpowiedzieć.

– Trudno powiedzieć – podjął po krótkim namyśle. – Nie zauważyłem też, ani chyba nikt z rodziny, żeby interesował się mężczyznami. Seksualnie oczywiście. Zawsze był sam, mieszkał sam, pracował sam. Kiedy przyjeżdżał do nas na lato, także najchętniej przebywał we własnym towarzystwie. Unikał ludzi. Chyba go po prostu drażnili. Tak, jak mówiłem... dziwak.

– No tak. A kiedy pan z nim ostatni raz rozmawiał? Dawno?

– Jakieś... ze dwa miesiące temu. Około. Byłem w Gdańsku za swoimi sprawami i w drodze powrotnej wpadłem go odwiedzić. Na krótko, bo tam się długo nie dało wysiedzieć. Dym, zaduch... mniejsza o to. Akurat wtedy wrócił z jednego wyjazdu i już planował następny. Chyba, bo wprost niczego nigdy nie mówił, zawsze opłotkami. W każdym razie... – urwał nagle.

– Tak? Panie Adamie? – W dziennikarzu obudziła się czujność.

– Przepraszam. Coś mi się przypomniało. To chyba ważne. Roman spodziewał się jakiejś większej gotówki. Wspomniał o niej bardzo tajemniczo, ale niedwuznacznie. Nie wiem, o co mogło chodzić, proszę nie pytać, ale tego jednego jestem pewien, że dobrze zrozumiałem. Trafiła mu się jakaś okazja. Był niezwykle podekscytowany.

– Coś... nielegalnego?

– A tego to ja już nie potrafię panu powiedzieć. – Emerytowany nauczyciel rozłożył ręce. – Pan wie, jak to jest w tym zawodzie. Czasem pewnie robił coś na czarno, może jakieś ekspertyzy, o tym jestem przekonany. Ale nie zwierzał mi się, a ja nie dopytywałem. Taki kraj...

– Ano, taki. Bardzo mi pan pomógł. To rzeczywiście ważne. Czy rozmawiała już z panem policja?

– Owszem, ale tylko telefonicznie – odparł Świdorski lekko spłoszony. – Poinformowali mnie o tym nieszczęściu. Sumitowali się nawet, że nie osobiście, ale rozumiem, nie jestem bliskim krewnym. Możliwe, że jeszcze dostanę wezwanie. Choć niewiele więcej mogę pomóc. Naprawdę rzadko się widywaliśmy. Ech, a i tak się w końcu rozgadałem! – Uśmiechnął się przepraszająco. – Taki już ze mnie

gadała, zawodowa przypadłość. Ale jeśli tylko na coś się przydałem, to się cieszę. A... czy mogę zapytać, jaka jest dokładniej pana rola w tym... w tym dochodzeniu?

Emil miał odpowiedź przemyślaną z góry.

– Jestem dziennikarzem śledczym. To już pan wie. Prowadzę w tej sprawie niezależne śledztwo. Ale współpracuję z policją, nie rywalizujemy. – Uśmiechnął się. – Zależy mi, żeby uchronić inne potencjalne ofiary. Bo to zabójstwo... może mieć ma szersze podłoże, tak mi się zdaje. Stąd moje wścibstwo.

Mężczyzna ze zrozumieniem skinął głową. Nawet jeśli niewiele z tego zrozumiał, usiłował być pomocny. Emil z sympatią podziękował i uściśnął mu dłoń, zanim się pożegnał, by ruszyć w drogę powrotną do Gdańska. Zanim jednak wsiadł do samochodu, przespacerował się pół godziny brzegiem jeziora. Od dawna potrzebował takiego relaksu. Pomyślał nawet, że kiedyś może skorzysta z zaproszenia i przywiezie tu Martę na prawdziwe, zasłużone wakacje...

Od lat ich nie mieli.

– Okej, to już nie będziemy go wzywać – zdecydował Zebra. – Nie ma po co. Chyba że coś jeszcze wyskoczy w praniu. Widać, że ten cały nieszczęsny kuzyn miał z nim tylko krzyż pański. Z naszych informacji to samo mniej więcej wychodzi. Pelczyk nie ma nic na rachunku bankowym, tylko zadłużenie, niezbyt duże, ale jest. Przynajmniej na oficjalnym koncie – zawiesił głos. – Bo cholera wie, czy nie ma gdzieś jakiegoś tajnego, z którego nie zwierzał się urzędowi skarbowemu. Co prawda, nic na to nie wskazuje, żył raczej skromnie, tyle że pić miał za co. Mieszkanie faktycznie nie należało do niego, już się skontaktowaliśmy z właścicielem. Natomiast co do jego źródeł dochodu pewne jest, że niejeden grzeszek miał na sumieniu: udział w handlu antykami na czarnym rynku, lewe ekspertyzy, choć konkretów nie mamy. I – uwaga! – znów płacze nam się tu tajemniczy cudzoziemiec, ten też miał podejrzone kontakty. A do tego rok temu przebywał przez jakiś czas we Włoszech, Grecji, a także... w Hiszpanii!

– O! – zdziwił się Emil. – O tym nawet ten kuzyn nie wspominał.



– Pewnie nie wiedział. Pelczyk podróżował mniej więcej przez dwa tygodnie. Niby służbowo, tak mówił ludziom z branży, ale żadnego potwierdzenia na to nie znaleźliśmy. Żadnych śladów oficjalnej współpracy z żadną instytucją, z kimkolwiek. Tyle że wyjeżdżał, a potem, już po powrocie, kontaktował się z jakimś obcokrajowcem. Albo obcokrajowcami. Dokładnie tak samo jak Bernacki i Zdanowski.

– Ciekawe...

– Ale najciekawsze zostawiłem ci na sam koniec. Zgadnij, co nasz techniczny znalazł na dysku Pelczyka!

– Udało się go odzyskać?

– Częściowo. Zgadujesz?

– Nie, oszczędź mi zagadek. Wal.

– Mnóstwo plików z dziecięcą pornografią! I z chłopcami, i z dziewczynkami, widać nie przebierał, choć z dziewczynkami miał więcej. Skurwiel popieprzony...

Żądło gwizdnął.

– O żesz... No to mamy już wyjaśnienie tajemnicy jego orientacji seksualnej. Po prostu lubił dzieci. Zboczeniec. – Skrzywił się. – Cholerny pedofil. Myślicie, że to ma coś wspólnego z tymi morderstwami?

Komisarz odarł zniechęcony.

– Na to bym nie przysięgał. Nic kompletnie nie wskazuje, że to samo dotyczyło obu poprzednich. Pod tym względem byli raczej czyści. Więc niekoniecznie. Rzeczony filmiki przekazaliśmy do obyczajówki, niech też się tym zajmą. Ale co do motywu zbrodni nadal skupiamy się raczej na czarnym rynku sztuką.

– Nie sądzisz, że to zbyt proste? Znaleźliście cokolwiek, jakąś korespondencję na ten temat, notatki?

– Uspokój się, Żądło! Poza tym głównym nic ciekawego nie znaleźliśmy. Tak jak poprzednio. Więc wszelkie podejrzone kontakty musieli w inny sposób uskutecznić. Może na pysk. Bo że się kontaktowali, to pewne. A ty nie świruj, tylko daj nam pracować.

– Jasne.

– Rób swoje, jeśli chcesz, ale my musimy się trzymać realiów – dodał jeszcze stanowczo policjant.

– Oczywiście. Już nie wrzeszcz.

– Słuchaj... – Zebra zmienił temat. – Kiedy my się zetknęliśmy po raz pierwszy z tym wątkiem hiszpańskim? Bo już mi się wszystko pierdoli. Nie przy okazji tego hotelu, to znaczy zamku, w którym Marta była ze Zdanowskim?

Dziennikarz zastanowił się przez moment.

– Dokładnie tak – odparł. – Mielicie znaleźć tę kancelarię adwokacką.

– No właśnie. Jutro się tym zajmę. A ty jeszcze raz przepytaj Martę i... mam dla ciebie kolejne zadanie. Jedź tam, na miejsce, i węż.

– W tym pałacu?

– W pałacu, obok pałacu, we wsi, gdzie się da.

– Masz załatwione.

– No. Muszę się rozłączyć – zakończył komisarz. – Tylko przez cały czas bądź ze mną w kontakcie!

Wieczorem, po kolacji, gdy już zdał Marcie szybką relację z swojej rozmowy ze Świdorskim i wypytał jeszcze raz o pamiętną wizytę w lubickim pałacu, zgodnie ze swoim zwyczajem zabrał się do poszukiwania w Internecie informacji o obiekcie i miejscowości, którą zamierzał nazajutrz odwiedzić. Znalazł na pierwszy rzut oka mnóstwo odnośników, jednak dopiero gdy zaczął je kolejno sprawdzać, stwierdził, że większość z nich się powtarza. W sumie dużo tej wiedzy nie było, ale – jak doszedł do wniosku – wieś Lubice była w końcu niewielka i chyba zawsze mało znacząca. Ot, jedna z wielu historycznych wiosek. Położona na uboczu, dawno temu jako część ogromnego folwarku należącego pierwotnie do Krzyżaków, potem przez krótki czas do zakonu brygidek; przechodziła więc z rąk do rąk, aż przekazana została miastu Gdańsk, które z kolei podarowało majątek patrycjuszowskiej rodzinie von Werków. Przez dwa ostatnie stulecia wieś należała właśnie do tego rodu. To któryś z von Werków wybudował w końcu osiemnastego wieku dwór, a raczej pałac, bo budynek był kilka razy przebudowywany. W swej podstawowej bryle ostał się on do dziś, choć po wojnie, a zwłaszcza po PGR-owskim „epizodzie” – raczej

w opłakanym stanie. Emil spisał zabytki ruchowe i nieruchome powiązane z tym miejscem. Resztki architektury wewnątrz, elementy dawnego parku, zrujnowana altana, szczątki starej fontanny. Wiele się tego nie uzbierało, ale... Już miał zamknąć komputer, gdy naraz natrafił na informację, która go dosłownie zelektryzowała.

– Marta! – zawołał. – Marta, chodź no tu szybko!

– Co jest, pali się? – Zajrzała do pokoju. – Chciałam myć głowę...

– Mówiłaś, że nie wiadomo, gdzie mieszkał Karl David Jonston?

To ten mason armator, prawda?

– Ten sam. A co?

– No więc przynajmniej przez dwadzieścia pięć lat mieszkał w Lubicach – oznajmił z tryumfem. – Kupił ten pałac od niejakich von Werków w dwudziestym roku i mieszkał tam praktycznie do końca wojny. Aż został zamordowany przez ruskich w czterdziestym piątym. Z całą rodziną. Widocznie wzięli go za niemieckiego obszarnika.

Marta osłupiała.

– O rany... Ale ze mnie idiotka! – odezwała się w końcu. – Oczywiście, o von Werkach wiedziałam. Wszędzie podają, że to był ich pałac, o ostatnim właścicielu nigdzie nie wspominają nawet słowem. Widocznie uznali to za mało istotne w dziejach miejscowości. Rzeczywiście, często się tak działo w latach dwudziestych, stare rody ubożały, rodziła się nowa klasa... finansjera... Mnóstwo starych obiektów wtedy przeszło z rąk do rąk. Ale jaja! To sensacja, Emil! Wszystko nam się wiąże...

[1] Platon, *Timajos, Kritias albo Atlantyk*. Przełożył Paweł Siwek. PWN, Warszawa 1986.

## Rozdział 11

Położona niedaleko od Gdańska wieś Lubice rozczarowała Emila. Położona wzdłuż bocznej szosy, niewielka, raczej nieciekawa, prawdę mówiąc: wręcz brzydka – głównie z powodu ohydnych i do tego zapuszczonych postkomunistycznych betonowych baraków, obecnie przerobionych na mieszkalne bloki. Te szare i brudne slumsy z odpadającym tynkiem i sprośnymi prymitywnymi graffiti nadawały, niestety, ton ponuremu wizerunkowi całej miejscowości, skądinąd pięknie położonej pośród łąk i zalesionych wzgórz. Gdyby ktoś wreszcie wyburzył to paskudztwo i zagospodarował teren, mogłaby okazać się całkiem malownicza, doszedł do wniosku, próbując zdobyć się na obiektywizm. Znał już plan okolicy, wiedział więc, jak dojść do zabudowań danego pałacu, który położony był – na szczęście – na uboczu i osłonięty starymi drzewami dawnego parku. Ale gdy dotarł na miejsce, ponownie ogarnęło go przygnębienie. Pałacem to ten budynek był już tylko we wspomnieniach. W rzeczywistości wyglądał raczej jak na wpół zrujnowana stajnia z licznymi powojennymi dobudówkami. Być może zresztą w niedawnej przeszłości pełnił między innymi i taką funkcję, choć przynajmniej część przeznaczona była podobno na pomieszczenia biurowe i magazynowe. Może dzięki temu w ogóle się uchowała. Owszem, w murach zachowały się resztki świetności, trzeba było jednak wielkiej ilości dobrej woli, by je w ogóle dostrzec. Dziennikarz pomyślał, że przekazanie tego obiektu prywatnemu inwestorowi to rzeczywiście jedyny ratunek dla starego budynku. Byle

tylko ktoś zechciał go wziąć. Podobnie jak sam „pałac” prezentował się park. Jedynie otaczające go drzewa – rozpoznał chyba lipy i kasztanowce – wciąż prezentowały się imponująco. Reszta to zdziczała trawa, błoto, biegające po nim kury i – gdzieś tam – żalosne szczątki dawnej architektury ogrodowej. Resztki fontanny służyły chyba za koryto. W piachu, przy rozpadającej się małej budzie, na grubym łańcuchu uwiązany był nieduży, zrezygnowany, zobojętniały chyba już na wszystko chudy kundelek. Równie brudny jak wszystko dookoła, tak że trudno było stwierdzić, jakiej jest maści. Pies nawet nie zareagował na jego widok. Emil ruszył w stronę wejścia i już po chwili wdepnął w odchody. Poczul je szybciej, niż zobaczył: miał tylko nadzieję, że były zwierzęce. Wytarł but o resztki trawy i wzdrygnął się. Teraz zrozumiał, dlaczego obiekt nie został wpisany na listę zabytków. Po prostu z zabytku niewiele już tu zostało. Zapomniał zapytać Marty, co się tu w tej chwili mieści i czy ktoś pilnuje obiektu. Zanim jednak wystukał jej numer w telefonie, z bocznej dobudówki wyszła jakaś starsza kobieta, w fartuchu i drewniakach.

– A pan tu czego szuka? – zapytała nieprzychylnie.

Dziennikarz przedstawił się, udając turystę zainteresowanego zabytkami regionu.

– Tyle czytałem o tym miejscu, że, będąc tu przejazdem, postanowiłem na własne oczy obejrzeć pałac – powiedział z niewinnym uśmiechem. – Piękna okolica! Pani tu może mieszka...? Pracuje?

Kobieta popatrzyła na niego jak na wariata.

– A mieszka, mieszka. Jeszcze mieszka. Od czterdziestu lat mieszka! Już za pęćdziesiąt tu byłam, za brygadzystkę – oznajmiła z dumą.

– Potem mi lokum zostawili. Choć już pewnikiem nie za długo.

– To własność gminy, tak? Słyszałem, że ma tu być hotel? A może muzeum?

– Hotel czy co, jeden szajs! – Kobieta splunęła ze złością. – Ino gdzie my pójdziemy, to nie wiem. Mają nam dać jaki lokal zastępczy. Tak mówią, choć ja tym urzędasom za grosz nie wierzę. Na co komu taka ruina, panie, ja się pytam, ale... – machnęła ręką – i tak zrobią, co chcą, byle tylko szmal dostać i kłopot z głowy! Tfu!

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– A mógłbym obejrzeć pałac od wewnątrz? – zapytał.

– Jest zamknięty – odparła. – Klucze mają w gminie. Ale tam nie ma czego oglądać, mówię panu! Pusto, rudera i tyle. O, stąd tylko można zajrzeć, pan idzie za mną! – Zaprowadziła go wydeptaną ścieżką pod wąskie parterowe okno wychodzące na niewielki ganek, z którego tylko kolumnienki pozostały oryginalne. Było to jedyne okno budynku niezabite deskami lub dyktą. Mimo matowej od brudu i pękniętej szyby coś jednak można było przez nie dojrzeć. Rzeczywiście: puste wnętrza, pozostałości prawdopodobnie marmurowej posadzki, zacieki na ścianach, smutne resztki stiuków. – Tyle co widać, tak samo jest wszędzie – dodała niechętnie kobieta.

– A na piętrze?

– Tam, panie, jeszcze gorzej! Zresztą strach chodzić, schody się zawaliły, zrobili prowizorkę, ale i tak strach. No i dach przecieka, tam często woda stoi.

Gospodyni zawróciła na podwórko, poszedł więc za nią. Tym razem uważnie patrząc pod nogi. Już na ścieżce zagadnął.

– Są tu może jakieś podziemia?

– Piwnice są, ale też puste. A co pan tak przepytuje? – Zatrzymała się nagle i przyjrzała mu się podejrzliwie.

– A tak tylko, z ciekawości. Zawsze mnie interesowały stare budowle. Legendy z nimi związane...

– Też mi! – Zarechotała pogardliwie. – Akurat jest się czym ciekawić. A legend tu żadnych nie było. Ostatniego właściciela ruskie zaciukali, ale o tym dopiero tera wolno gadać. To żadna legenda, ino prawda. Zresztą dobrze zrobili, bo to szkop był. Tu same szkopy wtenczas były. I na co czynić fanaberie z tą chałupą, pytam ja się?

Uśmiechnął się polubownie.

– Ale może jednak warto ratować ten budynek? – zasugerował, starając się nadać swym słowom ton prostodusznej wielkoduszności naiwniaka z miasta. – Przy odrobinie starań można by...

Kobieta nie słuchała go dłużej. Prychnęła szyderczo i zawróciła ostentacyjnie w stronę swej oficyny.

– Pan se lepiej nad jezioro idzie, a nie tu się płacze! Dość już miastowych mi się tu kręci! Tu nie wesołe miasteczko do oglądania

sobie! Jeszcze tu mieszkam! – krzyknęła, nie odwracając się.

– Proszę pani, chwileczkę! – Ruszył za nią. – Tylko jedno pytanie... Gdzie mogę dowiedzieć się czegoś o historii pałacu? Może jakieś materiały zdobyć?

Przystanęła, obrzucając go złośliwym spojrzeniem.

– A pan może też chciałby toto kupić, co?

– Nie, nie, mnie na to nie stać. Interesuje się historią, więc...

– A do gminy pan idź! To one tam tym rządzą! – Z furją zatrzęsnęła mu drzwi przed samym nosem.

Rzucił jeszcze raz okiem na smutny widok zrujnowanego pałacu i zawrócił do samochodu. Tu już nic więcej nie wskóra. Może jeszcze popyta mieszkańców wioski, potem rzeczywiście pojedzie do urzędu gminy. Sprawdził godzinę: dopiero minęło południe. Powinni jeszcze pracować.

Zanim wyruszył, przespacerował się chwilę polną drogą. Nikogo na niej nie spotkał – dookoła ciągnęły się same nieużytki – skierował się więc w stronę centrum wsi. Idąc, zatelefonował do Marty, by zdać jej wstępną relację na gorąco. Gdy opowiedział o babci „pałacowej”, roześmiała się.

– No tak, pamiętam ją! Chyba nawet opowiadałam ci o niej? Jeśli to ta sama, a raczej tak, to i tak miałeś wielkie szczęście! Do nas nie odezwała się ani słowem. Rzuciła tylko wrogie spojrzenia. Myślałam nawet, że to niemowa...

– Bo wy od początku byliście jej osobistymi wrogami – odparł. – Pewnie myślała, że to przez was wyrzucą ją z mieszkania.

– Pewnie tak – przyznała. – Ale chyba jej nie podejrzewasz? Raczej nie przypuszczam, żeby mordowała ludzi, choć kto wie, takie babcie potrafią człowieka zaskoczyć. Swoją drogą, ma podobno dostać lokal zastępczy. Z pewnością i tak lepiej na tym wyjdzie. Powinna się modlić, żeby doszło do sprzedaży pałacu.

– Ale pani pracowała w pegieerze, więc sentyment jej został. Myślisz, że do sprzedaży może nie dojść?

– Trudno powiedzieć. Rozmawiałam z Zebrą. Podobno ten

hiszpański inwestor zamierza się wycofać.

Emil przystanął na skraju łąki i zagajnika.

– To znaczy, że udało mu się skontaktować z tą kancelarią prawną?

– Tak. Ale niczego więcej się nie dowiedział, kancelaria zasłania się inną kancelarią adwokacką, z Sewilli. To podobno oni ich wynajęli. Nazwiska inwestora ci z polskiej kancelarii nie znają. A ci hiszpańscy zasłaniają się ochroną klienta. Który i tak stracił zainteresowanie transakcją.

– Dziwne...

– No dziwne – zgodziła się z nim. – I w sumie szkoda. Temu budynkowi przydałby się inwestor. Inaczej nie ma szans na przetrwanie.

– Chyba że to była tylko zasłona dymna... – zastanawiał się Emil.

– Co masz na myśli?

– Podejrzenie to się wszystko kręci... Ale porozmawiamy o tym w domu. Chcę jeszcze zdążyć do gminy, spróbuję ich wypytać, może coś wiedzą.

– Chyba już rozumiem. Masz rację. Rozpytaj też ludzi. Zawsze są jakieś plotki, a czasem może w nich tkwić ziarno prawdy.

– Jasne. Jestem właśnie we wsi, na horyzoncie widzę sklepik. Sklepowe w małych miejscowościach wiedzą wszystko.

– No to powodzenia..

Ta jednak nie wiedziała. A przynajmniej nie miała ochoty dzielić się wiedzą. Możliwe zresztą, że sprawa starego budynku naprawdę nikogo tu nie obchodziła. Pomarszczony pijaczek spod sklepu również spławił go dość opryskliwie, twierdząc, że gdzieś ma, czy tu będzie hotel, czy inne wydziwy. Emil zostawił więc niegościnną wioskę w jej pozornym, sennym spokoju i zawrócił do auta. Po pięciu minutach znalazł się przed urzędem gminy Trzmielów.

Ładny, nowy budynek z wypielęgnowanym trawniczkiem od frontu wzbudzał zaufanie, podobnie zresztą jak całe miasteczko, czyste i zadbane. Godziny urzędowania jeszcze nie minęły, odnalazł nawet w wydziale inwestycji młodego urzędnika, o dziwo: płci męskiej, odpowiedzialnego między innymi za nieruchomości gminne, który



przyjął go grzecznie, lecz równie grzecznie poinformował, że w kwestii pałacu żadnych informacji nikomu nie udzielają. Im bardziej gość nalegał, tym bardziej urzędnik szedł w zaparte. W końcu zdradził jedynie, że tożsamości inwestora nie znają, a sprawa ewentualnej sprzedaży znajduje się dopiero w fazie wstępnej. I wcale jeszcze nie przesądza ona o losach pałacu, bo być może pozostanie on ostatecznie w rękach gminy z przeznaczeniem na placówkę kulturalną, na przykład muzeum regionalne. Albo kameralną salę koncertową, bo i takie jest zapotrzebowanie. To tylko kwestia remontu, ale urząd i tak ubiega się o dotację z Unii Europejskiej. Ostateczne decyzje jeszcze nie zapadły. Emil zdecydował się wreszcie użyć ostatecznego argumentu i oficjalnie okazał facetowi swą legitymację dziennikarską. Na widok nazwiska Żądło urzędnik zmiękł. By z twarzą pozbyć się kłopotu, podyktował Emilowi kontakt do radnego, który bezpośrednio nadzoruje sprawę transakcji. Następnie uprzedził, że pan Jarosław Kowalski – bo tak zwał się radny – może być w sezonie urlopowym słabo uchwytny, jednak można go łąpać na telefon. Jeśli ktokolwiek posiada wiarygodne informacje w tej sprawie, to tylko on – zapewnił na koniec. Żądło podziękował i opuścił urząd.

Na trasie w kierunku Gdańska, tuż za granicą miasteczka z kolonią zwaną Nowe Budy, natknął się na widok, który spowodował, że zatrzymał się raptownie i cofnął kilkanaście metrów do tyłu. W nieco zapuszczonym, lecz malowniczym ogrodzie otaczającym piękny stylowy dom z bali stały pośród bujnej zieleni rzeźby ogrodowe z udającego marmur cementu. Sprawiały wrażenie zagubionych w buszu. Było ich kilka. Różne: anioł i diabeł, jakiś maskaron z mackami niczym ośmiornica przy miniaturowej fontannie z kranem. Ciekawe i całkiem nieźle wykonane. Lecz to nie one spowodowały przyspieszone bicie serca w piersi Emila Żądła. Jedna z rzeźb, największa, wyobrażała wolno stojącą postać kobiecą, w długiej szacie, z dziwacznymi nausznikami po obu stronach twarzy, które coś mu przypominały... Wyskoczył z wozu i nie bacząc na nic, wykonał kilka zdjęć telefonem komórkowym. Na tej czynności przyłapał go gospodarz obiektu.

– Przepraszam, podobają się panu moje figury? – Usłyszał zza niskiego żywopłotu.

Po drugiej stronie ogrodzenia stał uśmiechnięty mężczyzna w średnim wieku, ubrany w zielone szorty i kraciastą koszulę z krótkim rękawem, w filuternym płóciennym kapelusiku osłaniającym głowę. Ogorzały, na twarzy miał starannie wypielegnowany zarost, a na nosie drucziane przeciwsłoneczne okulary. Już na pierwszy rzut oka sprawiał zdecydowanie sympatyczne wrażenie. Ani trochę nie wyglądał na zdenerwowanego, przeciwnie – raczej na rozbawionego.

– Proszę o wybaczenie, ale... bardzo mi się podobają! – podchwycił Emil. – Nie mogłem się opanować, zrobiłem zdjęcie dla żony. Szczególnie ta... Niezwykła i oryginalna, nie wygląda na taśmową produkcję. Właśnie czegoś takiego szukam do swojego ogrodu. Czy one są może gdzieś na sprzedaż? To lokalne rzemiosło? Nie orientuje się pan?

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Cieszę się, proszę sobie fotografować do woli. Mnie też się one podobają. Ale nie pomogę panu za wiele. Prawdę mówiąc, kupiłem ten dom dopiero w zeszłym roku, razem z tymi rzeźbami. To właśnie one, no i ten ogród, a raczej cała ta ogrodowa kompozycja, przesądziły o ostatecznym wyborze, bo ofert było więcej, naprawdę trudno się było zdecydować. Dom ładny i niedrogi, w dobrym stanie, owszem, tyle że stoi bezpośrednio przy szosie, a to jednak mankament, to ruchliwa trasa. Dopiero się przyzwyczajam. Ale w tym przypadku zwyciężyła zdecydowanie moja artystyczna dusza! – roześmiał się. – Sam jestem artystą, zawodowym, maluję obrazy i wykładam w szkole plastycznej. Te figury mnie ujęły. Poprzedni właściciel miał dobry gust. Z tego, co mi wiadomo, tak, to najprawdopodobniej wyrób lokalny. Jest tu w okolicy kilku artystów, powiedzmy: ludowych, którzy rzeźbią w drzewie lub robią takie właśnie odlewy. Ale – rozłożył ręce – to wszystko, co mogę powiedzieć. Może gdyby pan wypytał ludzi w miasteczku...

– Bardzo dziękuję, zrobię tak – odparł. – A czy... poprzedni właściciel był tutejszy?

– Tak, to urzędnik z tutejszej gminy. Nie utrzymujemy kontaktów,

ale mogę panu podać numer telefonu... o ile jest aktualny. To była służbowa komórka, więc nie mam oporów. Chwileczkę... O, mam go w książce adresowej. Nazywa się Kowalski...

Emil w pierwszej chwili dosłownie zaniemógł. Numer się zgadzał – sprawdził od razu w swoim telefonie – nazwisko też. Za dużo tych zbiegów okoliczności, pomyślał. Nie dał jednak niczego po sobie poznać.

– Naprawdę bardzo dziękuję za pomoc – powiedział tylko. – Skontaktuję się z tym panem, może od niego dostanę namiar na artystę. I jeszcze raz przepraszam najmocniej za to wtargnięcie w pańską prywatność.

– Ależ nie ma za co! To miłe, kiedy ktoś zauważa rzeczy cieszące oko. Powodzenia życzę w poszukiwaniach.

– Kłaniam się!

Dziennikarz zanotował sobie w pamięci numer posesji, pomachał jeszcze z samochodu sympatycznemu gospodarzowi, po czym – wciąż ożywiony – ruszył z powrotem do domu. Pomyślał, że to najciekawsze, co przywiezie z tej wyprawy.

Marta oglądała zdjęcia, które Emil od razu zrzucił do komputera, ze zmarszczonymi brwiami. Nie była pewna. Fakt, że fotografie nie były zbyt wyraźne, wykonane zostały na szybko telefonem komórkowym w małej rozdzielczości – Emil wolał nie afiszować się przy cudzej posesji z aparatem fotograficznym – a w dodatku figury stały w cieniu, częściowo zasłonięte roślinnością.

– Sama nie wiem – powiedziała. – Na pierwszy rzut oka masz rację, przypomina iberyjskie damy. To przystrojenie głowy... Sugestywne. Ale z drugiej strony, to może być czysty przypadek. Nie widzę dobrze... Szkoda, że nie mogłeś podejść bliżej. Może twórca chciał pokazać kobietę w czepcu, albo w jakimś stroiku na głowie, a przypadkiem wyszedł mu taki efekt? Do tego, popatrz: to jest stojąca postać. W całości. Znane nam damy to zazwyczaj popiersia, tylko jedna przedstawia całą sylwetkę, ale w charakterystyczny sposób, na siedząco. Mówiłam ci, podobnie jak w przypadku rzeźb etruskich. Żadna nie stoi.

Skąd by ktoś sobie wytrzasnął taki wzorzec, jeśli chciałby wykonać kopię takiej, powiedzmy, Damy z Elche?

Emil upierał się przy swoim.

– Może te zdjęcia wyszły słabo, ale ja ją widziałem na żywo. Wierz mi, to była ona! Ta Dama. Jestem tego pewny. Prawie pewny. No, może na dziewięćdziesiąt procent...

– A nie chcesz po prostu, żeby tak właśnie było?

– Marta, ja już prawie zapomniałem te rzeźby. Nie myślałem o nich. Po prostu rzuciła mi się w oczy po drodze i aż mnie zastopowało!

Marta jeszcze raz z powątpiewaniem przejrzała fotografie, porównując je ze zdjęciami oryginalnych hiszpańskich posągów.

– No może... – Poddała się w końcu. – Przyznaję, że podobieństwo jest uderzające. Ale jeśli tak jest... czekaj, jaki z tego wniosek?

– Że to się wszystko łączy – odparł krótko.

– Tyle to i ja rozumiem. Tylko próbuję to sobie uporządkować. Mówisz, że ten gość, który tam aktualnie mieszka, wydaje się czysty. A poprzednim właścicielem, tym, który kupił lub zamówił gdzieś te rzeźby ogrodowe, jak rozumiem, był radny, ten sam, co teraz zajmuje się sprawą pałacu?

– Dokładnie tak.

Marta chwyciła się za głowę.

– Wariuję od tego – mruknęła. – Urzędnik od pałacu, należącego przed wojną i jeszcze w czasie wojny do założyciela loży masonskiej „Nasza Pani”. Loży mającej hopla na punkcie archeologii i Tartessos, które uważali za Atlantydę. Dama z Elche, podobnie jak inne podobne damy, to niemalże symbol kultury iberyjskiej, identyfikowanej z tartessyjską...

– Trochę za dużo tych zbiegów okoliczności, nie sądzisz? – wtrącił.

Westchnęła.

– Fakt. Za dużo. Coś w tym musi być. Czyli wracamy do masonów?

– Tego nie powiedziałem. Może nie dosłownie. Ale wszystko wskazuje, że trop wiedzie właśnie w tym kierunku.

– Ale nie myślisz chyba, że jakiś wiejski radny jest lokalnym

masonem? – Zaśmiała się mimo woli.

– A niby dlaczego nie? – odparował. – Sama mówiłaś, że ruch masoński się odrodził. Może nadal działa jakaś sekta, która się uważa za lożę? Pamiętaj też o tajemniczym hiszpańskim inwestorze. To przypadek, że akurat hiszpańskim? Kolejny zbieg okoliczności?

– Więc co teraz zamierzasz?

Emil wzruszył ramionami i wyłączył komputer.

– Spotkać się z nim i wy badać.

– Myślisz, że to może być...

– Nasz zabójca? Nie można tego wykluczyć.

Zamilkli na chwilę.

– Proszę cię, uważaj – odezwała się w końcu Marta. – Jeśli masz rację, to pamiętaj, że to może być niebezpieczny człowiek. Zdeterminowany. Nie podkładaj się, bądź ostrożny. Obiecuj.

– Kochanie, oczywiście! Chcę z nim tylko pogadać, głównie o pałacu. Neutralnie. Nie zamierzam wydać się, że cokolwiek wiem. Będę udawał po prostu wścibskiego pismaka. Którym w końcu jestem. – Puścił do niej oko.

– Powiesz o tym Markowi?

– Powiem. Jeśli mnie się nie uda z nim dogadać, to może policja do niego dotrze.

Z aprobatą pokiwała głową i wstała, by rozprostować kości.

– Tak sobie dziś rozmyślałam – dodała. – Może to tam, w tym pałacu była siedziba loży? Co prawda, nic na to nie wskazuje. Ale kto wie, ten budynek jest przecież mocno zdewastowany, część pomieszczeń całkowicie zniszczono w czasach Peerelu, a pod koniec wojny jedno z jego skrzydeł spalili Rosjanie. Może w tym kierunku też warto byłoby go jeszcze raz zbadać? Jakby co, mogłabym pomóc.

– Świetny pomysł! – zapalił się dziennikarz. – Muszę o tym też pogadać z Zembrą. Być może udałoby się zdobyć jakiś nakaz... A te hipotetyczne podziemia? Intrygują mnie. Co o tym sądzisz?

– Zdanowski to sprawdzał, twierdził, że nie było tam żadnych podziemi ani zamurowanych tajnych komnat. Tylko zwyczajne piwnice – odparła.

– Ale może się mylił? Może nie sprawdził dokładnie? Przecież

robił to pobieżnie! Tylko raz tam byliście...

Wzruszyła ramionami.

– Ze mną był raz – sprostowała. – Ale wcześniej już parę razy jeździł do pałacu sam. To było jego zadanie. Przypuszczam, że dobrze mu się przyjrzał.

– Okej. – Emil skapitulował. – Ale gdyby doszło co do czego... chodzi mi o ewentualne powtórzenie badań... to warto by się było przyjrzeć tym piwnicom jeszcze raz. Tymczasem jutro spróbuję złapać kontakt z panem radnym. A ty, jeśli dasz radę, wróć do historii łoży. Poproś tego kolegę. Może coś nowego wyłapiecie?

– Jasne – zgodziła się. – Nie zapominaj tylko, że za tydzień przyjeżdża na wakacje twój syn...

\* \* \*

Emil postanowił poinformować Zebkę, dopiero gdy już rozmówi się z radnym. Może wtedy będzie miał jakieś konkrety, inaczej komisarz zbagatelizuje sprawę. Jednak – zgodnie z tym, co zapowiedział urzędnik – Kowalski był nieuchwytny. Jego komórka albo nie odpowiadała, albo była zajęta, albo w ogóle wyłączona. Dziennikarz nie chciał nagrywać się na pocztę głosową, wolał złapać radnego bez uprzedzenia, bo inaczej lokalny bonza mógłby w ogóle nie chcieć z nim rozmawiać. Tymczasem zadzwoniła z redakcji Ewa, oznajmiając dramatycznym tonem, że znowu zadręczał ją Kleczko.

– Chciał się upewnić, czy trop nielegalnego handlu starożytnościami jest prawdziwy. Tak podobno sugerowała rzeczniczka policji na konferencji prasowej. Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć, obiecałam, że cię zapytam, bo inaczej nie dałby mi spokoju...

– Potwierdź, ale enigmatycznie – podpowiedział jej po namyśle. – Wtedy uwierzy. I niech się tego trzyma.

Ewa była naprawdę bystrą i wyjątkowo inteligentną dziewczyną, w mig załapała, o co mu chodzi.

– Dobra, dzięki. On cię nazywa „jadowite żądło”. – Zachichotała.

– Mam to w dupie. Co w redakcji? I co u was?

Ewa nabrała oddechu.

– W redakcji w porządku, jakoś ciągniemy. Czekamy, aż do nas wrócisz, bo nudno bez ciebie. A u nas... powiem ci przy okazji, bo to nie na telefon...

– Chyba się nie rozwodzicie od razu po ślubie?! – zażartował, bo nigdy by w to nie uwierzył. Oboje byli w sobie na zabój zakochani.

– Nie, no coś ty! – uspokoiła go. – Wręcz przeciwnie... Przepraszam, muszę kończyć, bo dzwoni stacjonarny. To pewnie ktoś od reklamy! Na razie, Emilku!

Rozłączyła się. Jeszcze raz – choć nie przewidywał sukcesu – wcisnął klawisz, pod którym miał zapisany numer radnego. Ku swemu zdziwieniu już po dwóch sygnałach usłyszał krótkie, ostrym tonem rzucone:

– Tak?

Głos był raczej młody. Facet poniżej pięćdziesiątki, może nawet poniżej czterdziestki – ocenił Emil.

– Dzień dobry. Nazywam się Emil Żądło, jestem dziennikarzem z Gdańska. Czy rozmawiam z panem radnym Kowalskim?

– Tak?

*Czy ten człowiek nie zna innych słów?* – pomyślał, głośno natomiast wyjaśnił zwięźle, przeczuwając, że jego rozmówca do gadatliwych nie należy.

– Chciałbym zadać panu kilka pytań w sprawie pałacu w Lubicach.

– Pan wybaczy, spodziewałem się innego telefonu. – Okazało się, że urzędnik jest jednak bardziej elokwentny, niż mogło się zdawać na początku, choć jego ton nadal był ostry i pełen niechęci. – Jeśli chodzi o Lubice, nie mam nic do powiedzenia poza tym, co i tak może pan znaleźć na naszej oficjalnej stronie internetowej.

Emil znał tę stronę. O pałacu nie było nic, poza krótką wzmianką o możliwości sprzedaży obiektu z przeznaczeniem na ekskluzywny punkt hotelowo-gastronomiczny, który zapewni mieszkańcom gminy nowe miejsca pracy. Na forum toczyła się także mało zaangażowana i dość jałowa dyskusja w kwestii remontu starego budynku i czy nie lepiej by było przeznaczyć go na obiekt kulturalny. Gmina jednak nie była w stanie – przynajmniej na dzień dzisiejszy – wyłożyć kwoty

potrzebnej na renowację zabytku, który oficjalnie nawet zabytkiem nie był. To wszystko.

– Rozumiem, ale mimo wszystko chciałbym porozmawiać – powiedział. – Interesuje mnie ten pałac szerzej, nie tylko plany gminy wobec niego, ale także jego historia oraz kwestie architektoniczne związane z tym budynkiem. Piszę na ten temat reportaż. Byłbym wdzięczny za pomoc.

– Panie... Żądło... Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że jestem na urlopie, zajmuje pan mój czas prywatny.

*Bufon* – pomyślał Emil z niesmakiem.

– Przykro mi. W takim razie kto, poza panem, mógłby mi pomóc?

Urzędnik zamilkł na chwilę, widocznie zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Proszę zadzwonić do mnie jeszcze raz za kilka dni. Może wtedy znajdę dla pana chwilę – odparł w końcu.

– Doskonale. Przy okazji, jeśli pan pozwoli... mam do pana jeszcze jedno, tym razem najzupełniej prywatne pytanie – zaryzykował dziennikarz. – Podobno do pana należał wcześniej taki piękny drewniany dom na osiedlu Nowe Budy...

– Tak?

– Interesują mnie rzeźby ogrodowe przy tym domu. Szczególnie jedna. Czy wykonał je któryś z lokalnych rzemieślników?

– Nie przypominam sobie – głos momentalnie się zmienił. Teraz był jeszcze zimniejszy. Zimny jak sople lodu, równie ostry. – Nie sądzę. Zdaje się, że zamawiałem je z katalogu. A na co panu ta informacja?

– Chciałbym sobie też taką zamówić. Szkoda, że pan nie pamięta... Więc kiedy moglibyśmy się spotkać?

Milczenie. Gdy już myślał, że facet się rozłączył, ten odezwał się krótko.

– Jutro, punktualnie o siedemnastej. W barze „Kuźnia” obok urzędu gminy. Żegnam.

Tym razem Kowalski, nie czekając na odpowiedź dziennikarza, naprawdę przerwał połączenie.

– *Bufon* – powiedział Emil do siebie raz jeszcze, tym razem na głos. Bardziej nawet rozbawiony niż zirytowany.



\* \* \*

Mężczyzna zagłębił się w las. Samochód pozostawił w leśnej zatoczce, na czymś w rodzaju zaimprovizowanego parkingu. Tam, osłonięty drzewami, nie rzucał się on w oczy od strony szosy i był raczej bezpieczny. Mało kto tędy przechodził, nawet za dnia, nie było tu nawet porządnego pobocza. A o tej porze i auta przejeżdżały już tylko sporadycznie, zapadła noc. Uspokoił oddech. Miał po pokonaniu około pół kilometra wijącą się pod górę ścieżką. W ciemnościach nie było to łatwe, choć na szczęście dobrze znał drogę: spotkali się tu już kilka razy. Mimo że przyświecał sobie latarką, już zdążył dwukrotnie potknąć się o pnie i korzenie. Zaklął, gdy jakaś gałąź uderzyła go boleśnie w policzek. Trudno. Za godzinę będzie po wszystkim. Problem z głowy. Byle tylko nie spanikować, nie dać się zwieść. Wzdrygał się za każdym razem, słysząc trzask konarów czy zgrzytliwe skrzypienie starych drzew. Od czasu do czasu poderwał się gdzieś w górze nocny ptak. Nie sposób zresztą ogarnąć wszystkich odgłosów natury. Jestem przewrażliwiony – pocieszył się. To tylko las. Za chwilę będzie na miejscu. Jeszcze tylko ta stroma górka, potem płytka niecka, od wieków zasłana wyściółką z zeschniętych liści, i jeszcze raz pod górkę, na niewielką polanę. Jeszcze kilka kroków... Już. Omiótł plankę latarką. Pusto. Wszystko w porządku, jest przed czasem. Odsapnął i zapalił papierosa. Normalnie nie palił już od lat, tylko wtedy, gdy był zdenerwowany. A był zdenerwowany. Wymacał ręką w kieszeni i uspokoił się dopiero wtedy, gdy jego palce zacisnęły się na starym sprężynowym nożu, upominku od pewnego znajomego Nepalczyka. Wiedział, że nie wolno takich rzeczy posiadać bez zezwolenia, nie zamierzał się jednak z tym ujawniać. Ot, pamiątka. Do tej pory po prostu gadżet z podróży, jeden z wielu. Sporo podróżował, z każdego wyjazdu przywoził sobie jakieś trofea. Tym razem ozdobny przedmiot stał się prawdziwą bronią. Mógł się naprawdę na coś przydać. Tylko ten jeden raz. Znów drgnął, słysząc suchy trzask łamanej gałązki. Czyżby odgłos kroków? Nie, nie. Zdawało mu się. Jeszcze nie. Cisza. Dopalił papierosa do połowy i wdeptał niedopałek w mech.

*Zerknął na markowy zegarek, noszony dumnie na przegubie lewej ręki. Czas mu się dłużył. Jeszcze pięć minut do umówionej godziny. Lekko się zaniepokoił. Może się spóźni? Nie uśmiechało mu się zbyt długie wyczekiwanie w tych ciemnościach. Pragnął mieć to już za sobą. Wrócić do domu, do jasnego mieszkania, żony i butelki dobrego wina. Na szczęście nie było zimno i nie padało, tylko trochę mżyło. Lekki wiatr poruszał od czasu do czasu koronami sosen. Zahuczała sowa. A może to był puszczyk? W każdym razie dość upiorny dźwięk. Ponownie zaświecił latarką – nikogo. Cofnął się pod drzewo, za plecami miał gęste krzewy, przed sobą wolną przestrzeń polany i ścieżkę. Zacisnął dłoń na nożu. Do perfekcji opanował sztukę błyskawicznego odbezpieczenia ostrza. Ćwiczył. Wreszcie poczuł się pewniej. Nikt ani nic go nie zaskoczy. To on panował nad sytuacją...*

\* \* \*

### *Nazajutrz*

Pogryzając suchara z dżemem do porannej kawy, Emil zatelefonował do Zebry. Obiecał Marcie, że powiadomi go o wszystkim, czego dowiedział się w Lubicach i Trzmielowie, zanim spotka się z radnym Kowalskim. Wiedział, że ma rację, zdawał też sobie sprawę z tego, że dla Marty poinformowanie policji oznacza przede wszystkim większe bezpieczeństwo jego samego. Zresztą zgadzał się z tym. Poza tym chciał namówić komisarza, by wystąpił o nakaz oględzin pałacu, a może nawet ponownych badań. Dość długo czekał na połączenie. Gdy już miał zrezygnować, przyjaciel się nareszcie odezwał.

– Słuchaj... – zaczął. – Mam dziś wieczór spotkanie z...

Przerwały mu jakieś trzaski na linii, a po chwili usłyszał na wpół

nieobecny głos Marka Zebry.

– Stary, nie mogę teraz rozmawiać, mamy kolejnego trupa. Jestem właśnie na miejscu zbrodni. Oddzwonię.

– Ale...

– Tak, ta sama sprawa. Na bank. W lesie pod Trzmielowem. Na dodatek, cholera, radny z gminy!

Emil wstrzymał oddech.

– Kowalski?

– Tak. Znasz go?

– Poniekąd...

Ale komisarz już go nie słuchał.

– Muszę kończyć, zadzwonię później – dokończył pośpiesznie i rozłączył się.

## Rozdział 12

– Wychodzi na to, że Kowalski przyszedł na miejsce, gdzie został zamordowany, sam i raczej dobrowolnie. Samochód zostawił kilkaset metrów dalej, na dzikim parkingu w lesie, przy szosie. Był nietknięty, dobrze ukryty, z szosy w ogóle nie było go widać. Według wstępnych ustaleń Kowalski zginął pomiędzy godziną dwudziestą trzecią a pierwszą. Przyjmujemy, że najprawdopodobniej około północy. Na miejscu nasi technicy znaleźli zgniecione liście w miejscu, gdzie stał, ślad jego buta na wilgotnym mchu oraz niedopałek – czyli zapewne czekał na kogoś przez dłuższy czas. Musiał być umówiony, bo na spacer tam chyba nie poszedł. No i raczej nie była to randka. Pogoda do dupy, mżawka, lekki wiatr. Co ciekawe, w kieszeni wiatrówki miał nóż. Sprężynowy. Taki ładny, egzotyczny, wygląda na ręczną robotę. I paczkę papierosów, tych samych, co niedopałek. Morderca prawdopodobnie zaskoczył go od tyłu, od strony zarośli, w których się pewnie ukrywał i obserwował ofiarę, bo Kowalski na ciemieniu głowy ma ranę od uderzenia ciężkim przedmiotem – możliwe, że młotkiem – które musiało go ogłuszyć. Potem sprawca poderżnął mu gardło, dokładnie tak samo, jak w przypadku Pelczyka i Zdanowskiego. Wtedy jeszcze Kowalski żył. Oprócz tego zadał mu jeszcze cios ostrym przedmiotem w brzuch. Pieprzony morderca, rozwija się... – Zebra skrzywił się z niesmakiem. Mogli się spotkać dopiero późnym wieczorem, komisarz zajechał do nich specjalnie, by zdać relację. Sam potwornie zmęczony, odmówił nawet jedzenia, poprosił tylko o mocną

kawę. – Przywiązał go do drzewa, w pozycji pólężącej. Obejrysz zdjęcia z miejsca zbrodni, to sam zobaczysz, jaki to piękny widok. Tak zastały ciało dzieciaki, które tamtędy przechodziły: drogą na skróty przez las, prowadzącą do jeziora. Wcześniej żona zgłosiła zaginięcie Kowalskiego, więc gdy wezwano policję, domyślaliśmy się już, czyje zwłoki zastaniemy na miejscu. Przesłuchaliśmy tę żonę. Młoda kobieta – oboje byli młodzi, niewiele po trzydziestce – ale typowa... że tak powiem... – zerknął niepewnie na Martę – kura domowa. Dumna z pozycji męża, ale niczego nam nie potrafiła powiedzieć, ani czym się zajmował, ani jakie miał zainteresowania, kontakty, nic. Tak jakby w ogóle z nią o tym nie rozmawiał. Zajmuje się wyłącznie prowadzeniem domu, nie pracuje, wykształcenie średnie. On miał wyższe, ekonomiczne. Dzieci nie mieli, nie zdążyli, choć planowali. Jeszcze oczywiście będziemy z nią rozmawiać, na razie kobieta jest w szoku, pod opieką psychologa. Trudno się dziwić, świat jej się zawalił. Bez męża jest nikim, tak powtarzała pomiędzy atakami hysterii. Biedna, choć w sumie... jest jeszcze w tym wieku, że bez problemu może jeszcze ułożyć sobie życie. Kowalskiego ktoś tej szansy pozbawił. No i najważniejsze: sprawca z pewnością ten sam. Nie ma wątpliwości. Na pniu drzewa, do którego przywiązał ofiarę, tuż nad jego głową, odcisnął wiecie co. Swoój cholerny znak. Tę pieczęć, tyle że w wersji okrojonej, bez napisu, sama postać. Widocznie uznał, że już się dość opatrzyliśmy i wiemy, o co chodzi. Tak to wygląda – wyjął notes i zaprezentował naszkicowany piórem kulkowym rysunek:



– Ten sam – potwierdziła Marta.

– Jakież inne ślady, odciski butów mordercy? – zapytał Emil.

Komisarz z rezygnacją pokręcił głową.

– Guzik. Widać, że coś tam się kotłowało, ale najwyraźniej sprawca jest cwany, pilnował się, wiedział, gdzie nie stąpać. Na razie przynajmniej znaleźliśmy tylko jeden wyraźny odcisk na mchu: fragmentu sportowego obuwia należącego do ofiary.

– Teraz już można przyjąć, że na pewno mamy do czynienia z seryjnym? – zasugerował Żądło.

– Wcale nie byłbym tego taki pewny – odparł z niechęcią policjant.

– Co prawda już nawet media na ten temat spekulują, psują nam tylko szyki, panikę sieją. Wy, dziennikarze, zawsze musicie szukać sensacji. Nie krzyw się tak, to nie zarzut, tylko stwierdzenie faktu: taka wasza praca. Ja bym nie odrzucał teorii zorganizowanej przestępczości, ale oczywiście bierzemy pod uwagę każdą hipotezę. Tyle że morderstwo Kowalskiego nie pasuje jakby do schematu. Do tej pory ginęli sami naukowcy, związani z rynkiem sztuki i archeologią. A tu nagle prowincjonalny radny...

– Ten radny nadzorował sprawę sprzedaży pałacu w Lubicach – wtrąciła Marta. – A ten pałac należał wcześniej...

Komisarz pokiwał głową.

– Wiem, wiem. Emil już mi to wyjaśnił. Mówił też o tych rzeźbach ogrodowych Kowalskiego. Ciekawe. Będziemy to badać. Wygląda na to,

że wszystkie tropy prowadzą do tego pałacu.

– Więc może warto by było jeszcze raz obejrzeć pałac? – podchwycił dziennikarz. – Marta mogłaby w tym pomóc. Już tam była, zna ten budynek, ale nie spenetrowali go wtedy dokładnie...

– Musiałbym mieć nakaz. Nie wiem, jak prokurator... Ale spróbujemy. Może faktycznie warto byłoby mu się przyjrzeć. Pałac wydaje się punktem kluczowym, łączy wszystko, choć cholera wie, w jaki sposób i dlaczego. Zbadamy też kontakty radnego, trzeba sprawdzić, czy znał poprzednie ofiary. Powiem wam szczerze... coraz bardziej poważniej traktujemy, oczywiście między innymi, waszą hipotezę z masonami.

– Ale my sami w nią nie wierzyliśmy! – zdziwiła się Marta.

– Jednak wszystko na to wskazuje, że coś w tym jest. Ta pieczęć, pałac należący do masona, trudno to uznać za same przypadki. Nawet moi ludzie nazywają mordercę „Masonem”. Taki nieoficjalny kryptonim nadali sprawie. Byle tylko nie przedostał się do mediów, bo to by dopiero była pożywka... Myśmy nawet sprawdzali rodzinę tego masona, czyli ostatniego prywatnego właściciela pałacu w Lubicach, jak mu tam... Karła Davida Jonstona... pod kątem ewentualnych roszczeń, spadkobierców, potomków. Niestety, wygląda na to, że nie ma już żadnych żyjących krewnych. Wszyscy albo powymierali, albo zginęli. Ale może być tak, że ktoś z tamtej loży masońskiej pozostał i teraz próbuje wszelkimi metodami przejąć dawną siedzibę. Karkołomne to, ale tonący brzytwy się chwyta.

– A co z profilem psychologicznym sprawcy? – dopytał Emil.

– Nic konkretnego, w dodatku teraz obraz się już całkiem sypnął – wyjaśnił Zebra zmęczonym głosem. – Naszemu psychologowi nic w tym wszystkim nie pasowało. Jedno zaprzecza drugiemu, brakuje logiki w działaniu sprawcy, raz działa jak profesjonalista, innym razem jak rzeźnik. Ale wiecie, że ja i tak nie dowierzam tym nowomodnym wymysłom. Ze mnie starej daty gliniarz. Bandziora muszę złapać za jaja... przepraszam, za rękę, a nie wysłuchiwać teorii...

Marta się zamyśliła.

– A może... jest więcej sprawców?

– To by świadczyło, że moja koncepcja z gangsterami jest słuszna

– odparował komisarz z satysfakcją.

– Albo mamy do czynienia z wyjątkowo przebiegłym mordercą – dodał Emil.

Zebra nie skomentował tej uwagi, tylko podniósł się ciężko z krzesła, odstawiając do zlewu kubek po kawie.

– Będę się zmywał – oznajmił. – Padam na pysk, muszę się choć trochę przespać. Jeszcze o jednym nie wiecie. Tylko zachowajcie to dla siebie, jak wszystko zresztą. Ale to w szczególności. Ktoś włamał się na policyjny serwer i wpuścił nam jakiegoś parszywego wirusa. Na szczęście nie ma strat, bo wszystkie dane i tak mamy skopiowane, nie zdajemy się wyłącznie na komputery, a najważniejsze rzeczy trzymam w teczkach, jak za dawnych dobrych lat. Ale sam fakt, że coś takiego mogło się zdarzyć, o czymś świadczy. Nie mamy tu raczej do czynienia z pojedynczym psychopata. Wierście mi, nie tak łatwo włamać się do systemu policji...

### *Parę dni później*

Marta nieco zdenerwowana krzątała się po domu, układała, co się dało, by książki i papiery nie poniewierały się po podłodze – w końcu młodym ludziom należy dawać dobry przykład, a nie od razu na dzień dobry uczyć ich bałaganu. Zaśmiała się sama z siebie pod nosem, przypominając sobie, że jako nastolatka w ogóle takich rzeczy jak porządek czy nieporządek nie zauważała. Machnęła więc w końcu na to ręką, skupiając się na planowaniu kolacji. Nie za bardzo znała się na gotowaniu, talentu w tym zakresie także jej brakowało. Zdecydowała w końcu, że najzwyczajniej w świecie na powitanie Bartka zamówią pizzę. Pod nosem mają w końcu dwie świetne pizzerie, czynne w sezonie do późnej nocy. Nad „domowymi posiłkami” zaczną się zastanawiać od jutra. Sprawdziła godzinę – zaraz powinni być. Emil pojechał odebrać syna z promu z wyprzedzeniem, możliwe, że po drodze wstąpili jeszcze na jakieś lody, wieczór był ciepły i pogodny. Marta zastanawiała się, czy poznałaby Bartka po tych paru latach – młodzież tak szybko się zmienia



– więc gdy w końcu wysoki, chudy wyrostek w okularach na nosie, z niewielkim plecakiem i rozwichrzoną kędzierzawą czupryną (ewidentnie po ojcu, wypisz, wymaluj) stanął w drzwiach, zaniemówiła. Wyglądał dokładnie jak młodsza wersja Emila, który stał obok, ni to zakłopotany, ni to dumny. Zapewne jedno i drugie.

– Bartek, to naprawdę ty? – Pospieszyła, by go uściskać, ostatecznie jednak tylko cmoknęła chłopaka w policzek, uznając, że jest już za duży na takie czułości.

Nastolatek uśmiechnął się krzywo.

– A co? Zestarzałem się? – W jego wymowie znać już było ślady obcego akcentu.

– Jeszcze jak! – Roześmiała się. – Wykapany tata! Prawdziwy Żądło z ciebie. Wchodźcie, pizza zamówiona. Plecak tu na razie rzuć. Potem pokażę ci, gdzie będziesz spać. Oddamy ci sypialnię do twojej wyłącznej dyspozycji. – Uświadomiła sobie, że gada za dużo i za szybko, tak jakby nie była pewna akceptacji chłopaka. *Opamiętaj się* – upomniała się w myślach surowo.

Bartek jednak nie zauważył jej zdenerwowania. Rzucił bagaż na podłogę i od razu zaczął witać się z kotem.

– Bolero... no hejka, stary... utyłeś, kocurze! – Drapał go za uchem, kucając na podłodze. Obaj sprawiali wrażenie zachwyconych sobą nawzajem. – Pizza? Yeah! Coolersko. Już się bałem, że zaczniecie mnie karmić jakimiś... – zająknął się – no, golonkami czy innymi kartoflankami...

Marta pogratulowała sobie w duchu decyzji.

– Skąd ty znasz polski slang, Bartek? – zapytała zdumiona, bo smark mówił dokładnie tak samo jak miejscowa młodzież, choć z lekkim akcentem.

Podniósł się z radosnym uśmiechem na ustach.

– Jak to skąd? Z netu! – wyjaśnił.

– Stale siedzi na polskich forach – wtrącił Emil, nalewając herbaty.

– Dla mnie cola – poprosił młody. – No, a co mam robić. Matka ciągle truje, że mam utrzymywać związki z krajem ojczystym! No to utrzymuję.

Pokiwała głową z aprobatą.

– A tęsknisz czasem za Polską?

– Nieee... – Prychnął rozbawiony. – Jakie tęsknisz? A co to, daleko? Rzut beretem! Świat jest mały, tylko wy macie jakieś dziwne... no. Wizje.

Emil wzruszył ramionami. W tym samym momencie rozległ się dzwonek u drzwi.

– Nasza pizza! – Marta pospieszyła, by otworzyć. Po chwili wkroczyła do kuchni z kilkoma wielkimi kartonami w rękach. – Są też sałatki. I desery, do wyboru, do koloru. Full wypas! No to siadajcie do stołu, chłopaki. Bartek popatrzył na nią z przyganą.

– Chyba zapomniałaś o umyciu rąk?

### *Następnego dnia*

Marta z zaciekawieniem obserwowowała Bartka, który od śniadania siedział wyłącznie przed komputerem, całkowicie pochłonięty światem wirtualnym. Wstał przed nimi, znalazł sobie w lodówce sok, po czym od razu w kuchni włączył swojego laptopa, robiąc przerwę tylko na śniadanie, a następnie wrócił do niego zaraz po jedzeniu. I tak już kilka godzin siedział w nosem w ekranie. Emil zostawił go z Martą, ponieważ sam na prośbę Zebry wybrał się z powrotem do Trzmielowa i Lubic – miał za zadanie wyśledzić twórców rzeźb ogrodowych. Policja spisała wszystkich zarejestrowanych rzemieślników w okolicy, jednak żaden nie pasował. Większość rzeźbiła w drewnie, owszem, ale tylko anioły, świątki i figury zwierząt. Było dwóch specjalizujących się w sztucznym marmurze oraz jeden w dużych formach z cementu, ale na stanie mieli niemal wyłącznie krasnale ogrodowe i fontanny. Żaden nie rozpoznał kobiecej postaci z oryginalnym nakryciem głowy. Emil zamierzał rozpytać mieszkańców. Być może poszukiwany artysta nie miał zarejestrowanej działalności gospodarczej. A może radny Kowalski powiedział prawdę i rzeczywiście zamawiał rzeźbę z jakiegoś katalogu. Wówczas mógł to być po prostu przypadek. Choć Emil coraz mniej wierzył w przypadki. zaproponował synowi, żeby mu towarzyszył,

chłopak jednak odmówił. Wolał zostać w domu. Trudno. Problemu nie było, Marta dostała urlop. Zrobiła zakupy, poczytała, obejrzała jakiś program w telewizji. Bartek nawet oka nie oderwał od swojego ekranu. Niedawno zakupiony telewizorek skwitował dobrotliwym uśmiechem jeszcze wczorajszego wieczoru – pytając najpierw, co to jest. Z podobnym niedowierzaniem zareagował na widok ich telefonów komórkowych. No owszem, przestarzałych, doskonale zdawali sobie z tego sprawę, tyle że... przywykli do nich. Młody nie potrafił tego zrozumieć. Przywiązywać się do telefonu? Szok... Sam miał smartfona. W jego docinkach nie było cienia złośliwości, tylko i wyłącznie rozbawienie. Gdy już przywykł do widoku tych gadżetów, przestał je w ogóle zauważać. Zresztą miał swój świat. Co ciekawsze, Bolero tak upodobał sobie towarzystwo chłopaka, że nie schodził z jego kolan. Marta zdecydowała się w końcu ściągnąć gościa choć na chwilę na ziemię. Nałożyła do salaterki cytrynowej galaretki z owocami – kolejny zakup specjalny na tę okazję – i postawiła jedną na stoliku, przed Bartkiem, a sobie zdecydowanym ruchem przysunęła drugie krzesło.

– Oderwiesz się na moment? – zapytała z uśmiechem.

– Co? – Drgnął. – A tak, dzięki. Jasne.

Oparł się o poręcz i zabrał się za pałaszowanie.

– Smakuje?

– Jasne.

– To się cieszę. Co robisz? Czatujesz?

Rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie znad salaterki.

– Nooo... coś w tym stylu.

– Lubisz komputery, co?

– Znam się na tym. – Wzruszył ramionami. – Wybieram się na informatykę. Za dwa lata. Ale już jestem lepszy niż niejeden z nich! – Parsknął z zadowoleniem. – A będę najlepszy. Jakbyś czegoś potrzebowała, to mów.

– Hakujesz?

Tym razem zerknął na nią z politowaniem.

– Co za pytanie... – skwitował.

– Dobra. Nie będę pytać. My nie jesteśmy zbyt dobrzy w te klocki, więc i tak byśmy się pewnie nie dogadali. To co, może miałbyś ochotę

gdzieś się wybrać? Plaża? Molo w Sopocie? Park Oliwski?

– Spoko. Bez takich. Dobrze mi tu.

– Okej...

Zamilkli oboje. Bartek skończył swoją galaretkę i w zadumie oblizywał łyżeczkę.

– Chcesz więcej? – zapytała.

– Nie, dzięki. Dbam o linię. – Zaśmiał się. – Marta... – zawahał się.

– No?

– Wy się z ojcem nie chajtacie?

Poczuła się głupio.

– A co? Ojciec z tobą o tym rozmawiał?

– Nieee... On ze mną nie gada o waszych sprawach.

– Mama?

– Coś tam kiedyś mówiła, ale nie o to chodzi. Tak tylko pytam.

Z ciekawości.

Odstawiła swoją galaretkę na biurko.

– Dobra, wyjaśnię ci to – zdecydowała się. – Masz prawo pytać. Widzisz... ja jestem może trochę dziwną osobą. Bardzo nie lubię, kiedy ktoś mi coś narzuca...

– Ojciec ci narzuca? – przerwał.

– Nie, nie twój ojciec. Chodzi o to, że... Chodzi o poglądy. Nie wiem, czy wiesz, że u nas trwa teraz walka o zarejestrowanie związków partnerskich. Czyli innych niż małżeńskie. – Poczuła, że zaplątała się nieco, ale po minie chłopaka poznała, że doskonale rozumie, o czym mowa. – Choć i tak... nie dla wszystkich. Dla mnie osobiście chodzi o prawo wyboru. To także jest rodzaj wolności. Dopóki... dopóki będą ludzie gorzej traktowani, dopóki nie będzie tolerancji i równości... ja także nie chcę korzystać z praw zarezerwowanych tylko dla wybranych. To nie jest żadna demonstracja – zastrzegła się – choć może na to wygląda. Po prostu coś się we mnie buntuje. Może mówię trochę niejasno, ale... zrozumiałeś coś z tego? – Odetchnęła głęboko, jak po wynurzeniu się z głębokiej wody.

Powoli pokiwał głową.

– Jasne. U nas w Szwecji nikogo nie obchodzi, jak żyjesz.

– Wiem. I chciałabym, żeby wszędzie było tak samo. Żeby nikt nie uzurpował sobie prawa do dyktowania innym, jak mają żyć.

– Kościół, co? Ci wszyscy księża? Ten od radia, jak mu tam, i inni?  
– Nawet był zorientowany.

– Nie tylko – wyjaśniła. – Przede wszystkim ludzie. Politycy.

– Przedpotopowe to jakieś...

– Niestety. Ale tak tu na razie jest.

– To dobrze, że mnie tu nie ma. A do czego właściwie potrzebny wam ślub? Przecież już dosyć starzy jesteście. To znaczy, jak na ludzi biorących ślub – dopowiedział szybko.

Teraz Marta się lekko zaśmiała.

– No, racja. W sumie to... do niczego. Ale twojemu tacie trudniej to zrozumieć. On to traktuje ambicjonalnie. I chyba jest mu przykro.

– Pogadam z nim – obiecał stanowczo.

– Nie, nic mu nie mów! – zaoponowała. – Bo widzisz... ja wiem, jakie to dla niego ważne. I pewnie się złamię. To znaczy, w końcu weźmiemy ten ślub. – Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

Przyglądał się jej z zagadkowym uśmieszkiem, bawiąc się machinalnie myszą komputerową.

– W welonie?

– Bez przesady. – Puściła oko. – Za wiele ode mnie nie wymagaj! Normalny, cywilny.

Pokręcił głową, nadal z tym samym uśmiechem.

– Wy, dorośli, na serio jesteście skomplikowani! Zrobisz, jak zechcesz. Ale niczego nie musisz. Ojciec to idealista. Matka tak zawsze mówi. Że nieudacznik i nic mu w życiu nie wychodzi.

– A ty tak samo myślisz?

– Coś mu jednak wyszło: ma fajną laskę – odparł, odwracając wzrok. – Lubię cię. Zresztą wy oboje jesteście tacy sami. Dlatego ciągle mieszkacie w takim małym mieszkaniu na zadupiu. I jeździecie tym samym starym rżęchem. Moi starsi już na początku w Szwecji dostali większą metę, a autka zmieniają sobie co roku. No i dlatego macie przedpotopowe komóry! – Parsknął. – Ale mnie to nie przeszkadza. Wcale. Nawet jest zabawnie. Poza tym podoba mi się to, co ojciec robi. Można powiedzieć, że jest detektywem, co nie? Ma swój styl i gra gitara.

- Gra – przytaknęła Marta.
  - No.
  - A czemu nie chciałeś z nim pojechać?
  - Bo wolałem pogadać z tobą.
  - A, rozumiem. No to fajnie się złożyło.
  - No.
  - Lubisz Szwecję?
  - Bo ja wiem. Lubię. – Wzruszył ramionami. – Chyba. Czy to ważne, gdzie się mieszka?
  - Myślę, że ważne.
  - No tak. W Szwecji jest normalnie. Pokiwała głową i uśmiechnęła się.
  - Dobra. To wiesz co, wracaj teraz do swojego Internetu, a ja przygotuję obiad. Na co masz ochotę?
  - Na spaghetti – odparł bez namysłu. – Z tartym serem i ketchupem.
- Marta odetchnęła z ulgą. Z tym poradzi sobie bez problemu. *Dobre dziecko* – pomyślała nieomal czule.
- A ojciec pojechał na tę wiochę, bo prowadzi nowe śledztwo? – zapytało „dziecko”, zanim zdążyła wyjść do kuchni.
  - Można to tak określić. Tak – westchnęła.
  - Opowiesz mi?
- Nie była pewna, co powinna zrobić. Czuła jednak, że nie może go zbywać, Zresztą trudno coś przed nim ukryć.
- Opowiem. Tylko najpierw nastawię makaron...

Gdy Emil wrócił pod wieczór, zmęczony i raczej zniechęcony, zastał swoją rodzinę w najlepszej komitywie: oglądali jakiś serial w telewizji, zaśmiewając się do łez. Tylko Bolero spał błogo na kolanach Marty, nieczuły na rozrywkę. Na ekranie widać było jedynie dwa ludzkie kadłuby – bodajże żeńskie – z podziwu godną ekspresją toczące dialog, sprawiający wrażenie raczej dwóch naprzemiennych monologów. Najczęściej powtarzającym się słowem, jakie udało mu się wychwycić, było „rodzina”.

– Oglądacie jakąś komedię?

Oboje ledwie na niego spojrzeli.

– Nie, tato, polski serial! – odparł syn. – Nie przeszkadzaj, dobrze?

– Za chwilę się skończy – dodała Marta. – Nastaw wodę na herbatę, dobrze?

– Dobrze... Dobrze. O czym to jest? – Wskazał nieśmiało na ekran.

– Nie wiemy. – Wzruszyła ramionami.

– Nieważne! – Machnął ręką syn.

Udał się do kuchni, odnotowując po drodze, że co jak co, ale humor od razu mu się poprawił. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Choć ogólnie nie był zadowolony z efektów swego wyjazdu. Poświęcił na to cały dzień, jednak niczego nowego nie udało mu się wykryć. Trudno. Wypad trzeba będzie powtórzyć. Zalał wrzątkiem herbaciane liście w imbryczku, gdy cała trójka – wraz z kotem – weszła do kuchni i rozsiadła się na wolnych taboretach. Jedyne Bolero, jak to miał w zwyczaju, wskoczył na parapet, na którym stała jego miska z chrupkami.

– No to opowiadaj! – zadysponowała Marta.

– Odkryłeś coś? – dopytał Bartek.

Emil ze zdziwieniem zerknął na swoją partnerkę. Wzruszyła ramionami.

– Bartek już wszystko wie – oznajmiła zwięźle.

– Okej. Nie ma za wiele do opowiadania. Złaziłem całą wieś, miasteczko i okolice. Wymaglowałem chyba wszystkich mieszkańców! Do końca życia mnie zapamiętają. Nie byli zbyt wylewni. Ale mniejsza z tym. Tego radnego chyba też tam nikt tam specjalnie nie lubił. W każdym razie nikt po nim nie płacze. Może z wyjątkiem rodziny, ale z jego rodziną nie rozmawiałem, Zebra to wziął na siebie. Wszyscy ci ludzie się obwiniają wzajemnie, mówią niby niewiele, ale plotkują ochoczo, a najbardziej mieszają z błotem urzędników. Jedni za to, że pałac ciągle niesprzedany, a pracy w miasteczku nie ma, inni za sam pomysł sprzedaży jakiemuś – jak to określają – obcemu burżujowi. Ci uważają, że budynek powinien zostać przy gminie. Rozmawiałem na przykład z emerytowaną nauczycielką, była sołtys Lubic. Bardzo miła i kulturalna pani, ale strasznie zawzięta. Twierdzi, że to władze

miasteczka powinny wyremontować pałac za pieniądze unijne, zamiast tylko bez przerwy rozbudowywać własną siedzibę, a następnie urządzić w niej hotel, gastronomię, kompleks basenów, saunę, salę koncertową, park, kort tenisowy... coś tam jeszcze, nie pamiętam. Uważa, że obecni urzędnicy są po prostu leniwi i nieudolni, nic tak naprawdę nie potrafią, tylko marnować majątek gminy, zamiast go wykorzystać. Pytałem też o rzeźbiarzy – takich prawdziwych ludowych, niezarejestrowanych – jednak żadnego nie udało mi się zlokalizować. To znaczy, owszem, jednego, ale okazało się, że określenie „rzeźbiarz” było w tym przypadku raczej na wyrost. Dziadek po prostu dłubie sobie amatorsko w drzewie. To ta nauczycielka mnie do niego skierowała, mało mnie szlag nie trafił, zanim go znalazłem, bo facet żyje niemal jak pustelnik, jakiś kilometr za wsią, prawie w lesie. Ledwie trafiłem, zakopałem się w koleinach na polnej drodze, cudem nie uszkodziłem sobie zawieszona, kłamię jak szewc, bo w dodatku cała wyprawa okazała się totalnym niewypałem. Niepotrzebnie się fatygowałem. Gość z lekka... stuknięty – Emil zająknął się, rzuciwszy szybkie spojrzenie na syna. – Dziwak, choć poczciwina. Idealista z głową w chmurach. Wygląda jak kloszard, cały w czymś utyłany, ale za to jak gadał...

– Jak ksiądz z ambony? – podchwyciła Marta.

– O właśnie. Znasz?

– Chyba się na niego natknęłam.

– No więc tenże dziadek z kolei uznał za stosowne wygłosić mi wykład. Mniej więcej godzinny – kontynuował z przekąsem. – Twierdził, że ci wszyscy „faryzeusze” tak skończą, czyli powyrzynają się nawzajem. I słusznie, uznał. Sprawiedliwie. Winą za wszystko obarcza grzesznika burmistrza, cały jego na wskroś przegniły urząd oraz tego zagranicznego kupca, bo myślą tylko o przekrętach i „mamonie”. Tymczasem według starszego pana ich „psim obowiązkiem” jest urządzić w pałacu muzeum sztuki regionalnej. Sam by chętnie wystawił tam swoje prace.

– I o to zapewne chodzi! – Parsknęła Marta.

– Pewnie o to.

– A widziałeś te jego prace? – zainteresował się Bartek.

Emil pokiwał głową.



– Namówiłem go, żeby mi coś pokazał. Nie chciał, nie chciał, krygował się, ale w końcu się udało. Zaprezentował mi kilka figurek, które trzyma na werandzie. Koniecznie chciał mi jedną wcisnąć... za pięćset złotych! Pięciu dych bym za nią nie dał, sorry. Biedak się chyba śmiertelnie na mnie obraził. No cóż, nie były to wielkie dzieła. Po prostu świątki. Raczej mało oryginalne – wyjaśnił.

– No to kicha – skwitował chłopiec.

– Kicha totalna. Ale mam też dobrą wiadomość. W drodze powrotnej złapał mnie Zebra. Dostał zgodę na ponowne oględziny pałacu. Na razie jeszcze nie na badania z prawdziwego zdarzenia, bo to bardziej skomplikowane i kosztowne, musieliby się do tego włączyć archeolodzy z uniwersytetu i inni specjaliści, poza tym to trwa... Ale lepszy rydz niż nic: póki co mam zabrać ciebie – zwrócił się do Marty – i pojedziemy tam razem z Markiem. Ja jako przedstawiciel prasy i zarazem fotograf. Zaoszczędzą na policyjnym.

– Kiedy?

– Pojutrze. Pasuje ci?

– Pasuje, mam przecież wolne. – Ucieszyła się. – Mówiłam ci, że chętnie pojechałabym tam jeszcze raz. Bo na razie stoimy w miejscu.

– A tymczasem morderca nie śpi i ostrzy swoją brzytwę... – wtrącił grobowym tonem Bartek.

– Jedziesz z nami? – zwrócił się do syna Emil.

Tym razem młodemu zabłysły oczy.

– Oczywiście! – odparł bez namysłu.

### *Dwa dni później*

Podczas gdy Marta opukiwała ściany piwnic, Emil obfotografował wszystko, co mu wskazała, po czym snuł się po pozostałościach dawnych komnat, próbując wyobrazić je sobie sprzed czasów pegieeru. Przychodziło mu to z trudem i to nie tylko z powodu śladów beztroskiej oraz rabunkowej eksploatacji, a także naturalnego upływu czasu. Pomieszczenia zostały podzielone prymitywnymi ściankami działowymi,

zapewne na potrzeby pomieszczeń biurowych. Zabrakło mu wyobraźni przestrzennej, by odtworzyć sobie głowie oryginalny plan budynku. Szczególnie bez fachowej pomocy czy choćby wsparcia drugiej osoby. Został tu sam – rozczulił się nad sobą. Zebra, który przyjechał do Lubic wraz z nimi, został z godzinę temu wezwany z powrotem do Gdańska, musiał się szybko zwijać. Burmistrz gminy Trzmielów towarzyszył im co prawda osobiście, ale po grzecznościowych formalnościach również się ulotnił, tłumacząc się obowiązkami urzędowymi oraz tym, że nie chce przeszkadzać w oględzinach. Zostawił pod opieką Zebry klucze, które na koniec mieli przekazać naburmuszonej „strażniczce” rezydującej w oficynie. Teraz klucze znalazły się w kieszeni Emila. Bartek także znikł z pola widzenia. Wiedzieli, że zaszył się gdzieś ze swoim smartfonem, poszukując w Internecie informacji na temat pałacu. Tak im przynajmniej zakomunikował – i raczej nie zmyślał, bo co jakiś rzeczywiście czas przychodził z kolejnymi ciekawostkami, które w większości były im już znane. Najwyraźniej wolał poznawać zabytek wirtualnie niż w naturze. Sale pałacowe – parter i pięto – obszedł mniej więcej w kwadrans, po czym z niezmaconym spokojem powrócił do swojego świata. Z początku pod pałac podchodzili ciekawscy, zwabieni zapewne przyjazdem samego burmistrza oraz kolejnych gości z miasta, w końcu jednak i ci się wykruszyli. Marta, nie znajdując niczego ciekawego na górze, zeszła badać piwnice. Początkowo Emil jej towarzyszył, raz, że z ciekawości, dwa, że... sądził, że jako kobieta może niezbyt pewnie czuć się sama w tych zawilgoconych podziemiach, gdzie nawet porządnego światła nie było. Nie Marta jednak. Przyświecając sobie latarką i mamrocząc coś do siebie pod nosem, przemierzała te „lochy” bez najmniejszego oporu. W końcu wygoniła go, twierdząc, że snując się tak za plecami, tylko ją rozprasza. Echo jej głosu goniło go jeszcze na wąskich, krętych, kamiennych schodach, a od piwnicznego chłodu i mrocznej aury czuł ciarki na plecach. Od tamtej chwili minęła pewnie kolejna godzina, a co najmniej pół. Czas się w tym miejscu dłużył. Zresztą zgodnie z powagą wieków zaklętych w otaczających ich murach. Zamierzał wyjść na zewnątrz, by usiąść sobie w samochodzie i zapalić, usłyszał jednak za sobą lekkie kroki i lekko zniechęcony głos Marty.

– Tam nic nie ma! Jestem tego prawie w stu procentach pewna. Żadnych śladów. Zwyczajne piwnice...

– Mogłabyś mnie nie straszyć? Zakradłaś się z tyłu jak duch.

Wzruszyła ramionami.

– A dziwiłeś się, że nie chciałam, żebyś mi się pętał za plecami tam na dole – odparła. – Gdzie młody?

Teraz na niego przysła kolej, by wzruszyć ramionami.

– Gdzieś – odparł. – W wirtualu.

Marta kontynuowała, nie zwracając uwagi na jego uszczypliwości:

– W zasadzie możemy wracać. Sama niczego więcej tutaj nie dokonam. Spiszę to wszystko dla Marka, ale już w domu. Porobiłam sobie notatki i plany. Oczywiście dokładne badania mogłyby zapewne wyjaśnić o wiele więcej, ale tak gołym okiem... nie widzę tu śladów po masonach, żadnych ukrytych komnat czy podziemnych korytarzy. Kończymy. Głodna jestem. Bartek!

Gdy chłopak pojawił się w wykuszu okna, dodała:

– Zbieramy się.

– Już? – zdziwił się. – A tak mi się tu fajowo...

– Siedziało z nosem w telefonie? – zakpił Emil.

Młody nie zaszczycił go spojrzeniem.

– Znalazłaś podziemia? – zwrócił się do Marty.

– Moim zdaniem nie ma tu żadnych podziemi – odparła. – Dobra. Zamykamy interes. Może po drodze coś zjemy? Chyba znajdzie się gdzieś jakaś knajpa? Umieram z głodu. Wy pewnie też. Emil, masz klucze?

– Mam.

– To zamykasz i oddajesz babie.

– Zostałeś mianowany klucznikiem, tato! – Zaśmiał się Bartek.

Wyszli. Na zewnątrz, pomimo zbliżającego się wieczoru, wciąż panowało miłe letnie ciepło. Zachodzące słońce podkreślało czerwień starych cegieł, zatapiając wszystko w miękkim złotopomarańczowym świetle, rozmazując kontury i pozostawiając w powietrzu lekko opalizującą mgiełkę. Okolica wyglądała teraz piękniej, niemal magicznie. Emil udał się do przybudówki, by oddać dozorczyńni klucze od pałacu. Stara kobieta uchyliła tylko szparę w drzwiach, niemal

wyrywając mu klucz z ręki, po czym z hukiem zatrzęsła drzwi, nie odpowiadając nawet na słowa pożegnania. Kręcąc głową, pospieszył za Martą i Bartkiem, którzy spacerowym krokiem podążali w kierunku ulicy, starając się omijać podejrzenie wyglądające miejsca wśród rachitycznej trawy porastającej dawny dziedziniec oraz podjazd, dawniej prowadzący do pałacu, a obecnie stanowiący jedną wielką koleinę. Właśnie minęli bramę w ogrodzeniu. Nagle Bartek, idący przodem, zatrzymał się jak wryty, aż Marta niemal na niego wpadła. Oboje znieruchomieli, wpatrując się w auto Emila zaparkowane naprzeciwko wjazdu.

Zaintrygowany przyspieszył kroku.

– Ej, widzicie to co ja?! – niepewnym głosem odezwał się chłopak.

– E... Emil... – wyjąkała Marta. – Popatrz...

Na bocznej szybie starego peugeota widniał znak, odcisnięty krwiście czerwonym tuszem. *Oby to był tusz* – pomyślał w panice. Dobrze im znajoma pieczęć. Naraz, mimo wysokiej temperatury, zrobiło mu się zimno...



– To nie krew? – dopytywał Bartek, gdy Emil przy użyciu wozonego w bagażniku baniaka z wodą usiłował bezskutecznie zmyć rysunek.

– Nie – zaprzeczył. – Farba jakaś cholerna... Nie da rady tego zmyć. Na szczęście zaraz robi się ciemno. Jedziemy.

Ruszyli. Dziennikarz był zamyślony, wszyscy zresztą raczej milczeli. Nastrój do rozmowy prysł jak bańka mydlana. Marta mruknęła tylko, że straciła apetyt. Bartek siedział pochylony nad swoim smartfonem. Emil wyjechał na szosę, raptem jednak zwolnił – i zawrócił, widząc przed sobą zatoczkę przed jakimś sklepem.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się Marta.

– Mam pomysł. Coś mi się przypomniało. Muszę... muszę tu coś załatwić. Nie pytaj, potem wyjaśnię. Przenocujemy w Trzmielowie, w końcu nie spiesz nam się, Bolero jest bezpieczny u pani Reni. Zadzwońisz do niej za chwilę, niech oboje siedzą wyłącznie w jej mieszkaniu. Wy z kolei będziecie bezpieczniejsi tutaj. Widziałem po drodze pensjonat nad jeziorem, mijaliśmy go kilka minut temu. Parking był prawie pusty, więc na pewno będą mieli wolne pokoje...

– Ale po co? – dopytywała, lekko oszołomiona. Bartek nie odzywał się, najwyraźniej było mu wszystko jedno.

– Wszystko wam wytłumaczę. Musisz mi zaufać: mam swoje powody.

– Kto mógł to zrobić? – padło wreszcie kluczowe pytanie. Zadała je zdenerwowana Marta, popijając mrożoną herbatę. Siedzieli w pokoju hotelowym z widokiem na przystań oraz jezioro. Do apartamentów wchodziło się z długiej galerii łączącej pokoje. Niemal wszystkie były puste, interes chyba nie za bardzo kwitł, choć ceny nie wydawały się wygórowane. Pewnie zabrakło reklamy, pomyślał Emil, bo miejsce piękne, a sam hotel – choć może nieszczególnie ekskluzywny – okazał się całkiem wygodny. Jednak, położony na uboczu, nie był nawet widoczny z trasy, a podświetlony drogowskaz także nie bardzo rzucał się w oczy. Gdyby otwarto hotel w pałacu, nie mieliby szans. Przez dłuższy czas siedzieli, milcząc, a żadne nie miało odwagi ruszyć drażliwego tematu, choć każde z nich z osobna wałkowało go intensywnie w myślach. Wcześniej, bez apetytu, zjedli skromną, lecz całkiem smaczną kolację w hotelowym barze.

Teraz Emil poczuł się w obowiązku zmierzyć z pytaniem Marty.

– W zasadzie każdy, kto tamtędy przechodził – odparł. – Ruch tam

niewielki, kamer nie ma.

– Ten ktoś to morderca! Nie będziemy chyba udawać, że jest inaczej?

Wzruszył ramionami.

– Nie będziemy. Ale nas nie zabił. Przynajmniej na razie. Chciał raczej wygonić nas ze wsi. – Usiłował ją uspokoić.

– Moim zdaniem podejrzany jest ten burmistrz – włączył się do dyskusji Bartek, odrywając oczy od smartfona. – Mógł to bez problemu zrobić, kiedy wychodził. Może po to się tak spieszył? Albo ta zajebista babcia! – Zachichotał.

– Bartek – westchnęła Marta – to nie jest śmieszne...

– Okej, już się zamykam. – Ponownie pochylił się nad świecącym ekranem.

– Nie tylko burmistrz tamtędy przechodził – dodał Emil. – Nie pamiętacie, ilu gapiów się tam kręciło?

Zamilkli. Dziennikarz zastanawiał się, w jaki sposób powiedzieć Marcie i synowi o swoich planach. Zanim zdecydował się zacząć, jego partnerka sama mu to ułatwiła.

– Nie zamierzasz powiedzieć o tym Markowi? O tej pieczęci? Powinniśmy poinformować policję. To nie jest tylko nasza sprawa.

– Zamierzam – podchwycił. – Ale jeszcze nie teraz. Bo... wspominałem wam już, jeszcze w samochodzie, że mam tu coś do załatwienia. Muszę coś sprawdzić, tutaj na miejscu, sam. Odpowiedź jest tutaj. Konkretnie: w Lubicach. I już chyba wiem... to znaczy, domyślam się, kto się za tym kryje. Nie mam tylko pojęcia dlaczego.

Oboje wbili w niego wzrok.

– Tym bardziej powinienesz dzwonić na policję! – krzyknęła wzburzona Marta.

– Zaczekaj. Zaraz wam wszystko wyjaśnię. Nie mogę jeszcze zawracać głowy policji. Nawet Zebrze. Nie potraktowałyby mnie serio. To na razie tylko domysły. Intuicja, nic więcej. Muszę się najpierw upewnić.

Marta przymknęła oczy.

– Mów – poleciła krótko.

Emil sięgnął do kieszeni po papierosa, rzucił jednak okiem na

Bartka i zrezygnował. Zapali później. Będzie miał na to mnóstwo czasu. Dopiero zapadała noc.

– Pamiętacie, jak opowiadałem wam o tym starym rzeźbiarzu? Tym odludku?

– Tak – przytaknęli chórem.

– No więc... dziadek robi wrażenie niegroźnego dziwaka, ale coś ukrywa. Kłamie. Twierdził, że czasem tylko rzeźbi sobie dla relaksu światełki w drzewie. Tymczasem cały pokryty był białym proszkiem... jakby cementem, betonem, gipsem, wapnem, farbą, cholera wie, nie znam się na tym. Wyglądał w każdym razie jak budowlaniec. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi, a raczej zwróciłem, bo zanotowałem sobie w pamięci, ale nie skojarzyłem. Wszedł z szopy cały utyłany, dłonie też miał białe, bo z tego powodu nie chciał mi podać ręki. Chata jest drewniana, wałaca się, zapuszczona, jednak nie było tam śladów remontu, żadnej budowy, nic z tych rzeczy. Zapuszczone podwórko, jakieś grządki, latryna, błoto, zaraz za obejściem las, z drugiej strony dzika łąka, do szosy kilkaset metrów, szosa też niewidoczna, bo za drzewami. Odludzie. Wygwizdowo. Zauważyłem też starą furgonetkę z przyczepą pokrytą plandeką.

– A czy z tej szopy nie załatywało przypadkiem trupem? – przerwał mu Bartek z entuzjazmem.

– Nic takiego nie czułem. – Pokręcił głową. – Jeśli podejrzewasz, że on tam zacementował jakieś zwłoki...

Bartek tylko uśmiechnął się zagadkowo.

– Nadal nie rozumiem. – Marta, nie zwracając uwagi na powyższą wymianę zdań, wpatrywała się intensywnie w Emila. – Co podejrzewasz?

Zawahał się.

– Dokładnie nie wiem. Ale podejrzewam, że on wcale nie rzeźbi w drzewie. A przynajmniej nie tylko.

Marta zastanowiła się.

– Nawet jeśli masz rację, to przecież nie świadczy, że on jest mordercą! Ten stary wariat? To niedorzeczne! I co zamierzasz zrobić? Zapytać go? – ironizowała, coraz bardziej zdenerwowana.

– Zamierzam się tam rozejrzeć. Poobserwować. Może uda mi się

podejrzeć, co on robi w tej szopie. Nie wiem! Zobaczą na miejscu, co zrobię.

Nabrała powietrza i ostentacyjnie wypuściła je ustami.

– Teraz? Po nocy?

– Za jakiś czas. Tacy ludzie wstają od świtu. Znam drogę, więc nie ma problemu. Obiecuję, że jak tylko coś mi się wyda podejrzanego, dzwonię do Zebry.

– A my? – zapytał Bartek.

– Wy zostajecie tutaj i nie wyściubiacie nosa. Najlepiej, jak zamkniecie się dobrze i spróbujcie choć trochę przespać. Oczywiście nie muszę wam mówić, żeby nikomu nie otwierać. Nawet personelowi. Nikomu. Każdy może się podszyć pod obsługę hotelu.

Ponownie zapadło milczenie. Miał wyrzuty sumienia. Był świadom, że bagatelizuje sprawę, że nie jest z nimi do końca szczery. Być może ze względu na obecność Bartka, tłumaczył sobie. Ale czuł, że musi coś zrobić. Nie potrafił już siedzieć z założonymi rękami, czekać na reakcję policji, pozwolenie prokuratury, inne wymówki; był pewien, że instynkt dobrze mu podpowiada. Zawsze tak z nim było – kiedy złapał trop, nie odpuszczał. Nikt ani nic nie było w stanie cofnąć go z obranej drogi.

– Emil – odezwała się cicho Marta. – Zdajesz sobie chyba sprawę, że to może być niebezpieczne? Że się narażasz? Że... Co ja ci będę tłumaczyć! Powinna się tym zająć policja...

Podszedł do niej, przykucnął i wziął jej dłonie w swoje. Kątem oka zauważył, że jego syn dyskretnie odwraca się do nich plecami – wraz ze swoim wciąż włączonym smartfonem.

– Martuś, będę ostrożny! Obiecuję. Nie mam zamiaru się narażać. Przemyślałem to dobrze. Zaufaj mi...

– Ufam ci! Tylko będę tu umierać z niepokoju.

– Wiem. Będę z tobą w kontakcie. Nie martw się, wrócę za parę godzin, i na pewno zawiadomię Zebkę. Chcę się tylko rozejrzeć.

– Jak się nazywa ten dziadek? – odezwał się nagle Bartek.

– Dziadek? Czekaj, zaraz sprawdzę, mam to gdzieś zapisane. – Emil zajrzał do swoich notatek. – Nazywa się Leon Maksymilian Bociek. Zameldowany w Lubicach Dolnych. Emerytowany strażnik



leśny. A co?

– Nic. Może coś na niego znajdę. Trzymaj się, tato. Jakby co, to dryndę. Tylko komóry nie wyłączaj!

\* \* \*

Las, ciemność, szelesty – to wszystko sprawiło, że zatracił poczucie czasu. Dopiero jaśniejące na horyzoncie niebo podpowiedziało mu, że niedługo już zacznie świtać. O tej porze roku dzień wstaje wcześniej. Poczul się odrobinę pewniej. Przez cały ten czas, gdy ukryty w krzakach obserwował chałupę rzeźbiarza, gdy przedzierał się leśnymi ścieżkami, zabijając ciągnące się w nieskończoność minuty wypalanymi papierosami, przez cały ten upiornie wlokący się czas miał dziwne wrażenie, że ktoś go obserwuje. Już wcześniej tak się czuł. Kiedy tylko wyjechał z Trzmielowa, kierując się na szosę prowadzącą w kierunku Lubic, wydawało mu się, że ktoś za nim jedzie. Zaparkował w końcu w zatoczce za drzewami – obcy samochód śmignął tylko koło niego i pojechał dalej. Mania prześladowcza, uznał. *Co tam mania, mam zwyczajnego pietra!* Ale trudno, rzadko kiedy do tej pory spędzał samotne noce w obcym lesie. Umościł się wygodniej na zwalonym konarze, mając przed sobą nieoświetloną chatę. Nawet pies przy niej nie czekał, żaden kot nie przemknął, tylko gdzieś nad jego głową kilka razy zahuczała tylko sowa. Wzdrygnął się, przypominając sobie trupa przywiązanego do pnia drzewa. To musiało być gdzieś nieopodal. Odgonił od siebie makabryczne myśli, choć na wszelki wypadek rozejrzał się dookoła, usiłując przebić wzrokiem głęboki leśny mrok. W końcu nie wytrzymał i omiółł go światłem małej latarki, którą zawsze przy sobie nosił. Spokój. *Nikogo tu nie ma, tylko jeden wariat koczuje o tej porze w lesie* – pocieszył się niemrawo. Nagłe wibracje komórki przyprawiły go niemal o palpacje serca. W popłochu wygrzebał telefon z kieszeni, przy okazji upuszczając go na ziemię. Na szczęście podłoże było miękkie, mech i suche liście. Zerknął na wyświetlacz, przy okazji sprawdził godzinę: po trzeciej, za chwilę zacznie się robić jasno. Na ekranie wyświetlił się numer Bartka.

– No cześć, synku, nie śpisz? – odezwał się przyciszonym głosem. Dość głupio. Wcześniej już kilkakrotnie rozmawiał z Martą, mówiła mu przecież, że przez cały czas czuwają. – Wszystko w porządku?

– Raczej czy u ciebie w porządku? – reżolutnie odpowiedział syn.  
– Ale skoro cię słyszę, to znaczy, że git. Mam coś dla ciebie. Obiecałem, to mam.

– Co takiego?

– Wiesz, kim jest ten wasz Maksymilian Bociek? Bo Bociek to ksywa. Znaczy się, przybrane nazwisko. Na serio dziadek nazywa się Maksymilian Jonston. Jak ten mason...

Emil milczał oszołomiony. Nie wiedział już, czy obraz sytuacji zaczyna mu się nareszcie układać, czy przeciwnie: sypać jak domek z kart, tworząc nowe, absurdalne, niezrozumiałe konfiguracje.

– Jesteś tam, tato? – dopytywał Bartek.

– Jestem. Skąd ty to wiesz?

– Lepiej nie pytaj.

– Bartek! – na moment podniósł głos, lecz szelest za plecami spowodował, że go zmroziło. Był to jednak jedynie spadający liść, uschnięty zapewne od panującej ostatnimi dniami suszy, zerwany lekkim, już porannym, powiewem. Strach ma wielkie oczy – po raz kolejny doszedł do tego samego wniosku.

– Ma się swoje sposoby – oznajmił dumnie chłopak. – Rozłączam się, będę szukał dalej, może jeszcze coś znajdę. Uważaj na siebie, tato!

Zanim Emil zdążył coś odpowiedzieć, po drugiej stronie linii zapadła cisza. Schował telefon z powrotem do kieszeni, spoglądając jednocześnie w kierunku horyzontu: rozwidniało się. Teraz już z całą pewnością. Zapalił kolejnego papierosa, chowając go w zagłębieniu dłoni. Niedopałki wrzucał do drugiej kieszeni – była już niemal pełna. Oslonięty zaroślami, dalej obserwował dom starego rzeźbiarza. Jeśli Bartek ma rację – a czuł, że tak jest – potomka wielkiego mistrza loży masońskiej „Nasza Pani”. Syna? Wnuka...? Stary wyglądał tak, że trudno było stwierdzić, w jakim jest wieku. Wysuszona, poorana zmarszczkami twarz, ale sylwetka prosta, chód sprężysty. Mógł być równie dobrze świetnie się trzymającym osiemdziesięciolatkiem, jak i przedwcześnie postarzałym sześćdziesięciolatkiem. Emil wzruszył

ramionami: czy to ważne?

Nagle wyprostował się, odruchowo gasząc papierosa o glebę. Chałupa była już całkiem dobrze widoczna. Usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi. Ktoś przez nie wyszedł. Dziennikarz wygrzebał z plecaczka lornetkę. Tak, to był stary Bociek. To znaczy: Jonston. Skierował się do stojącej na uboczu starej szopy. Po minucie wyszedł. Coś dźwigał... Załadował to coś na wózek. Coś dużego, podłużnego, zawiniętego w plandekę. Najwyraźniej ciężkiego, gdyż starzec prznosił swój pakunek z wyraźnym wysiłkiem...

Emil schował lornetkę i – starając się poruszać bez szelestnie – zaczął zbliżać się w stronę obejścia, wciąż trzymając się linii lasu. Tymczasem stary człowiek wtaszczył swój bagaż do furgonetki i zawrócił do szopy...

Przykucnął za dużym krzakiem parzydła. Był już blisko. Na tyle blisko, że gdy podmuch wiatru odchylił rąbek plandeki, rozpoznał w otwartej furgonetce fragment sporych rozmiarów kamiennej – lub raczej cementowej – rzeźby. Odetchnął z ulgą nie dlatego, że pod brezentem nie spoczywały zwłoki, jak podejrzewałby Bartek, ale z tego powodu, że jego niejasne domysły właśnie się potwierdziły. Po raz kolejny w życiu pobłogosławił swój dziennikarski instynkt. Intuicję, z której dobrotliwie podkpiwał sobie Zebra, choć Emil wiedział, że tak naprawdę ją docenia. Po chwili starzec wrócił z kolejnym pakunkiem, a następnie cała operacja powtórzyła się jeszcze dwukrotnie. W sumie cztery duże figury. Nieźle, jak na amatora. W końcu Bociek-Jonston powrócił już bez wózka, zamknął tylne drzwi furgonetki, po czym wsiadł do środka i ruszył w stronę szosy. Gdy odjechał, dziennikarz odczekał jeszcze z kwadrans pod osłoną rozłożystego krzewu, rozglądając się czujnie dookoła. Wciąż miał idiotyczne wrażenie, że jest obserwowany. Jednak dziada nie było, z całą pewnością. Odgonił obsesyjne myśli i ruszył ostrożnie w stronę podwórka. Nie było psa, nikt nie pilnował obejścia. Walały się tu tylko puste beczki i cała masa innych śmieci. Najpierw udał się do szopy. Nie była zamknięta, tylko zabezpieczona od zewnątrz łańcuchem – raczej przed wiatrem niż przed niepożądanymi

gośćmi. Widocznie stary czuł się bezpiecznie na swoim odludziu. Cieszył się zresztą tak złą sławą w okolicy, że pewnie nikt nie miał ochoty go odwiedzać. Nawet złodzieje. Bo po co? Wszyscy wiedzieli, że jest biedny jak mysz kościelna. Emil zajrzał do środka. Rzut oka wystarczył, by się upewnić: worki białego cementu, kadzie i formy wypełniały całe obszerne pomieszczenie. Wyszedł i starannie zamknął za sobą drzwi, zabezpieczając je łańcuchem w ten sam sposób, w jaki zrobił to uprzednio gospodarz. Przystanął, słysząc warkot silnika od strony szosy. Odgłos jednak oddalił się i ucichł, nikt nie skręcił w polną drogę, prowadzącą do gospodarstwa rzeźbiarza. Czując się nieco paskudnie, podszedł do chałupy. Wyglądała na bardzo starą, niemal zapadającą się w ziemię. Jeszcze raz rozejrzał się, zanim nacisnął klamkę. Niestety: zamknięte. Usiłował zajrzeć do środka przez brudne szyby walącego się ganku, były jednak zasłonięte brudną kwiecistą firanką. Zawahał się, po czym obszedł dom dookoła. Z tyłu, od strony podwórza, natknął się na kolejne drzwi, zapewne kuchenne. Tym razem czekał go sukces – miały tylko zasunięty skobel. Otworzył go bez trudu. Ponownie omiół wzrokiem podwórko. To nie będzie włamanie – pocieszył się. W sumie drzwi były otwarte. Zawsze może powiedzieć, że zajrzał zaalarmowany brakiem odpowiedzi ze strony starego przecież człowieka. Dookoła panował spokój. Wręcz martwa cisza, przerwane jedynie świergotem ptaków. Dzień wstał już jasny, słońce zaczynało powoli przygrzewać. Marta z Bartkiem poszli pewnie wykąpać się w kąpielisku, mieli tam przecież dwa kroki. Nagle zatęsknił za normalnością. Tylko najpierw... Zdecydowany, wszedł wreszcie do środka. Musi skorzystać z okazji, rozejrzeć się, potwierdzić lub zaprzeczyć swoim przeczuciom. Zamknął za sobą drzwi. Chałupa była niska, ciemna i wilgotna, panowała w niej duchota i bałagan. Mebli stało tu niewiele, prostych i praktycznych, większość najprawdopodobniej własnej roboty. W końcu w drzewie też dziadek robił. W kuchni – bo pomieszczeniem, w którym się znalazł, rzeczywiście była kuchnia – stał żelazny piec, blaszany zlew wypełniony brudnymi garnkami, oraz prosty drewniany stół zasłany starymi gazetami. Wystroju dopełniał mały telewizor: czarno-biały, z antenką. Z kuchni przechodziło się do przedsionka, gdzie pod ścianą umieszczony został barłóg, służący

zapewne do spania. Stąd, za zasłonką, znajdowało się wejście do jedyne go pomieszczenia, który można by nazwać pokojem. Emil wszedł i... dosłownie zdębiał. Znajdowały się tu wyłącznie półki z książkami. Pełne książek! Podszedł, by sprawdzić tytuły; większości z nich nie rozumiał: były w obcych językach: niemieckim, francuskim i angielskim. Fachowa literatura, o ile się dobre orientował, z dziedziny historii starożytnej, a także historii powszechnej. Zawrócił do kuchni, zdecydowany opuścić to miejsce. W zasadzie znalazł już odpowiedź, której szukał. Teraz tylko należy zaalarmować Marka Zembrę. Niech szukają powiązań. Naraz jednak potknął się o wystający, przetarty dywanik. Zaklął i przesunął go nogą. Pod nim coś było... Kłapa w podłodze. Oczywiście! Jak to w starych wiejskich domach. Zejście do piwnicy. Niepewny co robić, uniósł klapę: ujrzał prowadzące w dół koślawe drewniane schodki. Dalej panowała ciemność. Podkusiło go. Wyjął latarkę i z bijącym sercem zaczął schodzić w czarną czeluść...

Schodków było niewiele, już po chwili znalazł się na dole. Nie było tu czuć zatęchłego piwnicznego zapachu, powietrze wydawało się wręcz czyste i świeże po zaduchu panującym w samym domu. Dziwne, bo nie zauważył żadnego piwnicznego okienka ani innego otworu wentylacyjnego. Poświecił latarką po ścianach w poszukiwaniu włącznika światła. Znalazł go przy samym drzwiach. Gdy w pomieszczeniu zrobiło się jasno, Emil zdumiał się po raz wtóry. Ujrzał nie tyle zwykłą piwnicę, co raczej ascetycznie, lecz starannie utrzymany salonik. Lub raczej nie salonik, a bardziej gabinet: na środku stało duże, stare biurko z ciemnego drewna. Na nim lampa biurowa. Włączył ją, bo goła żarówka zwisająca z sufitu dawała byt mało światła. Biurko nie było puste, tylko wyraźnie używane: blat zaścielały książki oraz kolejne sterty gazet i czasopism, tym razem zagranicznych – przejrzał je pobieżnie, wszystkie dotyczyły tematyki historycznej i archeologicznej. Obok piętrzyły się katalogi najróżniejszych światowych księgarń i antykwariatów. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiona była zbita z deszczulek półka, na niej mnóstwo albumów ze sztuką. Wszystkie hiszpańskie. Nad nią wisiała postrzępiona słomiana mata, do której

pinokami przypięto wycinki z prasy: zazwyczaj zdjęcia jakichś egzotycznych krajobrazów, ruin, kawałków ceramiki. megalitów, fragmenty starożytnych napisów. Druga ściana była pusta, nieobudowana żadnymi meblami, a pod tą na wprost schodów znajdowała się tylko dużych rozmiarów szafa. Podłoga była jedynie zabetonowanym klepiskiem, leżał jednak na niej całkiem czysty, wzorzysty dywanik. Przy biurku stał zużyty, lecz wygodny fotel. Lecz nie to było dla dziennikarza największym zaskoczeniem. Zaszokowała go rzeźba ustawiona na postumencie, pośrodku wolnej ściany. Było to sporych rozmiarów, całkiem udane popiersie... Dama z Elche. Emil znał ją już niemal na pamięć i mógłby przysiąc, że była to wierna kopia. Odlew z białego cementu. Prawdopodobnie własnej roboty.

Zajrzał do szuflad biurka. Wszystkie były zapchane papierami i zeszytami. Na chybił trafił otworzył jeden z nich: notatki po niemiecku, zapisane zawilgłym, równym, mocno pochylonym charakterem pisma. Zapewne atramentem, bo na biurku stał staroświecki kałamarz, a w górnej szufladzie znalazł kilka starych wiecznych piór. Tanich, nie markowych, lecz wciąż zdalnych do użytku. Pomieszczenie, mimo swej surowości, miało klimat. Emil zapragnął rozsiąść się w miękkim fotelu i obejrzeć książki, wiedział jednak, że czas go goni. Dziad w każdej chwili mógł wrócić i zaskoczyć go na włamaniu do swego domu. Zaintrygowany podszedł do szafy. Zajrzy tylko i zaraz opuści chatę. Zadzwoń do Zebry. Warto tu ściągnąć policję. Otworzył rozsuwane drzwiczki. Z wnętrza niespodziewanie buchnął na niego strumień zimnego powietrza, zaraz potem usłyszał ciche brzęczenie... Muchy? Komara...? A skąd tu owady? I skąd ten podmuch...?

Wnętrze szafy było obszerne, lecz prawie puste, dopatrywał się tylko starych kaloszy i zwiniętego ubrania, najwyraźniej roboczego. Na tym się nie skupił. Intrygowało go raczej, skąd dochodzi powietrze. Wentylacja...? Obmacał tylną ściankę mebla i... poczuł, że się porusza. Naparł mocniej: ustąpiła, okazując się czymś w rodzaju przesuwanych drzwi, za których powiało chłodem... Kolejna piwnica? Ukryte pomieszczenie?

Emil znieruchomiał, myśląc intensywnie. Jak dużo miał czasu? Przebywał w tym domu jakieś pół godziny, może nawet mniej.

Wcześniej tylko zajrzał do szopy. Stary odjechał tuż wcześniej. Jest szansa, że tak szybko nie wróci, miał przecież coś do załatwienia, gdzieś wiozł te rzeźby, może rozwozi je osobiście po klientach, a może wozi do jakiegoś magazynu. Ale zawsze zajmuje to jednak trochę czasu. Tym się pokrzepił. Poświecił w czarną czeluść, którą miał teraz przed sobą. Ujrzał prowadzące w dół kamienne schody: ginęły w mroku. Zdecydował się – wszedł do szafy, przymykając za sobą drzwi. Raz kozie śmierć...

To, co wydarzyło się później, zawsze już będzie wspominał jak surrealistyczny sen, w którym czas i logika nie istnieją. Kalejdoskop emocji, obrazów i zdarzeń. Do dziś nie był pewny, co wydarzyło się naprawdę, a co było tylko urojeniem. Choćby – na zdrowy rozum – wszystko wskazywało na to, że niczego sobie nie uroił. Przeżycie było to jednak tak intensywne i niezwykle, że nawet w jego pamięci zatraciło resztki realności.

Schody były wyślizgane i kręte, zdawało się, że ciągnące w nieskończoność. Lecz zapewne prowadziły po prostu kilka metrów w głąb ziemi. Im schodził niżej, tym bardziej robiło się zimno – niczym w jaskini. Gdy stopnie wreszcie się skończyły, w świetle latarki ujrzał przed sobą spore okrągłe pomieszczenie. Murowana komnata. Ciemna, choć nie do końca, bo gdzieś z głębi migotała na czerwono „wieczna lampka”. Mizerne światło jego latarki wydobyło z mroku otchłani coś, od czego zrobiło mu się niemal gorąco, choć przecież nadal czuł na karku mroźne podmuchy. *Fatamorgana – pomyślał. Albo obłąd. Tylko czyj? Mój? Zwariowałem...?*

Posąg był wielki, z pewnością wyższy niż on sam, a nie był ułamkiem. Stał w dodatku na masywnym, zdobionym postumencie. Chyba marmurowym. To stamtąd migotało nagle czerwone światełko. Sama figura połyskiwała metalicznie, jak gdyby emanując własnym, mieniącym się, tajemnym blaskiem. Nie rozpoznał jednak, co to za metal. Złoto? Srebro? Jakiś stop? Rozpoznał natomiast piękną, surową twarz, wpatrującą się w niego uważnie, misterne nausznice, charakterystyczne spiczaste nakrycie głowy. Dama z pewnością była

boginią. Nie mogło być inaczej. Wyprostowana, dostojna, w bogato zdobionej długiej szacie, z koliań na piersi i w płaszczu narzuconym na suknię – wydawała się groźna, lecz zarazem miłosierna...

*Tego nie wyrzeźbił człowiek* – przemknęło mu przez głowę. Tę myśl zapamiętał, co jakiś czas do niego powracała. *Tego nie wyrzeźbił człowiek. Ten posąg ma tysiące lat, a może jest wieczny.*

Wodząc latarką wokół komnaty, zwrócił uwagę na umieszczone w murach cztery duże pochodnie. Niewiele myśląc, wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i zapalił je po kolei. Zrobiło się niemal jasno, złote płomienie pełzały po ścianach i lśniącej kamiennej posadzce, odbijały się od nich, wydobywając szczegóły. Za posągiem zobaczył otwór w ścianie, zavalony gruzem i częściowo przysłonięty kamienną płytą. Sprawiał wrażenie wejścia do dalszych korytarzy lub do tunelu. Pomieszczenie wyglądało jak grotta, jak... świątynia. Naraz zdał sobie sprawę z tego, że nie myli się: było świątynią. Domem Naszej Pani. Wreszcie ją odnalazł...

Odważył się podejść bliżej rzeźby. U jego stóp rozstawione były wypalone świece, na cokole leżał bukiet zasuszonych kwiatów. Zrozumiał wszystko, gdy z bliska spojrzął w twarz bogini – w ruchomym oświetleniu podoczni była pełna życia. Tak żywa, że aż odskoczył. Modliłby się, gdyby tylko potrafił.

Tymczasem odruchowo wyjął z kieszeni telefon i pstryknął parę ujęć. Nie zabrał ze sobą torby fotograficznej, została w samochodzie. Teraz żałował, ale komórka musi wystarczyć. Zerknął na wyświetlacz: zdjęcia wyszły ciemne, niewyraźne, ale coś będzie widać. Schował telefon. Czas wracać. Nagle za plecami usłyszał jakiś szelest. Tupot nóg, roznoszący się echem w kamiennej krypcie. Ciężki oddech. Odwrócił się na pięcie – wysoki starzec, z twarzą wykrzywioną upiornym grymasem, pod którym kryła się ni to wściekłość, ni to strach, zamierzał się na niego wielkim kuchennym nożem. Emil zrobił unik, lecz mężczyzna szarżował z coraz większą determinacją, wymachując ostrzem i rycząc niezrozumiale, brzmiało to jak jakiś pierwotny zaśpiew. Dziennikarz przywarł do podstawy cokołu. Przez głowę przemknęła mu myśl, że to



już koniec, zginie w tej podziemnej grocie zadźgany przez szaleńca, pod czujnym spojrzeniem Naszej Pani, wyrozumiałej dla ludzkich słabości lub może tylko obojętnej. Nikt go nigdy nie znajdzie. Tylko u bogini mógł szukać wsparcia. Kiedy już przymykał powieki, by z rezygnacją przyjąć cios, sytuacja przybrała nieoczekiwany obrót...

Rozległ się okrzyk w obcym języku, krótki i rozkazujący. U szczytu schodów pojawiły się dwie zamaskowane sylwetki, uzbrojone w krótkie karabiny automatyczne, takie jak uzi. Trzecia, zamiast broni, dzierżyła pod pachą zwój grubej stalowej liny. Emil ujrzał je od razu – stał twarzą w tamtym kierunku – starzec natomiast zastygł, znieruchomiał, po czym odwrócił się powoli. Mężczyźni na schodach sprawiali wrażenie zwinnych, silnych, opanowanych – i całkowicie beznamiętnych. Z pewnością nie jest to polska policja, pomyślał machinalnie Żądło. Tę myśl także zapamiętał.

Jeden z nich skinął na dziennikarza, nie spuszczać z oczu – bo tylko oczy było widać spod czarnej kominiarki – ze starego człowieka z nożem w ręku.

– Vamos, muévanse! – rzucił ponaglająco. – Go, go!

Emil ruszył. W tym samym momencie usłyszał nad sobą przeciągły ryk. Wojenna pieśń. Agonalny krzyk rannego drapieznika. Ktoś podstawił mu nogę. Potknął się. Runął, uderzając głową w kamienną posadzkę.

Nie poczuł bólu.

Od razu nastąpiła ciemność...

\* \* \*

Obudził go narastający odgłos syren. Momentalnie się ocknął, czując ból głowy przy każdym poruszeniu. Dotknął skroni: miał tam fachowo założony opatrunek. Syreny dalej wyły. Dźwignął się z miejsca. Dopiero teraz zrozumiał, gdzie jest. Dom starego rzeźbiarza, jego barłóg. Przez otwarte drzwi do kuchni zobaczył odemkniętą klapę do piwnicy.

Wspomnienie wróciło. Sen – nie sen? Sam już nie był tego pewien. Powlókł się do drzwi. Przed chałupą było już mnóstwo policji. Na jego widok nastąpiło wśród nich widoczne poruszenie. Dziennikarz pomyślał ironicznie, że byłoby nawet zabawnie, gdyby teraz, na koniec, zastrzelili go swoi. Na szczęście do niczego takiego nie doszło. Od strony zaparowanego pod samym lasem nieoznakowanego białego opla zmierzał ku niemu nie kto inny, tylko sam komisarz Marek Zebra w towarzystwie młodego sierżanta. Z drugiego samochodu wysypali się technicy, z trzeciego wysiadł z godnością znany już od lat Emilowi lekarz policyjny.

– Skąd się tutaj wzięliście? – rzucił pytanie, gdy tylko Zebra zbliżył się ku niemu. Nie wiedzieć czemu, właśnie to wydało mu się w tej chwili najistotniejsze.

Mina komisarza nie wróżyła niczego dobrego.

– A ty skąd się, kurwa, tu wziąłeś? – odparł pytaniem na pytanie. W tym samym czasie jego ludzie weszli do domu. Emil zastanowił się. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Jeszcze nie do końca wszystko ogarniał, a intensywny ból w skroniach bynajmniej mu tego nie ułatwiał.

– Chciałem się tylko rozejrzeć, zajrzeć do szopy. Dopiero jak Bartek zadzwonił, że... – zaczął w końcu i zaraz urwał, czując, że zabrnął za daleko.

– Twój syn?

Emil potwierdził skinieniem głowy.

– Domyślił się, że ten cały Bociek może być potomkiem tego masona. Właściciela pałacu.

Komisarz przyjrzał mu się z niedowierzaniem.

– Nie wysilaj się. O takich rewelacjach pierwsze słyszę, ale rozmawiałem już z Martą – dodał cynicznie. – Durniu jeden. Zawiadomił nas ktoś inny. Może ty wiesz coś o tym?

– Ja? Nic nie wiem, bo... – Wskazał znacząco na swoją głowę.. – Kto was zawiadomił?

– Usiądźmy. – Zebra zaproponował drewnianą ławkę, stojącą przed chałupą. – Zadzwonił do nas jakiś osobnik mówiący po angielsku. To on nas tu ściągnął, a Marta telefonowała dopiero pół godziny temu spanikowana. Oddzwoń do niej zaraz, jak tylko złożysz zeznania. Ma

biedna dziewczyna krzyż pański z takim idiotą, szkoda gadać... Mój sierżant cię teraz oficjalnie przesłucha. Podobno mamy trupa. – Zerknął w stronę ganku, skąd wychylił się właśnie jeden z policjantów. Skinął potwierdzająco głową i znikł z powrotem wewnątrz domu. – Ostrzegam, że możesz mieć kłopoty.

– Nikogo nie zabiłem! – zaprotestował słabo. – Sam oberwałem w łeb...

– Widzę. Nasz lekarz zaraz to obejrzy. Wprawdzie jest od nieboszczyków, ale ty wyglądasz jak nieboszczyk, więc może się nawet nie spostrzeże. Kto cię opatrzył?

– Nie wiem. Namierzyliście tego, kto do was dzwonił?

Komisarz popatrzył na niego z politowaniem.

– Numer nieznany. Na kartę. Teraz zresztą już nie odpowiada. Jednym słowem, szukaj wiatru w polu. Diabli chyba nam to wszystko nadali... No dobra, zawołam sierżanta, żeby przyjął od ciebie zeznanie. Czujesz się na siłach? Ja idę obejrzeć zwłoki.

Emil skinął głową, w panice usiłując przypomnieć sobie przebieg wypadków. To wszystko naprawdę wydało mu się sennym koszmarem.

– Hej, Zebra! – zawołał do oddalającego się już policjanta. – Tam są podziemia, a w nich jest... Nasza Pani!

– Odbiło ci? – Komisarz przystanął.

– Mówię, że jest tam posąg. Ten z Tartessos. Albo z Atlantydy. Wielki posąg bogini. Piękny. Odlany z jakiegoś szlachetnego metalu...

– To znaczy z jakiego? Ze złota? – zakpił Zebra.

– Nie, nie sądzę. Z czegoś innego. Podobno Tartessyjczycy znali jakiś tajemniczy kruszec, cenniejszy niż złoto... – przypomniał sobie Emil.

Policjant zmierzył go jeszcze raz przeciągłym spojrzeniem, po czym zdecydowanym krokiem wszedł do chałupy.

– Mam zdjęcia! – krzyknął za nim dziennikarz, lecz tamten już znikł z pola widzenia. Westchnął i zapalił papierosa. Napisał esemesa do Marty, odczekał, aż przyjdzie potwierdzenie odbioru. Nie odpisała. Zadzwoń później, teraz nie miał odwagi się z tym zmierzyć. Przy okazji zajrzał do zdjęć. Były tam. Może mało wyraźne, ale za to z klimatem. Ulga. Przynajmniej ma dowód, że nie konfabuluje. Po chwili podszedł

do niego sierżant z dyktafonem.

– Muszę pana przesłuchać, panie Emilu – oznajmił przepaszającym tonem. – Takie dostałem polecenie. Proszę opowiedzieć mi wszystko od początku. To znaczy, odkąd znalazł się pan w tym miejscu...

### *Kilka dni później*

– Uporządkujmy to jakoś, bo na razie mam tylko chaos w głowie – poprosiła Marta, stawiając na stole dzbanek z kawą. Wreszcie mieli czas tylko dla siebie. Bartek wrócił do Szwecji, śledztwo zostało zawieszone. – Rozumiem, że nie wszystko udało się wyjaśnić do końca, ale mordercą na pewno był ten stary Jonston?

Emil pokiwał głową. Niechętnie wracał do tego tematu. Ostatnio nic innego nie robił, a wspomnienie tego, co przeżył w tamtym domu – „przeżył” w sensie dosłownym – wciąż było świeże i niepokojące. Rozumiał jednak, że Marta ma prawo to wiedzieć. W końcu bez jej fachowej pomocy błędziliby pewnie jak dzieci we mgle, a ofiar by przybywało, bo trudno powstrzymać raz uwolnioną falę szaleństwa.

– Z pewnością. Teoretycznie dochodzenie nie zostało zamknięte, pozostały niejasności, jednak najważniejsze wiemy. Dobrze, zaczekaj, spróbuję od początku – rzekł z rezygnacją. – Policja dokładnie przekopala dom starego. Zabezpieczono mnóstwo dowodów. Ale o tym za chwilę. Przede wszystkim znaleźli w pomieszczeniu pod piwnicą zwłoki samego Boćka. To znaczy Jonstona, bo nie ma już wątpliwości, że tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko. Bartek się nie pomylił, jakkolwiek pojęcia nie mam, jakimi metodami do tego doszedł i niekoniecznie je pochwalam. Przez jakiś czas obawiałem się, że będę naturalnym podejrzanym, ale na moje szczęście patolog niemal od razu rozpoznał samobójstwo, co potem zostało potwierdzone w trakcie sekcji. Staruszek sam poderżnął sobie gardło, prawdopodobnie w obronie swojej bogini. Nie widziałem tego momentu na własne oczy, w tym czasie byłem już nieprzytomny, ale wszystko na to wskazuje. Bo, jak

wiesz, posąg zniknął. Został tylko cokół. Wróćmy teraz do dowodów rzeczowych. Wszystko jest czarno na białym. W ogródku znaleziono szczątki trzech osób. Jedną z nich zidentyfikowano – to z całą pewnością Bernacki. Dwie pozostałe osoby zginęły znacznie wcześniej, ale policja domyśla się, kim były. Odpowiedź znajduje się w osobistych notatkach Boćka-Jonstona, które prowadził regularnie od lat. Po niemiecku, może po to, żeby się kamuflować, a może z sentymentu: był to w końcu język jego dzieciństwa. Wszystko w nich wyśpiewał i uprzedzam: jest to przerażające. I tragiczne. Jonston miał mniej więcej osiem lat, przynajmniej tak wynika z oficjalnych dokumentów Boćka, kiedy Ruscy wymordowali mu prawie całą rodzinę. Stary Jonston, jego dziadek, ten mason, zginął rozstrzelany na jego oczach. Nie chciał uciekać, nie był Niemcem, jak wiesz, z pochodzenia był Szkotem. Tyle że kacapy o tym nie wiedziały. Albo mieli to gdzieś. W każdym razie dziadka zabili, matkę i babkę też, wytlukli część służby, a ojca – czyli syna właściciela pałacu – wraz z dzieciakiem złapali i wywieźli do Związku Sowieckiego, do łagru. Widocznie młody panicz jako robotnik był dla nich cenny, a małego oszczędzili. Stary Jonston – mason – zdążył tylko zabezpieczyć swoją największą tajemnicę: figurę, którą nielegalnie wykupił z wykopalisk prowadzonych przez Schultena w Andaluzji, w dwudziestym piątym roku, przekupując jednego z kierowników robót pod nieobecność szefa. Zrobiono to tak skutecznie, że ta niezwykle cenna rzeźba całkowicie wyparowała nie tylko z wykopalisk, ale i z kart historii. Podobno od pałacu do domku ogrodnika, czyli dzisiejszej chałupy naszego Boćka-Jonstona, przekopano tunel, a w jego połowie znajdować się miała komnata łoży masońskiej. To tam pierwotnie stała figura. Wejście do tych podziemi nie prowadziło z samego pałacu, ale od starej studni znajdującej się na podwórku. Gdy Rosjanie zbliżali się do Gdańska, stary Jonston kazał zagruzować i zakopać włązy z obu stron, a w miejsce studni przenieść kamienną fontannę. Jej pozostałości zachowały się do dziś, więc jeśli to prawda, wkrótce znajdą wejście do tych legendarnych katakumb... Wróćmy do młodego Jonstona. Nie wiemy, co stało się z jego ojcem, prawdopodobnie nie przeżył obozu, a chłopak trafił najpierw do sierocińca, a następnie został przysposobiony przez jakąś szychę partyjną, pobrał odpowiednie nauki

i z czasem zaczął piąć się po szczeblach kariery. Szczegółów w swoim pamiętniku nie przytoczył, ale napisał, że nie jest z tego dumny – nie miał jednak wyboru. W to jestem skłonny uwierzyć. W każdym razie po śmierci Stalina postanowił wrócić do kraju, by kontynuować dzieło przodków. Udało mu się to w roku sześćdziesiątym drugim. Musiał mieć niezłe plecy, bo wprawdzie pałacu odzyskać nie mógł, kwitło tam wtedy w najlepsze gospodarstwo rolne, upewnił się jednak, że tajemnicy rodzinnej nikt tymczasem nie wykrył, za to w dożywotnie użytkowanie otrzymał od władz domek ogrodnika oraz posadę strażnika leśnego. I to go zadowoliło, bo wiedział przecież o drugim wejściu do podziemi. Wraz z dwoma pomocnikami, z których jeden prawdopodobnie był tym ogrodnikiem, a drugi jego bratem, udało mu się przetransportować posąg do pomieszczenia pod chatą, w której urządził sobie prywatną świątynię. Obu pomocników – jako zbędnych świadków – załatwił. Zapewne to ich kości spoczywały przez te wszystkie lata pod samym jego oknem. Niezłe się urządził, zmienił nazwisko, nikt z wyjątkiem ówczesnych partyjniaków wyższego szczebla nie znał jego prawdziwej tożsamości. Prawdopodobnie utrzymywał też kontakty z byłymi masonami, którym udało się przeżyć wojnę i osiąść na Zachodzie. Zapewne to oni pomagali mu sprowadzać zza granicy te wszystkie książki i prenumeraty specjalistycznych czasopism, przynajmniej po roku osiemdziesiątym dziewiątym. Żyłby sobie błogo, korzystając z niewysokiej, lecz wystarczającej na jego potrzeby emerytury, dorabiał zresztą odlewami rzeźb ogrodowych – umiejętność, którą nabył jeszcze w Związku Radzieckim, bo upodobania do sztuki miał podobno od kolebki – gdyby nagle coś nie zaczęło się sypać. Pękła bańka mydlana. Kogoś zainteresował pałac w Lubicach. Zaczęli nachodzić go obcy, dopytywać, nagabywać, w jego mniemaniu – prześladować. Podejrzewali go, najwyraźniej byli bliscy odkrycia jego sekretu. Chcieli mu odebrać jego skarb. Musiał chronić bóstwo, dotrzymać złożonej przysięgi. Zabijanie nie było dla niego niczym nowym, a teraz wmówił sobie dodatkowo, że bogini domaga się od niego krwawej ofiary. Podobno Atlantyde sami bogowie zmiotli z powierzchni ziemi z powodu pychy i chciwości jej mieszkańców. Może chciał tym bogom dorównać... Kiedy zabił pierwszego, a był nim Bernacki, reszta poszła jak z płatka. Pieczęć

wykonał własnoręcznie, pragnął, by było jasne, że tak naprawdę wyrok na tych „złych ludziach, grzesznikach, niewiernych” wykonała sama bogini, jego rękoma. Wierzył w to święcie. Radny Kowalski zginął z nieco innego powodu i dlatego nie podpadał pod schemat. Był jedynym człowiekiem w gminie, który wiedział, kim jest Bociek. Sam pochodził rodziny o tradycjach masońskich. Stary szykował go na swego następcę. To w jego gestii leżał zarówno pałac, jak i posesja z „domkiem ogrodnika”, formalnie należąca do gminy. Kowalski chronił starca, lecz do czasu. Trudno powiedzieć, na czym polegał konflikt, czy radny dowiedział się o morderstwach i się wystraszył, czy chodziło raczej – jak twierdził w swoich notatkach Bociek – o to, że urzędnik także zgrzeszył chciwością, chcąc sprzedać pałac... w każdym razie też musiał zginąć. A potem zaalarmowała go nasza kolejna wizyta w Lubicach. Muszę jednak oddać staruszkowi sprawiedliwość: nas nie chciał załatwić, tylko nastraszyć. W tym celu pozostawił swój „podpis”. Tłumaczył się, że „niewinnej krwi nie będzie przelewał”. Dopiero tam, w tej grocie, już pewnie nie miał wyjścia. Zadźgałby mnie bez litości. Gdyby nie...

– No właśnie. Gdyby nie ci tajemniczy osobnicy, o których nikt nic nie wie – dopowiedziała Marta. – Myślisz, że moi koledzy naukowcy mieli z nimi jakieś powiązania? Pracowali dla kogoś?

– Najprawdopodobniej dla kogoś „z Hiszpanii”.

– Dla mafii?

– Nie potrafię ci na to pytanie odpowiedzieć. Zebra wciąż upiera się przy swojej teorii. Ma co prawda dylemat, bo z jednej strony buntuje się jego zdrowy rozsądek, wciąż trudno mu uwierzyć w tę całą historię, ale z drugiej... fakt, że rzeźba zniknęła. A że była, zaprzeczyć nie może: jest cokolwiek, są moje zdjęcia. Kiepskiej jakości, zabrakło oświetlenia, ale jednak figurę na nich widać wyraźnie. Do tego trzeci szkopuł. Zamaskowani goście wcale nie zachowywali się jak bandyci...

– Oprócz tego, że to przypuszczalnie oni włamali się do naszego domu? – zauważyła przytomnie.

– Zgadza się. Przypuszczam, że śledzili nas, bo z naukowcami im nie wyszło: może nie zdążyli podzielić się wiedzą albo chcieli ugrać więcej. W końcu „zamaskowani” trafili na Jonstona moim tropem. Tak przynajmniej myślę. Ale też uratowali mi dupę, opatrzyli rozbity łeb,

zawiadomili gliny. Starego też nie oni zabili. Załatwił się we własnym zakresie. Tak postępują gangsterzy?

Marta zastanowiła się, drapiąc za uchem śpiącego na jej kolanach kota.

– Złodzieje gentelmani? Jak Arsen Lupin? – Uśmiechnęła się. – Ale sprawiali wrażenie fachowców? – dopytała po chwili.

– Z pewnością. Mam swoją teorię, ale... Nie będę fantazjował. Za mało danych. Może się z czasem samo się wyjaśni.

– Może jak znajdą tę rzeźbę... Szkoda jej. To by była sensacja. Choć i tak... w sumie pochodziła z kradzieży.

– Jak *Sąd Ostateczny* Memlinga! – Zaśmiał się.

– Prawie.

– No dobra. A ten tajemniczy hiszpański inwestor?

– Wycofał się.

– Ale miał z tym jakiś związek?

– Myślę, że tak. Trudno uwierzyć w przypadek. Ktoś za tym wszystkim stał, no ale. pewnie już się tego nie dowiemy.

– Co teraz będzie z pałacem?

Emil wzruszył ramionami.

– A co ma być? Pozostanie w rękach gminy. Przeprowadzą stosowne badania, potem wyremontują go z funduszy unijnych i będą zbijać kokosy. Ty wiesz, jaka to atrakcja, podziemne komnaty masonów?!

– To fakt. – Uśmiechnęła się. – Słuchaj, ten Bociek... on naprawdę czcił tę Naszą Panią? Wierzył w to? Poważnie? Był chory?

– Czy był chory... trudno powiedzieć. Czy wiara jest chorobą? Czy ktoś to kiedyś badał? Nie wiem. To mnie przerasta. Muszę ci się przyznać, że... sam coś takiego przeżyłem, przez moment, tam, w tej jego krypcie. Podziałał klimat, dałem się zauroczyć. Jestem pewien, że on w to wierzył. Tak, czcił, zdecydowanie. Ostatecznie oddał własne życie za swoją boginię. Uważał się za jej strażnika i kapłana. Może nie ostatniego, bo przecież szykował następcę, ale jedyne. Popadał zresztą w coraz większą bigoterię. Gdybyś wiedziała, co on na ten temat wypisywał w tych swoich zeszytach... Że to jedyna prawdziwa i słuszna wiara, cała reszta ludzkości błędzi, a ci, którzy nie będą posłuszni Naszej



Pani, zostaną potępieni. W końcu w jej imieniu zabijał...

– Coś mi to przypomina – weszła mu w słowo. – Tak się rodzą religie.

– Tak się rodzi fanatyzm – uzupełnił. – Bardzo niebezpieczny, jak widać. Opanowany w ten sposób umysł nadaje na specjalnych falach. A fanatyk sam chciałby stać się bogiem. Skoro nie może nim być, pragnie przynajmniej posługiwać się bóstwem, uszczknąć dla siebie choć odrobinę jego boskości. Wtedy dochodzi do tragedii, może na różną skalę, ale zawsze do tragedii.

– Masz rację – zgodziła się. – Przeróżające to wszystko...

Emil, chcąc rozładować atmosferę, zmienił temat.

– Też wolałbym już o tym nie myśleć. Masz pozdrowienia od Ewy i Szymona. Zapraszają nas do siebie. Zdaje się, że zamierzają nam przekazać dobrą nowinę...

– O! No i super. Czas najwyższy. A właśnie! – przypomniała sobie. – A o co w końcu chodzi z tym debilem Kleczką? Dzwonił tu dziś od samego z awanturą, krzyczał, że zniszczy ciebie i tę waszą „szmatławą gazetkę”. Rozłączyłam się, po chwili zadzwonił znowu, ale już nie odbierałam.

– No i dobrze. – Dziennikarz uśmiechnął się z zadowoleniem. – Kleczko walnął napuszony tekst o rozbiciu siatki handlarzy dziełami sztuki, oczywiście w kontekście ostatnich zabójstw. Tego samego dnia, tylko kilka godzin później, Zebra oznajmił na konferencji prasowej, że policja namierzyła seryjnego mordercę. Kleczko się obraził. Zbłądził się i widocznie szlag go trafił.

– Maczałeś w tym palce?

W odpowiedzi uśmiechnął się tylko tajemniczo.

– Idę po wino. Trzeba to wszystko uczcić. – Marta wstała, przeciągając się. – Najważniejsze, że żyjesz. Co ja bym bez ciebie zrobiła, ty... ty...

– Wyjdiesz za mnie?

– Może?

Emil ponownie się uśmiechnął. Zarówno do niej, jak i do siebie. Wiedział doskonale, że jeszcze przynajmniej ze sto razy powrócą do tego tematu. Wiedział też, że i tak pogodzi się ze wszystkim, co

postanowi Jego Pani...

## Epilog

### *Kilka miesięcy później*

Z samego rana ze snu wyrwał go telefon. Mimo że o tej porze jak zwykle słabo kojarzył, próbował wyczytać na wyświetlaczu, kto dzwoni, jednak za nic nie potrafił rozpoznać tego numeru.

– Dzwonię z komórki Marysi. Obudź się! – nakazał wyraźnie zdenerwowany komisarz Marek Zebra. – Idź do komputera i prześlij mi na prywatną pocztę te twoje zdjęcia z krypty Jonstona. Te z posągiem. Wszystkie! Natychmiast!

Emil tarł zaspane oczy, próbując odpędzić resztki snu.

– A co się stało? – zapytał, niezbyt jeszcze przytomnie.

– Stało się. Ktoś znowu włamał się na nasz serwer. Na policyjny, rozumiesz?! Wszystko zniknęło, i to bezpowrotnie! Nawet nasz technik tego nie odzyska! Nie wiem, dowcipniś jakiś czy...

Dziennikarz od razu oprzytomniał, zdjęty paniką, że może to jego syn się w ten sposób zabawia, szybko jednak odgonił od siebie tę myśl. Po pierwsze, Bartek nie jest idiotą. Po drugie, może i jest młodocianym hakerem, ale nie jest profesjonalistą. Włamania na policyjny serwer mógł dokonać tylko prawdziwy spec.

– Zaczekaj – powiedział do Zebry. – Włączam kompa...

– Czekam, pospiesz się, do cholery!

Emil uruchomił laptopa, zalogował się, otworzył folder ze

zdjęciami z Lubic. Zastygł. Plików nie było. Sprawdził trzy razy wszystkie foldery z pulpitu, wrócił do początku, otworzył je kolejno po raz czwarty... Zdjęcia zniknęły.

– Nie ma – odezwał się do słuchawki, z niedowierzaniem. – Nie ma ani jednego!

– Tak myślałem – ponuro odparł komisarz. – Może masz je jeszcze w telefonie? – dodał z nadzieją.

– Nie. Wykasowałem...

– Kurwa mać! Nie masz żadnych więcej kopii? Wydruków? Nic?!

– Nie mam, kurde. Skąd miałem wiedzieć! Zgrałem je na komputer i... Cholera! Niech to jasny szlag!

– No to przesrane. Zostaliśmy w czarnej dupie. Możemy sobie wsadzić w... Czekaj, przyszła wiadomość...

Policjant zamilkł. Długo milczał.

– Zebra? Jesteś tam jeszcze? Coś się stało? – Emil zdecydował się wreszcie coś z niego wydobyć.

– Jasny gwint...

– O co chodzi?

– Kurczę pieczone w pysk... ja pierdzielę... – po drugiej strony linii odezwał się zmieniony głos komisarza. – Dobra. No to mamy pozamiatane. Właśnie dostałem rozkaz natychmiastowego zamknięcia śledztwa. Niezwłocznie. Od zaraz.

– Co...?

– To, co słyszysz. Mamy zamknąć sprawę i zapomnieć o znikającym posągu. Ciebie to też dotyczy.

– Kto?

– Sama góra.

– Ministerstwo?

Komisarz się rozłączył.

*Rok później*

Media huczały. Świat obiegła prawdziwa sensacja:

*Hiszpania: w trakcie narodowej ekspedycji archeologicznej na terenie Andaluzji odkryty został monumentalny, unikalny posąg kobiecy, wykonany z nieznanego na razie badaczom metalu, zbliżony do znanych od dawna w świecie sztuki kamiennych artefaktów pochodzenia iberyjskiego, tak zwanych Dam. Wiek rzeźby ocenia się wstępnie nawet na kilka tysięcy lat. To niepodważalny dowód istnienia w tym regionie być może najstarszej cywilizacji europejskiej. Archeolodzy ekscytują się: To hiszpański skarb narodowy! Ten bezcenny zabytek doprowadzi nas wreszcie do ruin starożytnego Tartessos, identyfikowanego przez pewne kręgi badaczy z mityczną Atlantydą! Teraz to już tylko kwestia czasu. Atlantyda była w Hiszpanii!*

Gdański dziennikarz Emil Żądło natychmiast rozpoznał ten posąg... I wszystko zrozumiał.

*Hiszpania. Miasteczko Niebla nad Rio Tinto w Andaluzji. Sierpień, 1925*

Pakunek, dla niepoznaki zakryty workami cytrusów, załadowano na wóz konny, który bezdrożami – by ominąć ewentualne kontrole – podążał w stronę Huelvy. Powoził nim starszy, pomarszczony mężczyzna. Przypadkiem wiedział, co załadowano na wóz. Rozumiał też, co to oznacza. Wcześniej, w obozie, stał się mimowolnym świadkiem rozmowy, której nie powinien był usłyszeć. Nie po to *señor sabio*, pod nieobecność *patrona*, zwolnił tego dnia wszystkich robotników i kazał im wracać do domów, do rodzin. Szlachetny *señor*. Trwało przecież FERIA de Malaga – Święto Malagi. Mężczyzna żywił nadzieję, że uda mu się pomówić z młodym *señorem* na osobności, by wynegocjować u niego choćby kilka dodatkowych peset na upominki dla wnuków. Panowie byli jednak zajęci ustalaniem szczegółów transportu, skrył się więc za barakiem, by zaczekać na odpowiedni moment. Nie doczekał się, wszystko odbywało się w zbytnim pośpiechu. Zobaczył za

to i usłyszał dość, by wiedzieć, że nie wolno mu się ujawnić. Nigdy. Do końca życia. Nie był głupcem, choć cudzoziemscy pracodawcy za takiego go uważali. Zrozumiał od razu, że w przeciwnym razie zapłaciłby gardłem. A może nawet zapłaciłaby cała jego rodzina. Wycofał się zatem cichcem, bez słowa, czekając, aż ciężki ładunek spocznie na dwukółce i ruszą w drogę, eskortowani konno przez paru ponurych zarośniętych *machos*. Trząśł się ze strachu, nim wreszcie dobrnęli do Huelvy. Tam z przewrotną satysfakcją stwierdził, że się nie pomylił. Wszystko odbyło się tak, jak przewidywał: w porcie ładunek trafił na dużych rozmiarów barkę parową, a następnie na zamorski statek, oczekujący przy kei. Niepotrzebnie się martwił: zapłatę otrzymał godziwą, z nawiązką. Wystarczy na prezent dla żony i słodycze dla sporej gromadki wnucząt.

Mężczyzna naprawdę długo milczał. Bardzo długo, całe lata. Przez niemal resztę swoich dni. W końcu jednak nie wytrzymał i w chwili słabości powierzył swą tajemnicę najstarszemu synowi – który też, podobnie jak ojciec, nie potrafił utrzymać języka za zębami. Ot, słaba natura ludzka. Raz zdradzona tajemnica nie ginie nigdy, zaczyna żyć własnym życiem.

Po osiemdziesięciu latach dotarła ona wreszcie do właściwych uszu...

KONIEC

## Posłowie

Drodzy Czytelnicy!

Emil Żądło zrobił już swoje, teraz niechże wreszcie odpocznie i zajmie się kotem oraz Martą, a tymczasem autorka wtrąci swoje trzy grosze. Muszę przyznać, że z wielkim sentymentem pisałam tę powieść, ponieważ temat „chodził za mną” praktycznie od dzieciństwa. Jako dwunastolatka po raz pierwszy zetknęłam się z Atlantydą – już nawet nie pamiętam, jaka to była książka, bo potem było ich wiele, ale jedną z najbardziej kultowych pozostała dla mnie *Atlantyda, wyspa ognia* Macieja Kuczyńskiego. Pomijam oczywiście samego Platona, którego fragmentów nauczyłam się na pamięć i do dziś potrafię je wyrecytować. W tej powieści włożyłam je w usta Marty, która także zna je na pamięć. Atlantyda rozpałała moją wyobraźnię i fascynację zagadkami przeszłości, lecz kiedy miałam szesnaście lat, trafiła w moje ręce trafiono rewelacyjne opracowanie Tadeusza Łopuszki, zatytułowane *Tajemnice starożytnej żeglugi*, a w nim część poświęcona zagadkowej cywilizacji Tartessos, jak już wiecie: utożsamianej z biblijnym Tarsisz. Równie tajemniczej i zaginionej co sama Atlantyda, lecz – jak wspomniała moja bohaterka, Marta – jej istnienia oraz lokalizacji raczej nikt nie podważa. Nic dziwnego, że wielu naukowców i pasjonatów kulturę tę z legendarną kulturą platońskiej Atlantydy utożsamia. Od tamtej pory oszalałam na punkcie Tartessos. Przeczytałam na jej temat chyba wszystko, co w języku polskim i nie tylko dało się przeczytać. Korespondowałam ze

studentami i naukowcami z Rosji i Hiszpanii. Pisałam na jej temat artykuły w popularnej prasie. Wciągnęłam w tę pasję własnego ojca, brata, przyjaciółkę i męża. No i w końcu musiałam napisać o niej w książce. Mam nadzieję, że i Was – a przynajmniej niektórych – wciągnę i zarażę „tartessomanią”, że będziecie dalej szukać, szperać, czytać, dyskutować, że może wspólnie doczekamy czasów, gdy wreszcie archeolodzy odnajdą ruiny Tartessos i stwierdzą: była to czy jednak nie była Atlantyda...

Na koniec winna Wam jestem wyjaśnienia, co w tej książce jest prawdą, a co fikcją literacką. A to dość skomplikowane, gdyż przyznaję się: bardzo tutaj namieszałam. Zdradzę tylko najważniejsze rzeczy, resztę pozostawiając Czytelnikom. Oddzielajcie ziarno od plew! To może być niezła zabawa.

Zacznę od tego, że wszystko, co napisałam na temat Atlantydy i Tartessos, jest prawdą, na tyle, na ile w ogóle znamy prawdę. W każdym razie niczego tutaj sama nie zmyśliłam, a ewentualne reklamacje proszę składać u Platona, a w kwestii Tartessos – do Herodota i Strabona, bo to właśnie oni najwięcej się na temat tej cywilizacji rozpisali. Dodam tylko, że ja im wierzę. To nie byli głupi faceci, jak powiedziałby Emil. Poszukajcie też koniecznie w książkach lub w Internecie zdjęć Damy z Elche oraz innych starożytnych iberyjskich zabytków kojarzonych z Tartessos – warto je obejrzeć.

Z kolei jeśli chodzi o zagadnienie łoża masonskich w Gdańsku, to powiem krótko: wszystko jest prawdziwe z wyjątkiem... tak, oczywiście, z wyjątkiem łoża „Nasza Pani”. Ta istnieje jedynie w świecie mojej książki. Podobnie jak pałac w Lubicach i same Lubice, gmina Trzmielów oraz domek starego rzeźbiarza. Co wcale nie oznacza, że podobne miejsca nie istnieją. Istnieją... Pisząc to, miałam przed oczami konkretne miejscowości i budynki. Może ktoś zgadnie, które? Prawdziwa jest natomiast kamienica w Gdańsku, będąca w swoim czasie siedzibą łoża masonskiej. Możecie ją z łatwością odszukać.

Podobnie jest z ludźmi. Schliemann, Schulten, Elena Whishaw – z tymi nazwiskami znanych archeologów zapewne już się zetknęliście, a jeśli nie, to możecie je sobie z powodzeniem wygooglować. Natomiast Karla Davida Jonstona nie znajdziecie. Żyje tylko na tych kartkach.



A raczej żył, bo już umarł. „Pieczęć mordercy” jest oczywiście fikcyjna. Z jednym wyjątkiem: naszkicowana postać wojownika pochodzi z autentycznej starożytnej steli iberyjskiej.

I na koniec: informacje ogólne o życiu intelektualnym w przedwojennym Gdańsku są szczerą prawdą. Nic w tym przypadku nie konfabulowałam. W załączniku podam Wam listę „lektur obowiązkowych” do przeczytania. Uff. Resztę zostawiam Waszej dociekliwości. Nie zapominajmy, że nie ma nic bardziej pasjonującego niż dzieje ludzkości, nasze dzieje, a obsesją chyba wszystkich pokoleń jest odnalezienie odpowiedzi na pytanie – powtarzam za Paulem Gauguinem, jego słynny obraz znacie na pewno: *Skąd przyszliśmy, kim jesteśmy, dokąd idziemy?* Jak to się stało, że piszemy książki, budujemy miasta, tworzymy dzieła sztuki i paramy się nauką? Gdzie była nasza kolebka? Jaką misję mamy do wypełnienia na tej planecie? A jakkolwiek by ona była – pełnijmy ją godnie.

Serdecznie Was pozdrawiam!

Ania Klejzerowicz

## Podziękowania

Dziękuję mojemu mężowi Krzysztofowi – za wspólną podróż w czasie, za pomoc w kompletowaniu materiałów, a także, tradycyjnie już za to, że jako pierwszy czytał moją powieść na bieżąco, kawałek po kawałku, podczas gdy „się pisała”. Oraz za zaprojektowanie „pieczęci mordercy”.

Dziękuję Rodzinie, Przyjaciołom i Czytelnikom – za wsparcie moralne. Za to, że jesteście. Moim zwierzakom – za to samo i za mruczenie.

Dziękuję antycznym filozofom i uczonym – za ich dociekliwość, za to, że byli tu przed nami i także poszukiwali.

Autorom wszystkich książek, które wymienię poniżej – za wiedzę i inspirację.

Dziękuję Markowi Okońskiemu za rady i informacje dotyczące pracy policji. Jeśli coś pomieszałam, to nie jego bijcie. Ale mnie także nie... Błądzenie jest rzeczą ludzką.

Leszkowi Koźmińskiemu z Kryminalnej Piły oraz koleżance „po piórze”, i to kryminalnym – Joasi Opiat-Bojarskiej – za to, że zechcieli pochylić się nad moją książką jeszcze przed redakcją i korektą. Liczę, że nie była to aż taka gehenna...

Zespołowi portalu „Książka zamiast kwiatka”, w szczególności Grażynce Strumiłowskiej – za przyjaźń, nieustające podtrzymywanie na duchu, ciepłe znoszenie moich humorów.

I wreszcie Wydawcy, bez którego nie byłoby tej książki.

Wszystkim, całemu zespołowi. Z podziękowaniem za wieloletnią przemiłą współpracę, zrozumienie, a także zapał, który wkładacie Państwo w literaturę. Za to, że dobre książki wydajecie. I wcale nie mam tu na myśli własnych! Osobne podziękowania winna jestem redaktor Paulinie Wierzbickiej, która z wielkim sercem, zrozumieniem i profesjonalizmem pochyliła się nad moją powieścią. Pani Paulino – *chapeau bas!*

Na koniec – ale tylko dlatego, żeby lepiej zapamiętać – dziękuję Wam wszystkim, którzy doczytaliście książkę do tego miejsca.

DZIĘKUJĘ!

A.K.

Coś w rodzaju bibliografii, czyli co warto przeczytać w temacie. Tylko najważniejsze książki, reszta – jeśli załapiecie bakcyła – przyjdzie do was sama.

1. Platon, *Timajos i Kritias*
2. Maciej Kuczyński, *Atlantyda, wyspa ognia*
3. Tadeusz Łoposzko, *Tajemnice starożytnej żeglugi*
4. Jerzy Strzelczyk, *Odkrywanie Europy*
5. Herodot, *Dzieje*
6. Andrzej Niwiński, *Czekając na Herhora*
7. Praca zbiorowa, *Cywilizacje starożytne* (red. Arthur Cotterell)
8. *Encyklopedia sztuki starożytnej* (ze wstępem prof. Kazimierza Michałowskiego)
9. Biblia Tysiąclecia, wyd. IV
10. Johanna Schopenhauer, *Gdańskie wspomnienia młodości*
11. Aleksander Kondratow, *Zaginione cywilizacje*
12. Juan Eduardo Cirlot, *Słownik symboli*

## **Spis treści**

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Epilog

Posłowie

Podziękowania

Coś w rodzaju bibliografii...

